

4680

LISTY DO FRANI

M. PRÉVOST



LISTY DO FRANI

PRZEKŁAD

MARYI RODYSOWEJ

Z PIĘDZIESIĄTEGO DZIEWIĄTEGO WYDANIA ORYGINAŁU



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1903

M. PREVOZ

LISTY DO FRANI

Дозволено цензурою.

Варшава, 16 Марта 1903 г.



65365

K-168/26/71716

LIST WSTĘPNY.

Kwiecień 1902.

Znajdziesz, droga dziewczeczko, w niniejszej książce zebrane w jedną całość listy, które pisałem do ciebie co dwa tygodnie podczas ostatniego roku twojego na pensji pobytu.

Najświeższe datują prawie od wczoraj, odczytując zaś pierwsze, doznawałem wrażenia, jakbym stare już popioły poruszał. Wiek ubiegły nieledwie z nich wygląda: otrzymałaś je wtedy, gdy wystawa paryska żywo nam uprzymiła rozpoczęcie XX-go stulecia. A czyż nieprawda, moja miła siostrzeniczko, że wystawa należy dla ciebie do dalekiej, bardzo dalekiej już przeszłości?...

Przyszłoby mi z łatwością za pomocą lekkiego podmalowania zniszczyć te barwy aktualności, które stały się w przeciągu kilku miesięcy znamiemieniem ubiegłej doby. Prawdy, które próbowałem wyłożyć, rady dawane ci przeze mnie,

są zresztą po wszystkie czasy jednakie. Jeśli gdzieś na świecie znajduje się wuj, lubiący moralizować, i dosyć cierpliwa, by go słuchać, siostrzenica, napotka ona te same myśli.

Nazwanoby je stosownie do chwili, w której powstały: »Listy do Aspazyi«, albo »Listy do Flawii«, wreszcie »Listy do Sylwii«.

Lecz tak samo, jak imię twoje, tak swojskie, przypomina pewien kraj i pewną epokę — podobnież napomnienia zawarte poniżej, pożyteczne w razie potrzeby dla panien wszystkich czasów, przeznaczone są przede wszystkim dla dziewczęcia, kończącego nauki na początku XX stulecia.

Wiek XX!... ileż uroku w tych dwóch wyrazach dla siedemnastoletniego umysłu!...

Jak w czasach, gdy poeta z Mantui opiewał narodziny Dzieciątka, tak i obecnie wyrabia się nowy porządek rzeczy. Narody są niepokojone przez potężne wiry, w których stara idea zaborcza i młoda idea sprawiedliwości zarysowują jaśniej, niż kiedykolwiek, swe, krańcowo odmienne, usiłowania...

Nauka, która w XIX wieku uczyniła całą kulę ziemską dostępną dla oczu i kroków człowieka, dąży obecnie do opanowania dziedziny powietrza. Miłosierdzie jest źródłem obowiązków szczęśliwych względem wydziedziczonych, Prawo zaś te obowiązki utrwała. Nakoniec i przede wszystkim, Kobieta, która, wedle głębokiego spostrzeżenia księcia de Ligne, »tworzy obyczaje,

podczas gdy mężczyzna tworzy prawa« — Kobieta zaznacza zamiar rozszerzenia swojego stanowiska w przyszłym społeczeństwie. Ona to będzie, niewątpliwie, głównym przedmiotem przemiany. Ona stanie się i główną jej sprężyną, albowiem przynosi z sobą niepożyte zasoby nadziei i energii. W łonie znudzonych ludów wielkim nowym narodem jest Ona.

Młoda współczesna dziewczica rozumie przeznaczenie swojej płci. W chwili, gdy wchodzi w świat, wyczuwa to, co pozostaje niejasnem nawet dla jej kierowników: że uroczystym jest dzisiejszy moment dziejowy.

Szczególniej młoda Francuzka, wychowana według prawideł, które od kilku wieków pozostały niezmiennymi — odczuwa rozdźwięk pomiędzy swoim wykształceniem a zadaniem w życiu. Żrenice tego dziewczęcia, wychowanego w klasztorным nieledwie mroku, z początku olśnione, nagle się rozszerzają. Uświadamiając sobie wyraźnie całą praktyczność życiową, czyni ona sferę ideału coraz podnioslejszą.

Zdawałoby się, że przejasna ogarnia ją zorza, jej pojęcia coraz szersze horyzonty zakreślają, nie ujmując wszakże wyrazistości przedmiotom realnym.

Ilekoć rozmawiałem z tobą, drogie dziecko, o twoich nadziejach, marzeniach, wątpliwościach, a nawet udręczeniach — spostrzegałem zawsze tę zorzę w twoich oczach... Jeżeli odbłask jej padnie na te kartki, będzie to ich najwyższą

ozdobą. W promieniach wschodzącego ranka, prosta sieć rybacka, susząca się na nadbrzeżnych kamieniach, wydaje się utkaną ze złota.

Oto dlaczego pragnąłem, by te kartki, których treścią są skromne, od czasu niezależne prawdy, zachowały wyraźne znamię swojej epoki: epoki, gdzie kosmopolityczny tłum otaczał wieżę Eiffel; epoki, w której rozpoczynał swoją pielgrzymkę po Europie patriarchy Krüger.

* * *

A teraz, czy należało te skromne prawdy, powszednie, jak większość prawd pożytecznych, zanotowane i omówione na twoją głównie intencję, łączyć w tej książce, wydawać ją i ofiarować ogółowi? Nie zrobiłbym tego, gdyby nie usilne żądania licznych czytelników, którzy jednocześnie z tobą przeglądali te zeszyty i wyrazili pragnienie posiadania ich w przystępniejszej formie. Przyznam się, że te życzenia zachwyciły mnie. Rozweselić swoje audytoryum, to już coś znaczy; wydać mu się potrzebnym, obudzić w niem chęć zachowania twoich myśli — o ileż to cenniejsze!... Utrzymuję stanowczo, że autor ma obowiązek zadawania takich wymagań.

Uległem zatem. Oto książka. Wiem, że pozo-
stanie ona twoją przyjaciółką — przyjaciółką
Frani, wolnej już dzisiaj od opieki wychowaw-
ców, małżonki w pełni szczęścia. Lecz obecnie

nie tylko do ciebie należy już ona — mojem pragnieniem jest, by znalazła się w posiadaniu wszystkich twoich rówieśniczek. Gdyby to było możliwe, rozesłałbym ją im wszystkim z piękną dedykacją i bilecikiem tej treści: »Młoda dziewczeco, ta książka należy do ciebie. Nie znajdziesz w niej nic, coby mogło urazić twoją skromność, lub zaniepokoić serce... Czytaj ją, jak powieść z życia. Twierdzę śmiało, że żadna powieść nie ma piękniejszej treści. Jest to historia dziewczęcia, które pokochało młodego człowieka, zaręczyło się z nim, by następnie wiarę dozgonną mu ślubować. Jeśli zrobisz uwagę, że przedmiot jest nienowyy, powiem, że wiedziałem o tem, a jednak przełożyłem go nad inne«.

Jeśli przeczytasz dzieje Francuzki, opuszczając to, co cię znudzi, i to, co ci się balastem w opowiadaniu wydawać będzie (jest to najlepszy sposób czytania powieści) — nie odrzucaj, proszę, książki pogardliwie. Zachowaj ją w swoim pokoju pod ręką. Z początku, otwierając ją na los szczęścia, znajdziesz w niej tematy do rozmyślań. Twoja kobieca bystrość spożytkuje ten suchy materiał nierównie lepiej ode mnie. Następnie, gdy z przyjaciółką mówić będziesz o wychowaniu, o ubieraniu się, o balach, o sportach, o małżeństwie — otwórz znowu ten tomik. On ci swoje zdanie wyrazi, a opinia tego trzeciego godzi często przeciwników, chociażby wywołaniem jednomyślnego okrzyku: »Jak można mówić podobne niedorzeczności!«

Jednem słowem, nie pragnę, by »Listy do Franciszki« były ci tem, czem brewiarz dla księdza, lecz zalecam je po prostu, jako zestawienie rzeczy, które cię zajmują. Najważniejszemi w książce nie są myśli, które wypowiadam, lecz treść, którą omawiam: czyli — ty!

* * *

Jeśli ktoś powie, zobaczywszy tę książkę w twoich rękach: »Nie zawiera ona nic nowego, ani ciekawego«, potwierdź to zdanie i proś tego zrzęde, by ci wskazał dobrze napisane dzieło, któreby te kwestye poruszało. Wymień mi natychmiast tytuł, bym mógł je nabyć, bo do tej pory szukałem go nadaremnie. Jeżeli ta dobrze napisana książka nie istnieje, będzie to usprawiedliwieniem dla mojej, która tę przynajmniej posiada zaletę, że jest. — Zapewniam cię, że uważam ją sam za bardzo niedokładną i nieodpowiadającą moim marzeniom. Czy chcesz mi pomóc, by ją lepszą uczynić?... Zapisuj swoje o niej zdanie, zaznacz braki, odpowiedz uzupełnienia i przyslij mi je. Pięknie ci za to podziękuję i obiecuję, że za każdym nowem wydaniem, dzięki takim, jak ty, współpracownikom, »Listy do Franciszki« okażą się lepsze.

* * *

Oto jest sposób, w jaki chciałbym, żeby to dziełko przyjęte i spożytkowane zostało przez te, które są jego właściwemi czytelniczkami. Niech one je tak przyjmą, a będę więcej dumny, aniżeli z powieści o stu tysiącach egzemplarzy.

M. P.

I

Zakład naukowo-wychowawczy Berquin. — Pierwsze ukazanie się Lun i Frani. — Zachęta do uznania się dojrzałym. — Myśli, które nasuwa ogród, biurko i noc. — Frania pragnie mieć profesora spraw życiowych. — Pani Le Quellen. — Wuj-mentor.

Gdy onegdaj rozstawałem się z tobą, moja przyjaciółeczko, w pokoju przyjęć sławnego zakładu naukowo-wychowawczego Berquin, gdzie powierzyłem cię starannym rękom pani Rochette, wyrzekłaś do mnie słowa, które moja pamięć zachowała w porządku, czyli raczej w ich zachwycającym nieładzie:

— Dziękuję ci, mój wuju! Ach! oto Lunia Despeyroux!... Czy widzisz ją? tę wysoką, z dużymi blond włosami... Ma ona w Saint-Cyr brata, który jest przystojny, nawet bardzo przystojny!... Nie zapomnij o swojej obietnicy! Pisuj do mnie od czasu do czasu!... Och! jaka jestem kontenta!... Będę ci odpisywała... Ale czy będziesz miał czas odpowiadać mi?... Luniu, poczekaj!... Do widzenia, wujaszku: idę do sypialni; upadam ze znu-

żenia... Lubię, bardzo lubię, gdy ty mnie odprowadzasz... Nie rada jestem, gdy czyni to wuj Roger.

— Naprawdę? Dlaczego?

— On nie umie rozmawiać, a przytem wygląda tak młodo.

Te wyrazy, twój ton i mina, z jaką je wypowiedziałas, były tematem moich rozmyślań, gdy z ulicy du Ranelagh dążyłem do mojego mieszkania, położonego na wysokościach Trocadero. Poznasz kiedyś, za jakie lat dwadzieścia, a może nawet prędzej, bo jesteś kobietą, ten dziwny niepokój, który ogarnia duszę za zbliżeniem się do czterdziestki, gdy nagle zrozumiemy, że nasza młodość należy już do przeszłości. Nasze wewnętrzne »ja« jeszcze nas o tem nie ostrzega: nasze pragnienia, nasze upodobania pozostały te same, co w latach dwudziestu pięciu. Dzielność mięśni jakby się jeszcze wzmogła. Przywykli do postaci, której odbicie przesyła nam codziennie lustro, nie widzimy zmian, jakie w niej zachodzą. Potrzebujemy całego wysiłku woli, by stwierdzić przed samym sobą, że nieubłagany czas i na nas wyrzył swe piętno, jednym słowem, że z dnia na dzień starzejemy się. Szczęściem, cudza przenikliwość przychodzi nam z pomocą i prostuje naszą pomyłkę w sposób nie tyle przyjemny, ile skuteczny.

To też, wracając do siebie, nie myślałem o wykwinnym obiedzie, który przed chwilą przy waszym stole spożyłem w twojem i twej

matki towarzystwie, — ani też o ważnych zwierzeniach, dotyczących twoich młodocianych pojęć o życiu, — ani o czcigodnej twojej przełożonej, — ani o Luni, mającej duże blond włosy i przystojnego brata, — i nie o tobie nawet — tylko o tej smutnej prawdzie, że jestem najstarszym z twoich wujów i że ty stwierdzasz ten fakt z radosną szczerością.

W takich pogrążony myślach paliłem papierosa, chodząc po ogrodzie, bo pamiętasz może, że wrześniowy ten wieczór był niezwykle pogodny i ciepły. Mój ogródek znasz dobrze: nieraz z matką przychodziłaś zrywać kwiaty i oddychać ich wonią. Góruje on nad placem Trocadero. W czasie wystawy akacje, geranie, begonie i gęstwiny astrów stroją się odbłaskiem uilluminowanych kopuł i wieżyczek. Od czasu do czasu tryskające z wieży Eiffel świetlne strugi przecinają je szerokimi błękitnymi smugami... Żwir alejek szeleścił pod ciężarem moich kroków, gdy, przechadzając się, myślałem o latach ubiegłych, w których byłem tem, czem dzisiaj ty jesteś: młodocianą istotą, stojącą na progu życia i marzącą o przyszłej swobodzie. Dwa-dziesięć lat minęło — a stroiłem je wówczas w mej myśli we wszystkie czary życia — i widzę, niestety, że ani doznane w ciągu nich zawody, ani nabyte doświadczenie nie uczyniły mi przyszłości mniej ponętną. Uważam się za trochę tylko dojrzałego, niż w owym czasie, ale opinia moich współczesnych, a twoja, śliczna

siostrzeniczko, w szczególności twierdzi, że nie jestem już młody. Powiedziałaś mi to wyraźnie w chwili rozstania, a komentowałaś już te słowa, przebywając odległość, dzielącą plac Possoz od ulicy du Ranelagh.

— Otóż widzisz, wujaszku — mówiłaś — lubię rozmawiać z tobą, gdyż mogę poruszać kwestye, o których nie wspomniałabym przed mamą, ani nawet, zdaje mi się, przed moim dobrym ojczulkiem, gdyby żył — i ponieważ uważam ciebie za starszego, dużo starszego brata... Nie lubię, gdy mi nadskakują... później prawdopodobnie będzie mnie to bawić, tymczasem jednak nuży, a z tobą bynajmniej się tego nie obawiam.

Przy tych słowach twój swobodny śmiech rozbrzmiał w ciszy przedmieścia: myśl, że starszy z twych wujów mógłby ci nadskakiwać, wydała ci się widocznie bardzo zabawną.

Masz rację, Franiu. Bezpieczną jesteś przy mnie. Chęć nadskakiwania ci nie przyszłaby mi na myśl: nie nęci mnie to bynajmniej. I ja również, pomijając już nawet moje z tobą pokrewieństwo i wysoką godność opiekuna, uważam cię za bardzo drogą mi siostrzyczkę. Skupiłem na twej dziecięcej główce przyjaźń, którą miałem dla twego ojca i tę, jaka mnie z twoją matką łączy. Nie — nie mam chęci nadskakiwać ci, jakkolwiek masz już lat siedemnaście i nie-daleka przyszłość kobietę z ciebie uczyni. Nie przeszkadza mi to jednak być wrażliwym na okazywane mi pierwszeństwo i odczuć w twej

osóbce, o niepewnych jeszcze wdziękach, urok natury ciekawej i zapalnej, umiarkowanej wszakże przez pewien zmysł praktyczny, oraz wrodzoną dobroć i uczciwość.

Gdy wróciłem do swego gabinetu, pożałowałem uczynionej obietnicy, którą na mnie swojemi wdzięcznemi naleganiami wymogłaś: obietnicy pisywania do ciebie w stałych odstępach czasu, podczas ostatniego roku twego pobytu na pensyi. By ją otrzymać, umiałaś znaleźć nader przekonujące argumenty. Mówiłaś, gdyśmy szli aleją Mozarta, usłaną zeschłymi już liśćmi:

— Szkolne lata są wprawdzie nieodzowne, ale czyż wystarczają, by przygotować do życia? (Z jakimże uroczym zapalem wymawiasz ten wyraz: życie!) Uczą nas arytmetyki, geografii, szycia; nie można jednak wymagać od tej dobrej pani Rochette wiadomości o życiu. A przecież nie jest mojem przeznaczeniem być rodzajem świeckiej zakonniczki, jak pani Rochette, oraz inne kierowniczki zakładu Berquin.

Mam zamiar bywać możliwie dużo w świecie, po wyjściu z pensyi, i nie pozostać starą panną. Czy uwierzysz, wujaszku, że ani mama, ani moje nauczycielki nie pomyślały nigdy, że los zameżnej Paryżanki jest moją przyszłością? Czy nie byłoby rozsądnie przygotować mnie trochę do tej ogniowej próby, o ileż niebezpieczniejszej od egzaminu na patent dojrzałości?

A jednak — gdybym powiedziała mamie, że pragnę być powiadomioną o tem, co mnie czeka

po ukończeniu nauk — przestraszyłabym ją i wywołałabym jej łzy. Gdybym to życzenie powtórzyła pani Rochette, odpowiedziałaby, że mnie zły duch opętał. Bardzo mi przecież na tem zależy, by umieć nie tylko to, co jest przedmiotem egzaminów... Zdaje mi się, że jestem śmiesznie nieświadoma! Szkolne podręczniki — to moja lektura; błahych jedynie rozmów jestem świadkiem; nie bywam w teatrze... Gdy wstąpię w świat, przez kilka przynajmniej miesięcy nie będę śmiała się odezwać; będę się czuła jakby pośród ludzi innym, niż ja, mówiących językiem... Wyrobię się kiedyś, prawdopodobnie, będzie mi jednak żal straconego czasu.

O cudowna chęci do życia! Obawiasz się, drogie dziecko, kilku niemych taktów w symfonii twej światowej egzystencji... Wcześniej, niż przypuszczasz, zmęczy cię ta muzyka! Przyznaję jednak, że dawane wam wykształcenie, jakkolwiek godne uznania i pomimo, że większość naszych rodaczek je otrzymuje, nie wydaje mi się logicznem. Gdy mówisz, że w klasach uczą cię wszystkiego, prócz tego, co istotę rzeczy stanowi, ujawniasz przedziwną bystrość. Dobrą jest szkoła, lecz należałoby ją dopełnić wykładami o sprawach życiowych, naginając się, naturalnie, do poziomu waszego umysłu.

Miasto, społeczeństwo, naród — są tuż! lecz wychowawcy kryją je wam poza grubą zasłoną, którą nagle przed wami otworzą, gdy mniej lub

więcej szczęśliwie zdacie egzamin klasyczny. Wszak to niedorzeczność?

A teraz, czy posiadam ja dane do tego, by być dla ciebie tłumaczem chwili bieżącej? Obawiam się, że nie.

— Ależ tak! tak! — odpowiedziałaś. — Prowadziliśmy takie miłe rozmowy, gdy przychodziłeś, wujaszku, do nas na obiad podczas wakacji!

Przedstawiasz, Franiu, audytoryum bardzo pozbłażliwe i musisz być rzeczywiście ściślejszych i wymowniejszych objaśnień pozbawioną, skoro moje abstrakcyjne wskazówki dobrze ci się wydały. Zapewne to przełożenie nad wuja Rogera tak mało ostrożnym mnie uczyniło, że gdy dosięgliśmy ulicy du Ranelagh, zdołałaś już wymóżyć na mnie obietnice listownego prowadzenia w dalszym ciągu tematów, które były nieraz treścią pogawędek naszych podczas wakacji.

Po namyśle ubolewałem nad swoją słabością. O czym pisać do ciebie i jaką drogą listy ci przesyłać? Wszystkie, które na pensyi otrzymujesz, przechodzą przez ręce twoich nauczycielek, a byłoby mi nieprzyjemnie znaleźć się, choćby przypadkowo, w sprzeczności na punkcie nauczania i wychowania z przezacną panią Rochette. Z drugiej strony, wszak nie przypuszczasz ani na chwilę, bym nadużył stanowiska opiekuna, korespondując z tobą bez wiedzy twojej matki?

Położyłem się bardzo zakłopotany, pozostawiając nocy rozwikłanie chaosu moich wątpli-

wości. To dobry sposób. Praca myśli, która podczas snu odbywa się w nas nieświadomie, nie rozum już, lecz instynkt ma za kierownika, jego też nieomylnie posiadają zamiary przez noc podsunięte. Za obudzeniem się, nietylko że z wielką filozofią przyjmowałem pewnik, że jestem o dziesięć lat starszy od wuja Rogera, lecz posiadałem także rozwiązanie trudnego zagadnienia naszej korespondencji. Ubrałem się i, w ciszy łagodnego ranka, skierowałem się do mieszkania twojej matki. Zastałem tę wykwintną kobietę w jej apartamencie, tak mało przypominającym miasto i położeniem, i wyglądem i meblami... Było koło jedenastej. Pani Le Quellien cała w czerni, z siwiejącymi włosami gładko zaczesanymi po obu stronach swej zawsze młodej twarzy, przyjęła mnie w swoim pokoju, w którym czuło się, iż był on, już o godzinie siódmej rano sprzątnięty i zapachem kwiatów przepojony. Pomiędzy dwoma oknami, przy otwartym mahoniowym biurczku, w stylu Ludwika Filipa, siedziała twoja matka z grubym zeszytem rachunków w ręku. Książka do nabożeństwa ze świętym obrazkiem, służącym za zakładkę, leżała tuż. Przed nią, z zielonych ram pluszowych wyglądały szaro-niebieskie oczy, ciemne włosy i oślniewająca cera panny Franusi.

— Ty, tak wcześnie? Mam nadzieję, że nic złego malej nie spotkało?

Uspokoilem obawy pani Le Quellien, powiedziawszy jej, że oddałem cię całą i zdrową w ręce

pani Rochette. Wyłożyłem następnie przyczynę mojej wizyty i naszą rozmowę w alei Mozarta, twoje pragnienie otrzymywania ode mnie listów o tem i o owem, któreby cię obznajmiły z tem, czego na pensjach nie uczą. Przypuszczałem, że twoja matka przyjmie ten projekt z pewnem niedowierzaniem i zechce go zbijać. Omyliłem się. Zrobiła jedną tylko uwagę:

— Oczywiście, byłoby to bardzo pożądane... Zdam sobie doskonale sprawę z tego, że niedość szybko podążam za swoją epoką, by móżdż z pożytkiem tą małą kierować. Ale to nonsens żądać tego od ciebie... Przecież ty nie masz czasu.

Upewniłem panią Le Quellien, że jestem wolny i że mnie to nawet zajmie. Nie chciałem tylko, by moje listy czytane były przez panią Rochette; noc podsunęła mi właśnie radę, by je adresować wprost do twojej matki, która, po przeczytaniu, wręczy ci je za widzeniem.

— Doskonale! — wykrzyknęła pani Le Quellien. — Uważam jednak uprzednie ich odczytywanie za zbytczne. Taby Franię upokarzało, a i ty posiadasz zupełne nasze zaufanie, mój przyjacielu... Czyż nie jesteś jej opiekunem i czy nie uważa cię ona niejako za ojca?...

I ona również, ta serdeczna kobieta, przywodziła mi na pamięć właściwą ocenę mojego wieku!... A więc, klamka zapadła! Jestem wujem-mentorem, prawie ojcem... Jest to stanowczo ranga, która pozwala mężczyźnie na korespondencyę z pensyonarką!

A zatem, droga Franiu, wuj-doradca będzie isywał do ciebie co dwa tygodnie. Staraniem jego będzie wypełnić luki w wychowaniu, udzielanem ci przez panią Rochette i jej pomocnicę... Ożisiał zadowolnij się, proszę, tym oto bileciem. Jakkolwiek wuj i ojciec w jednej osobie, ie mam za dużo dni piętnastu, by przygotować ię godnie do nauczania takiej żywej i spostrzeawczej ósóbki, jaką jest panna Frania.



II.

Wrażenia trzech widzów z wystawy w pewien świąteczny wieczór. — Najwyższe usiłowania XIX wieku i sposób, w jaki odczuwa je Frania. — Pałacyk i spojrzenie w przeszłość. — Frania, jakkolwiek ściśle nowoczesna, zachwycona jest przeszłością narodową. — O prawie nauczania. — Projekt wymarzonego pałacyku.

Gdy się ma twoje lata, miła Franiu, wobec twego własnego, tak pełnego sił żywotnych i wschodzącego tak wesoło istnienia nie odczuwa się melancholii na widok rzeczy, których byt dobiega końca. Dzieła, które ośmieliły się zakwitnąć i zniknąć, gdy ty jeszcze pensyi nie ukończyłaś — zasługują tylko na twoje lekceważenie; ściśle mówiąc, nie są one współczesne tobie, a ty jesteś najmocniej przekonana, że jedyny okres godny uwagi rozpocznie się z końcem 1901 roku, — w chwili twego wejścia w świat.

Zauważyłem ten przyjemny nastrój twojego usposobienia w pewien piątkowy wieczór, który poprzedził twój jesienny powrót do zakładu

Berquin. Przyszedł z matką na chwilę do mojego ogrodu. Na wystawie obchodzono święto; wszystkie wieże, dzwonnice, wszystkie szczyty tego bajecznego miasta płonęły czarodziejskim światłem. Pani Le Quellien wyraziła żal z powodu, że to skojarzenie tych przedziwnych wytworów potęgi ludzkiej tak krótko już trwać miało.

Zacząłem i ja rozwodzić się nad tą kwestyą; wypowiedziałem, jak mi się zdawało, bardzo zręczny okres o dysharmonii, zachodzącej pomiędzy wysiłkiem użytym na utworzenie wystawy 1900 roku a krótkotrwałem zadowoleniem przez nią wywołanem.

Przy ostatnim zwrocie jedno na ciebie spojrzenie wstrzymało nagle wylew mojego krasomówstwa; ujrzałem w twych oczach gwałtowną chęć do śmiechu. By zachować powagę, zapytałem:

— A ty, Franiu, czy nie żałujesz wystawy?

Twoja odpowiedź brzmiała dosłownie:

— Och!... wystawa!... napatrzyłam jej się dosyć.

Po chwili, by złagodzić surowość tego po-cisku, dodałaś łaskawie parę słów pod adresem nieszczęsnej wystawy:

— Zresztą udała się ona bardzo dobrze... Miała oddział retrospektywny...

»Udała się bardzo dobrze«, »była retrospektywną«... Tonem niezmałonej pewności siebie odsuwałaś w przeszłość to miasto cudów, które

gorzało przed twojemi oczyma!... Prawdopodobnie to zachowanie się tak zaimponowało twojej matce i mnie, żeśmy zaniechali ubolewań i nie było już więcej mowy o wystawie tego wieczora.

Nie wyobrażasz sobie, Franiu, jak obfitego materiału do rozmyślań dostarczają mi twoje najdrobniejsze, tak pełne prostoty spostrzeżenia. Po waszem odejściu pozostałem jeszcze w ogrodzie, rozmyślając o tym międzynarodowym jarmarku. Trwało to nawet tak długo, aż jedne po drugich zaczęły zwolna przygasać i ognie bengalskie, i szeregi lamp gazowych, i słońca elektryczne, — aż pozostała ciemność, pustka, martwota, nad którą niewidzialna poprzednio w tej bezmiernej ilości ziemskich światła, odwieczna promienność gwiazd zabłysła w całym przepychu na rozjaśnionem niebie.

Cała dzielnica Trocadero, przed chwilą tak hałaśliwa i pełna życia, zapadała stopniowo w ciszę przedmieścia, która była zwykłą jej cechą. Ten spokój i łagodny półmrok sprzyjały rozmyślaniom.

Rozpamiętywałem ten doraźny sąd, wydany przez ciebie tak niedawno. Nie dlatego, by mi się bardzo zajmującym i głębokim wydawał: zwrócił on moją uwagę tem, że stanowił nieomylną wskazówkę co do rodzaju wrażeń, wywołanych krańcowym wysiłkiem XIX wieku w młodocianej duszy istoty, należącej już do jego następcy. Bo ty, Franiu, należysz już do

XX stulecia: będziesz w nim dziewczą, żoną i matką, dziewiętnasty wiek jedynie dzieciństwo twoje posiada.

Z dwóch wypowiedzianych przez ciebie poglądów wynikało. Po pierwsze, że »krańcowy wysiłek«, i tu śmiałym użyciu wyrażenia, które błąka się czasami na twoich ustach, »nie wziął cię«. Powtóre, że jednak uważasz go za godny uznania, skoro przyznajesz mu stopień »bardzo dobry«. Po trzecie, że mało cenisz atrakcyje dostarczane nam przez przemysł, dział naukowy, a i artyzm doby obecnej mało do twej duszy przemawia. By cię wzruszyć, potrzeba ci było »retrospektywów« i »Małego Pałacu«, czyli dziejowej postaci tego olbrzymiego pokazu; przedmiotów i dzieł sztuki, które w sposób tak uderzający opowiadają historię twego kraju.

To mnie zastanowiło. Jesteś stanowczo osobką bardzo »współczesną«. Jakkolwiek uważasz się za mało znającą świat i jego sprawy, twoja zawsze czujna przenikliwość korzysta z każdej sposobności, by iść z prądem chwili. Wadzisz się z tą kochaną panią Le Quellien o fason jej okryć i kapeluszy; sama ubierasz się bardzo gustownie i z zachowaniem wszelkiej miary. W matki mieszkaniu, tak bardzo stylowem, twój pokój odbija jasnem obiciem z rozsianymi po niem irysami i białymi, na sposób angielski, mebelkami. Jesteś zwolenniczką silnego oświetlenia, tak obecnie modnego... chciałabyś, żeby twój dom posiadał cały komfort dzisiejszej doby.

Zwierzyłaś mi się, że gdybyś była bogatą i niezależną, lubiłabyś jeździć samochodem. Jednem słowem, jesteś dzieckiem swego czasu, a tym czasem jest wiek XX.

Nie przeszkodziło ci to jednak odznaczyć na wszechświatowym turnieju piękności rzeczy przeszłych. Gdybym cię zapytał dlaczego — nie umiałabyś prawdopodobnie dać mi na to odpowiedzi. Moje wujowskie doświadczenie próbuje ci to wytłómaczyć.

Przedewszystkiem jest twoja współczesność znakomitym dowodem równowagi fizycznej i umysłowej; byłoby niepożądane, gdybyś mając lat ośmnaście, nie miała oczu, zwróconych ku przyszłości. Jest to naturalne, że współczesne rzeczy wydają ci się szczególnie miłemi i że lubisz się niemi otaczać, tak jak naturalnem jest, że przebywasz najchętniej w towarzystwie swoich rówieśnic. I owszem, drogie dziecko, dostrajaj się do swojej epoki, zachowaj tę nadzieję dobrego jutra, tę instynktowną wiarę w postęp świata! Biada młodym newropatkom, które, niczego nie doświadczywszy, wszystkiego mają już dosyć! Stosuj się odważnie do warunków chwili bieżącej, interesuj się swoją epoką, na reakcję masz jeszcze dosyć czasu...

U ciebie wszakże, dzięki szczęśliwemu ustosunkowaniu władz serca i umysłu, jak również dzięki pochodzeniu ze starej, od dwustu lat datującej rodziny mieszczańskiej, to upodobanie we współczesności łączy się z tajemną tkliwo-

ścią dla cudnych wyrobów twoich przodków. Raz dlatego, że są one piękne i to pięknnością, z którą żyłaś się mocą dziedziczności w tobie skupionej, i że rozumiesz bez specjalnego artystycznego wykształcenia. Następnie, bo są one przeszłością twojego kraju, są, jednem słowem, narodowe. Pomędzy tobą, Franiu, i tymi zachwycającymi meblami ubiegłych wieków, tymi cudownymi drobiazgami, przepiękną porcelaną i klejnotami zachodzi pokrewieństwo, które cię wzrusza od pierwszego wejrzenia. — Kolebka króla rzymskiego, jakkolwiek pożyczona przez władcę Austrii, należy trochę do ciebie, jak również i szafa Maryi Antoniny; jakieś wiejskie przybranie, najskromniejszy wełniak w cudowny sposób przez czas oszczędzony i zawieszony w witrynach wystawy, świadczy o starożytności twojego ludu, zajmuje cię przeto więcej, niż najpyśniejsza broń hiszpańska lub relikwie potentatów indyjskich.

Okazuje się, że to olbrzymie muzeum, któremu poświęciłaś nie więcej nad dni kilkanaście, pozostawi ci po sobie bardzo chaotyczne wspomnienie; twierdzisz wszakże, żeś je dosyć widziała. Mały Pałac zato i jego historyczne uzupełnienia, porozrzucane w rozmaitych oddziałach, nie nadaremnie w oczy ci wpadły. Patrzałaś tam wzrokiem, który wraza ujrane przedmioty w mózg: są one już teraz częścią ciebie samej, twojego umysłu, twojej młodocianej erudycji. Tak samo, wywołane przez dumę narodową

i przez estetyczne powinowactwo wzruszenia, jako samoistne i głębokie, nie znikną z biegiem czasu. Przeciwnie, umocnią się w tobie i utrwala; dopomogą w ukształtowaniu się twojego gustu i wrażliwości.

Zastanów się nad tem kiedy, moje dziecko, chociażby podczas godzin szycia, o których mówisz, że byłyby zabijająco nudne, gdyby się nie miało prawa myśleć o czem innem. Przekonasz się wtedy, że owocem będzie to tylko wychowanie, któremu przeszłość, tradycja, historia pokoleń za podwaliny służyć będzie. Idąc przedziwnym szlakiem twojego świeżego dziewczęcego umysłu, wykształcenie instyktownie na tradycji oparte, powinno dążyć z samowiedzą za prądem swojej epoki.

Ten pewnik jest mi wraz z innymi wskazówką, gdy mnie prosisz o lekcye spraw życiowych; na nim opierać się będą przestrogi, które chciałbym ci w moich listach ofiarować.

Czy jest on znany i stosowany przez szanowne kierowniczkę zakładu Berquin, któremu cię pani Le Quellien powierzyła? Obawiam się, że nie... Pani Rochette i jej współpracownice mają za sobą doświadczenie i dużo dobrej woli; zasadą ich jest jednak, że wychowanie dziewczęcia w 1900 roku ma być jota w jotę to samo, co w roku 1855, czyli wtedy, gdy one uczęszczały do szkoły. To już trochę za daleko posunięte zamiłowanie do tradycji. Spotkasz i takich jeszcze fantastów, którzy utrzymywać

będą, że obowiązkiem wychowawcy jest przeobrażenie małej Francuzki np. na Angielkę albo Amerykankę. Ten system jest bardzo niebezpieczny. Metoda pani Rochette jest nieszkodliwa, lecz bezużyteczna.

Chciałbym, droga Franiu, posiadać cudowny pierścień, który za włożeniem na palec niewidzialnym czyni, by przez dzień cały, od rannego do wieczornego pacierza, towarzyszyć tobie i twoim koleżankom. Pomimo całego zaufania, jakim mnie darzysz, nie powtórzysz mi nigdy wiernie ani tego, co ci nauczycielki w klasach wykładają, ani rozmów, które w rekreacyjne godziny między sobą prowadzicie, ani myśli przelatujących przez głowę, gdy rygor szkolny do milczenia cię zmusza. Kobieca solidarność zamknie ci usta w miejscach najciekawszych; moje dawne uczniowskie doświadczenie wystarcza mi jednak, by wiedzieć, do jakiego stopnia dziwaczną i przestarzałą jest przeciętna pensja francuska i jakie ubóstwo myśli tam panuje. Twoja przenikliwość zdaje sobie z tego sprawę, skoro zażądałaś uzupełnień w wykładach o życiu. Strzeż się jednak, Franiu, byś ryczałtowo nie potępiła edukacyjnego systemu pani Rochette. Zawiera on zasady bardzo chwalebne i dające się z całą pewnością do wychowania młodego współczesnego dziewczęcia zastosować. Twojej subtelności pozostawiam odróżnienie tego, co jest piękne i pożyteczne w tej mieszaninie zastarzałej rutyny z praw-

dami, stwierdzonemi doświadczeniem całych pokoleń. Wszak w większości wypadków te przedziwne rzeczy, które wzbudziły twój zachwyt, gdy uporządkowane oglądałaś w twoim ulubionym Pałacyku, zostały wyciągnięte z zawalonych strychów, gdzie artystyczna spuścizna ubiegłych wieków w zapomnieniu, pomiędzy wieloma bezużytecznymi przedmiotami spoczywała. Po ich szlachetności, wrodzonej harmonii i po ściśle narodowym charakterze poznasz myśli i nawyki godne naśladowania. Z nich to utworzysz — czyli stworzymy razem, bo pragnę być ci w tem pomocą — muzeum zalet, które winny być urokiem i chlubą kobiety. I tak samo, jak nie naruszasz swoich współczesnych zapatrywań, studiując zbiory na Polach Elizejskich, tak samo pozostaniesz dzieckiem XX wieku, jakkolwiek od czasu do czasu odwiedzisz ten urojony pałacyk, złożony z tradycji i wspomnień.

III.

Dzień zaduszny. — Pielgrzymka. — Rzut oka w przeszłość rodziny. — Przodkowie. — Rolnicy i żołnierze. — Sierżant Napoleona. — O nieśmiałości i o przedsiębiorczości. — Babka Brygida. — Glinka, z której powstała Frania.

Jutro, droga Franiu, pensya Berquin, to miłe więzienie, obdarza dniem wolności swoje wychowanki. Jest to dzień smutku i powagi, poświęcony pamięci zmarłych. Zaledwie lat dwadzieścia liczy najstarsza z was, a jednak prawie niema między wami takiej, któraby wielkiej żałoby religijnej z osobistym tęsknem wspomnieniem nie łączyła.

Dla ciebie naprzykład, tradycyjna na cmentarz pielgrzymka nietylko pobożną przechadzkę ma na celu. W tem ogromnem mieście mogił, jakim jest Père-Lachaise, i ty masz swój kącik, zawiera on bowiem śmiertelne szczątki twojej rodziny, wreszcie — zmarłego przed ośmiu laty ojca.

Gdy pójdziesz jutro wieńczyć chryzantemami gładki kamień, kryjący zwłoki twoich krewnych, gdy przeminie ta nieokreślona tęsknota, ta go-

racą modlitwa, by naszym kochanym dobrze było w tym tajemniczym bezmiarze, w którym obyśmy kiedyś złączeni być mogli, — przywołaj wszystkimi siłami duszy pamięć twojego ojca. Każ sobie opowiedzieć jego życie; byłaś za młoda, gdy umarł, by o nim wyraźne zachować wspomnienie. Następnie, wieczorem w mieszkaniu twojej matki poproś ją o pokazanie ci i objaśnienie skromnych archiwów familijnych. Rozważ je dobrze, gdy wrota pensyi za tobą się zamkną. Mówiłem ci niedawno, jak ważnem jest dokładne poznanie spuścizny narodowej, którą nam dzieje naszego kraju przekazują. Niemniej pożądaną jest znajomość historii swojego rodu, tego całego szeregu istot, których krew w naszych żyłach krąży.

Twoja rodzina, moje dziecko, na rodzimym powstała gruncie. Wieś jest jej kolebką. Gdy cofniemy się o trzy lub cztery pokolenia wstecz, ujrzymy kmieci gospodarzy na roli, którą sami uprawiali. Zalecam ci być dumną z tego pochodzenia i głosić je śmiało, jeśli cię o nie zapytają. Prawdziwe szlachectwo musi z ziemi ciągnąć swe soki i iść śladem swych przodków. Miej odwagę szczyścić się krwią wolną od wszelkiej domieszk. Ileż mamy wielkich i wysokie tytuły posiadających rodów, które w bogatych, na los szczęścia zawieranych związkach nawet cudzoziemska krew zasilala. Pomnij też, że ci wolni rolnicy, twoi przodkowie, mocą oszczędnego wyładowywania energii intelektualnej,

przekazali ci świeże zdolności, gotowe do czynu potęgi, których żaden poprzedni nie zużył wysiłtek. Żyli oni i pomarli bez rozgłosu, śpią cicho na swoich wiejskich cmentarzach, gdzie pewnie nikt jutro nie pójdzie wieńczyć ich porośniętych trawą mogił. Że jednak skromni byli to wieśniacy, że mózg ich nie wysilał się w znojnym trudzie, ty, Franiu moja, okazujesz się we wschodzącej jutrzence dwudziestego stulecia tak pełna sił żywotnych, bystra umysłem, a sercem dzielna.

Jeden tylko z twoich pradziadów pozostawił ci wyraźny ślad swojego istnienia, które w perspektywie minionych lat i z powodu, że wojna dla naszego pokolenia mniej ma uroku, wydaje nam się bohaterskiem i niezwykłym. Był on żołnierzem za pierwszego cesarstwa i należał do wszystkich wypraw Napoleona od 1806—1814 roku. Był pod Jeną i pod Frydlandem, pod Wagram i Berezyną, i z promieni tej chwały i z grozy tylu niebezpieczeństw wyniósł tylko stopień sierżanta. Jakże pospolitem musiało być ongi bohaterstwo! Powrócił on następnie do życia cywilnego i otrzymał skromną posadę przy komorze celnej swojego departamentu. Mrok niepamięci kryje dalsze jego losy, a jedyne po nim dziedzictwo to pożółkły skrawek papieru, gdzie po wymienieniu wszystkich potyczek, w których brał udział, znajdujemy słowa: »Ludwik Piotr Le Quellien służył swojej ojczyźnie wiernie i odważnie«. Oto i wszystko!... Syn tego

bohatera był przemysłowcem tak prawym i uczciwym, jak skromnym a nieskazitelnym żołnierzem był jego ojciec. Nie zrobił majątku, potrafił jednak wykształcić serce i umysł swojego jedynaka. Na szczęście, poddany temu pierwszemu doświadczeniu osobnik okazał się wyjątkowo obdarzonym i z nim to intelektualność weszła do twojej rodziny. Był to twój ojciec Jan Le Quellen. Przystawałem z nim dużo, szczególnie, gdy został mianowany wice-dyrektorem w ministerium finansów. Niewielu ludzi może poszczycić się wiedzą tak rozległą i tak szerokie zataczającą kręgi. To też wydawało mi się zawsze oburzającą anomalią, że pędził on życie w ciasnych ramach niewdzięcznych zajęć, które stu innych, mniej obdarzonych od niego, równie dobrze wykonać mogło. Wszak pamiętasz, dziecko drogie, tego uczonego, skromnego aż do nieśmiałości człowieka, którego wyższości nad sobą jego zwierzchnicy nawet nie przeczuwali. Często przywołuję na pamięć jego kwadratową postać, rumianą twarz o rysach szlachejnych i myślących oczach, których wyraz łagodził te dzieciczne znamiona dziecka wsi. Nic nie uchodziło jego uwagi. Rozmowa z nim posiadała niewymowny powab. Wpoił on w swoją rodzinę zamiłowanie do poważnego czytania. I często przypominam sobie widok tak pełen powagi i szlachejnego uroku, który moje oczy uderzał, gdy za jego życia wieczorami do was przychodziłem. Zastawałem waszych rodziców i dziewięcioletnią

śliczną dziewczynkę, jaką ty wówczas byłeś, w jasnym oświetleniu wiszącej lampy zgromadzonych przy jadalnym, zieloną serwetą przykrytym stole i zatopionych w czytaniu...

Ten mąż tak wybitny i wzorowy miał jednak wadę, której ukrywać przed tobą nie chcę, albowiem pamięci ukochanego zmarłego ona mniej drogą ci nie uczyni, a z poznania jej naukę dla siebie wyciągnąć możesz. Był on w czynach chwiejny i nieśmiały, co było wynikiem jego wrodzonej skromności i braku wiary w swe siły; przyczyniała się do tego zapewne i fortuna z pokolenia w pokolenie mierna. Wszak nikt z waszej rodziny nie zrobił świetnej kariery. Z jakiej racji miał on czuć się godnym lepszego losu? Zajęcie, któremu się poświęcił, zadawało jego miłość własną. Wysokie stanowisko przeraziłoby go nawet. Czuł się szczęśliwym, tem więcej, że i twoja matka nie tylko, że obdarzyła go całą pełnią rodzinnego szczęścia, lecz jeszcze wniosła mu posag, odpowiadający jego dochodom. Na spokojnym dostatku gruntowało się jego ognisko domowe. Nie bolał też nigdy nad miernością swojego losu, którego skromność tak bardzo z jego zdolnościami nie licowała.

Tym sposobem, droga Franiu, w historii męskiej linii twojego rodu z łatwością odnajdujemy wytłómaczenie twojego otwartego umysłu i dużej odporności fizycznej; trudno nam jednak znaleźć ślady śmiałej przedsiębiorczości, z którą się w twoim charakterze spotykamy. Mamy

wprawdzie sierżanta Napoleona; skłonny jednak jestem do przypuszczenia, że działał on z obowiązku raczej, niż z przekonania. Gdyby przypadek uczynił twojego ojca żołnierzem, byłby on niewątpliwie dzielnym wojownikiem; nie stałby się jednak człowiekiem czynu w dosłownem znaczeniu tego wyrazu, to jest mającym we krwi wolę, inicjatywę, źródło działania... Twoja łagodna matka nie wpłynęła również bynajmniej na urobienie się twego tak żadnego nowości charakteru, tej pełnej wdzięku, żdźbłem samowoli popartej niesforności. »Biedna mamusia!...« oto jak ją najchętniej nazywasz, lecz ponieważ wiem, jak uległą i pełną uszanowania jesteś córką i wobec tego, że mówisz te słowa tak zabawnie, zapominam przyprowadzić cię do porządku na punkcie zachowania się twego względem matki. »Biedna mamusia!...« Znaczy to w twojej myśli, że mnóstwo jest rzeczy na świecie, do których ty się zapalasz, a dla niej one nawet zajmujące nie są; że czy to ulubione jej książki, czy najmilej słuchane przez nią utwory muzyczne wydają ci się jednakowo ckliwymi. Nawet jej doświadczenie życiowe za tak niedostateczne uznajesz, że na myślby ci nie przyszło zasięgnąć jej rady w wypadkach wątpliwych. Jest w tem trochę prawdy. W przeddzień opuszczenia pensyi, zaczynasz, Franiu, być starszą od twojej matki. Twoja generacja wykazuje przedwczesną dojrzałość, dziwnie odbijającą od szlachetnego odrętwienia, w którym tak

się lubowało pokolenie waszych matek. Zresztą gdy mamy na myśli panią Le Quellien trzeba przyjąć w rachubę wpływ przez ubóstwianego męża na nią wywierany i dziwne okoliczności, w których wzrosła. Dobiegamy tutaj do najwięcej zajmującego punktu twojej genealogii.

I rodzina twojej matki zarówno z kmieci wywiodła swój początek, wcześniej jednak dorobiła się dostatku i znaczenia. Prababka, której zwłoki spoczywają na Père-Lachaise, urodziła się bogatą. Wynalazek mechaniczny, *patent* — jak dawniej mówiono — stał się od razu źródłem fortuny twojego pradziadka, skromnego nadzorcy robotników w fabryce. Jego jedyna córka wyszła wcześniej za mąż, wbrew życzeniu, lecz z upoważnieniem rodziców. Była to zwykła miłośna historia. Człowiek, którego wybrała, dał jej szczęście i ruinę, spowodowaną uczciwymi, lecz szalonymi przedsiębiorstwami. To wspomnienie jest do dziś dnia postrachem twojej matki, która przejęła się nienawiścią do wszelkich interesów, jeszcze zanim została żoną twojego ojca, bynajmniej nie aferzysty. Patent przepadł. Skromny posag dla córki, a dla matki tyle, by egzystować mogła, — oto, co dało się ocalić. Przyznać jednak należy, że twoja babka znosiła swoje ubóstwo heroicznie. Mówiła mi, powtarzała to każdemu, kto chciał jej słuchać, że nie żałuje niczego, że szczęśliwą była, bo kochała i była nawzajem kochaną.

Ta dzielna kobieta zmarła w roku 1883. Pa-

miętał dobrze postać jej i charakter. Lubiała towarzystwo młodych i chętnie ze mną przesta-
wała, a nie miałem wówczas jeszcze skończo-
nych lat 20. Przejrzyj u twojej matki album
z fotografiami: znajdziesz tam dwie lub trzy
podobizny tej, którą nazywałem ciotką Brygidą.
Bez trudu dopatrzysz się w nich podobieństwa
z tobą. Jesteś, jak mówią, żywym jej portretem,
o drobniejszej nieco postaci, o piękniejszych
oczach, o silniej zarysowanej brodzie, o mniej
regularnych, lecz więcej ożywionych rysach,
nie opromienionych tklivością, bijącą z tamtej
twarzy. — Twoja nosi wyraz zaciętości raczej
i uporu. Okazuje się, że przy tym tajemniczym
doborze typów, któremu oddaje się Natura, gdy
ma powołać nową istotę do życia, pomieszała
ona znaczną ilość pierwiastków ciotki Brygidy
z delikatną glinką, przeznaczoną na wymodelo-
wanie panny Franciszki Le Quellien. Dorzuciła
dużo ojcowskiej inteligencji, niewiele, ale to
bardzo niewiele matczynej słodyczy — i w to
wszystko tchnęła życie. Powstała z tego osóbką,
o wielce miłej powierzchowności, mającą różne
zalety i wady, dostatecznie wszakże przeciwko
walce życiowej uzbrojona.

Mam nadzieję, drogie dziecko, że wspomnie-
nia, tym listem wywołane, będą towarzyszyć ci
jutro w pielgrzymce na mogiły twoich zmarłych.
Twoi zmarli! Niewielka ich liczba spoczywa
pod kamieniem grobowym, przy którym zegniesz
kolana. Spłacając tym blizkim dług pamięci, nie

zapomnij o innych, którzy w różnych zakątkach
kraju spoczywają i których życie, jakimkolwiek
ono było, wpłynęło na twoje losy. Podważasz
swoją indywidualność, utrzymując ją w stałej
styczności z przeszłością narodową i z gałęzią
twojego szczepu, co rodziny miano nosi. Rozszerz
zatem znaczenie religijne dnia zadusznego. I nie-
tylko temu zacnemu człowiekowi, twojemu ojcu,
i tej cudnej a tkliwej postaci twojej babki złóż
hołd pobożny. Prześlij go również najdawniej-
szym z twoich przodków, aż do żołnierza Napo-
leona, aż do nieznanych oraczy, którzy przed
wieloma setkami lat twoim mówili językiem,
odrobiną twojego posługując się akcentu.

IV.

Idziemy oglądać nowości zimowe. — Opinia panny Lusi o »mężczyznach«. — Frania lubi stroje. — O dwóch rodzajach kokieterii. — Pogoń za zbytkiem. — Udręczenia fałszywej elegantki. — Pożądany rodzaj zalotności.

Znajduję dzisiaj w mojej skrzynce do listów bilecik, którego pochodzenie odgadłem natychmiast po wyraźnym i ostrym charakterze pisma:

»Jakież przyjemne popołudnie spędziłam wczoraj z tobą, wujaszku, gdy poszliśmy oglądać magazyny. O ileż to więcej zajmujące, niż gdy idę z mamą, bo ją to w gruncie rzeczy nic a nic nie interesuje. Ty bo jesteś tak uprzejmy i cierpliwy! Teraz jednak opadły mnie wyrzuty sumienia: czy tylko nie naraziłam cię na stratę czasu? Skreślaj mi parę słów, by mi wrócić spokoj! Frania«.

Bądź dobrej myśli, kochanie; nie uważam bynajmniej za czas stracony tego popołudnia, gdy z powodu zmęczenia pani Le Quellien zostałem posunięty na godność twojego towarzysza w wycieczce do magazynów. Podobno

w przededniu zmiany sezonu, te wywiady o modzie nawet przez wychowawce zakładu Berquin nie mogą być zaniechane. I prawda, ta pensja nie narzuca munduru, żąda tylko, by uczennice ubierały się ciemno, bez strojnych przybrań i zbytecznych ozdób. Otóż chodzi o to, by obejść te przepisy i być ładnie ubraną w dniu wyjścia na miasto. Starasz się też o to wszelkimi siłami. Przyznałaś mi się, że pragniesz posiadać wykwintne, ale to bardzo wykwintne toalety, i że jest to również marzeniem twoich towarzyszek. Niewielka tylko ich liczba jest bogatą, a ubierają się już one w pierwszorzędnym magazynach. Inne, a tych jest najwięcej, starają się pokryć niedobór budżetu pomysłowością, i taką jest właśnie twoja przyjaciółka Lusie Despeyroux (ta sama, która ma tego ładnego brata) — no, i ty.

Lusia jest wyznawczynią teorii, którą raczyła w mojej obecności wypowiedzieć. Nie zwracała się z tem wprowadzić do mnie, a nawet w zapale rozmowy z tobą zapomniała o mojej osobie.

— Moja kochana — wykrzyknęła ta uroczą siedemnastoletnia osóbką, której gibką i okrągłą figurkę zręcznie uwydatniał granatowy sukienkowy kostium — gdy się nie ma rocznie stu tysięcy franków do wydania na toalety, trzeba się zadowolić bluzkami oraz sukienkami o kroju angielskim. A przytem, wiesz, mężczyźni lubią tylko kostium »genre tailleur«.

Spotykałem często Lusię u twojej matki i opo-

wiadałaś mi o niej dosyć, bym od razu przypisał ten stanowczy sposób wyrażania się rzeczywistej i zachwycającej jej niewinności. Nic mnie tak nie rozrzewnia, jak gdy słyszę twoją przyjaciółkę, mówiącą o świecie, o życiu, a nade wszystko o »mężczyznach«. Mężczyźni dla niej to właśnie ów śliczny uczeń szkoły Saint-Cyr, Maks Despeyroux, który swoim wejściem do sali przyjęć zakładu Berquin wywiera od czasu do czasu tak silne wrażenie. Ze słów Lusi wnioskowałem, że ów powabny Maks gustuje wyłącznie w sukniach angielskich. Ty, Franiu, w odpowiedzi wygłosiłaś po chwili tak pełną głębokiego namysłu uwagę:

— Kostiumy »genre tailleur«, na które miałabym ochotę, są wszakże ogromnie drogie. Ach! jak to musi być przyjemnie, mieć tyle pieniędzy, by się nimi w swoich pragnieniach nie krępować!

— Franiu!... — przerwała na wpół z uśmiechem, lecz tonem wymówki, twoja matka.

Zarumieniłaś się; na twojej twarzyczce ukazał się zabawny dąs, który, jak u małego dziecka, ściągnął ci usteczka w podkówkę... i kwestya ubrania została zaniechaną. Pani Le Quellien niepokoi się prawdziwie twoją do zbytków skłonnością. Uspokajam ją, jak umiem, jednak w cztery oczy mogę ci moje spostrzeżenie powiedzieć: myśl o toaletach zanadto cię opanowała. Nie staje to wprawdzie na przeszkodzie twojemu zamiłowaniu do rzeczy seryo, do nauki, do sztuki,

i nie czyni cię mniej dobrą lub wrażliwą. Ale i twoje dobre serce i poważne gusta godzą się znakomicie z niezmierną do strojów pochopnością. Popołudnie, które spędziliśmy razem na oglądaniu zimowych nowości, dostarczyło mi w tym względzie pouczających wskazówek.

Skonstatowałem na wstępie, że znasz dokładnie z imienia i z adresu wszystkie większe firmy. Podziwiałem swobodę, z jaką wchodziłaś do magazynu, kazałaś sobie przedstawiać modele, i twoją zręczność wycofywania się w ostatniej chwili, nic nie kupiwszy, unosząc tylko w swej główce wiernie zanotowany upragniony fason. Widziałem iskrę, zapalającą się w twych oczach, gdy jakaś »piękna rzecz« — o ile możemy użyć tego wyrażenia, mówiąc o takich błahostkach, jak ubranie — twój wzrok uderzyła.

Niestety!... Franiu moja — muszę ci wyznać tę bolesną prawdę — że pomimo licznych zalet, którymi cię natura obdarzyła, zbytek będzie ci bożyszczem, jeśli fortuna na cię łaskawą się okaże; w przeciwnym zaś wypadku, niezadowolenie z losu będzie twym udziałem. Oto dlaczego rezultatem wspólnej naszej do magazynów wycieczki jest niepokój, z którego się spowiadam. Jeśli to wyznanie sprawia ci przykrość, niechże zrównoważy ją mój dobry humor, gdyśmy razem sprawunki załatwiali.

Czyś spostrzegła, że wyraz kokieterya podwójne ma znaczenie, bo i rzecz sama ulega stopniowaniu. Kobieta, strojąca się dla samej

siebie, mająca jedynie wygląd estetyczny na wzglądzie, jest odrobinę kokietką, ale jest nią więcej ta, która stara się o hołdy mężczyzn, ubiegając się o możliwie największą ilość wielbicieli... Oburzasz się. Mówisz: »Mało dbam o to, nudzi mnie nadskakiwanie«... Rzeczywiście, sprawdziłem sam, że do tej pory jedynie kokieterya pierwszego stopnia jest ci znana. Irytują cię ckliwe zwroty, uwielbienia zbyt wyraźne urażają i niepokojem przejmują. Czy jesteś wszakże pewną, że nie przekroczysz nigdy tej zdradzieckiej granicy? To zamiłowanie do stroju może być wywołane w danej chwili chęcią podobania się tylko samej sobie. Czy nie dlatego jednak, że okres bieżący jest dla ciebie rodzajem popasu na drodze życia — »niemymi faktami«, jak je nazwałaś?... Rada ubierasz się wykwintnie, bo twój widok upewnia cię co do przyszłości.

Głos (tłumiony zapewne obecnie) odzywa się w tobie: »Gdybym tylko chciała!...« Nie polegaj zbyt na twojem lekceważeniu męskich hołdów, na twojej do flirtu niechęci. Kobiety są zwykle skłonne chrzcić mianem cnoty to, co nieśmiałości jest wynikiem. »Ależ, wujaszku, ja nie jestem nieśmiała!« Prawda, i dlatego jestem niespokojny. Twój wstręt do pochlebstw jest następstwem braku oswojenia się z niemi — rezultatem idealnie czystego, rodzinnego wychowania. Śmiem twierdzić, że trzy miesiące światowego życia wystarczą, by ta wrażliwość ulotniła się, jak mgła. A wtedy, czy można zaręczyć, że wro-

dzony pociąg do zbytku nie ogarnie panny Frani w sposób przekraczający linię graniczną pomiędzy tymi dwoma rodzajami kokieteryi?...

Oponujesz? Przypuśćmy zatem, że zatrzymasz się na pierwszym stopniu, to jest stroić się będziesz dla siebie samej, jedynie tylko dlatego, by zwierciadło przesyłało ci odbicie pięknej i wykwintej postaci... Napotkasz jednak inne, w różny sposób próżne kobiety. Czy nie opanuje cię wówczas chęć zwyciężenia ich w tej walce o pierwszeństwo w przepychu? Za naszych czasów ta pogoń za zbytkiem dochodzi w Paryżu do szaleństwa, a kres przewidzieć trudno, albowiem mania współzawodnictwa i tu zdążyła swe korzenie zapuścić. Niedawny proces, wytoczony odbiorczyni przez jej dostawcę, ujawnił jakąś, na jednorazowy użytek przeznaczoną spódniczkę, kosztującą bajeczną sumę dziewięćuset franków. Cały świat elegancki zna pewną — sympatyczną zresztą — damę, która codziennie sprawia sobie co najmniej po jednej toalecie... Ubiegłego lata spędziłem jakieś dni kilkanaście nad morzem, w miejscowości bardzo uczęszczanej. Największą rozrywką próżniaków, tam zgromadzonych, było podziwianie strojów pewnej przyjemnej osobki, należącej do wykwintego kosmopolitycznego towarzystwa. Przebierała się ona trzy razy na dobę, a nigdy nie powtórzyła ani sukni, ani kapelusza... Był to widok dla panów bardzo zajmujący, dla innych zato elegantek był po prostu okrutny. Kobieta, opanowana przez nadmierną

chęć błyszczenia, chce być pierwszą na tem polu, a w razie nieosiągnięcia tego celu, uważa całą swoją elegancję za chybioną... Stanik, w który się z taką lubością stroiła, wydaje jej się rozpalonym ołowiem od chwili, gdy ujrzała na innej strojnisi — piękniejszy... O Franiu, wyobraź sobie, jakie katusze są udziałem kobiety, dla której mierna fortuna przedstawia nieprzewyciężony szkopuł w tym upragnionym wyścigu próżności, i której zachcenia trzymane są bezustannie w karbach przez ograniczony budżet domowy!

Znam kilka takich nieszczęsnych istot. Wszystkie mają, naturalnie, stosunki z pierwszą panną z magazynu Virota, która zdradza dla nich fachową tajemnicę i oddaje im za trzydzieści franków modele wartości dwustu. Wszystkie wynalazły modniarkę o paluszkach czarodziejki, która »odrzucała zajęcie u Doeuillet«, by zapewne przez filantropię odrabiać toalety za trzy luidory. Wszystkie skąpią w wydatkach, dotyczących utrzymania domu, aby tylko pokryć koszt ubrania, olbrzymie, pomimo osobiście wykonanych przeróżnych ozdób. I, gdy nadejdzie nareszcie ten wielki dzień, czy też wieczór, w którym ta pracowita toaleta świata się ukazuje — gorycz ściska serce jej właścicielki. Rozejrzała się ona już wokoło; zrobiła porównanie; wydała sąd. Autentyczny kapelusz od Virota, autentyczna suknia od Doeuillet znajdują się tutaj, lecz przez inną noszone kobietę, i z wyglądu współzawodniczki wyciąga ona wniosek, że jej ubranie dla

każdego wprawnego oka (a czyż jest kobieta, któraby go nie posiadała?) przedstawia wymęczone naśladownictwo, oszczędność w zbytku, czyli coś więcej rażącego, aniżeli ubóstwo!... Nie zniechęci to tej nieszczęsnej ofiary od dalszego uganiania się za nowymi rozczarowaniami, przepełniającemi powoli serce goryczą. Stoczenie się w przepaść, którem powieściopisarz kończy zwykle taką egzystencję nie zawsze ma miejsce. Dola wszakże takiej kobiety, jakkolwiek tragiczna, jest i pogardy godna. Uczciwa zbytnia! Jakaż treść do romansu dla psychologa. Nie przypominam sobie, by ją kto poruszał, życie codzienne zato ustawicznie ją rozwija.

Widzę cię, słyszę, gdy gniotąc mój list w drobnej rączce wołasz: »Och, szkaradny, niesprawiedliwy! przypuszcza, że stanę się podobną do tych lekkomyślnych kobiet!...«

Nie, drogie dziecko. Wiem, że twoja znakomicie zrównoważona natura wzdryga się przed ostatecznościami. Ja pragnę uleczyć cię ze zdradliwej, stopniowo wzmagającej się skłonności i przed bolesnem doświadczeniem cię uchronić.

W obecnej chwili twoja zalotność posiada pewien wrodzony wdzięk i jest najzupełniej niewinna, to też z miłą chęcią podałem się wczoraj na jej usługi. Ale co będzie jutro? W zgiełku światowego życia? Trzebaż nam znać cel, do którego dążymy, umieć chcieć, jak mówi filozof. Po co objuczać się ciężarem, który drogę ucią-

żliwszą uczyni, a pozbyć go się będzie coraz trudniej?...

— Dobrze, wujaszku, nie będę już zalotną...

I tego wystrzegaj się, Franieczko. Omawiałem dzisiaj z tobą dwa gatunki kokieteryi: pierwszy bezwarunkowo godny potępienia, i jestem pewien, że tego uniknąć potrafisz, i drugi — to ową właściwą tobie, nieszkodliwą, lecz mogącą stać się groźną z biegiem czasu zalotność. Otóż, kochanie, jest jeszcze dobra i pożądana chęć podobania się... Wszak wiesz, że nie można wyświadczyć kobiecie gorszej przysługi, jak gdy się o niej powie: »Ona to już zupełnie nie dba o to, żeby się podobać!...« Mężczyźni (jakby zaraz powiedziała twoja przyjaciółka Lusia) nie lubią takich kobiet. Zapytaj o to tego jej ślicznego brata, zwolennika kostyumów angielskich.

Należy też unikać tej zbytnej przesady w cnotcie i dlatego odrobinę kokieteryi mieć potrzeba. Zgadujesz już pewno jakiej; szcharakteryzuję ją szczegółowo w następnym liście, a ponieważ w prostocie duszy ważymy się na rozpatrywanie najważniejszych współczesnych zagadnień, postaram się przepowiedzieć na tych samych kartkach, jaką będzie w wieku XX przyszłość strojów kobiecych.

V.

Wizyta pani Le Quellien. — Znowu kwestya kokieteryi. — Twierdzenie (teorema) według Fenelona. — Kobiecte ubranie przyszłości. — Garnitur. — Jeszcze Fenelon.

Zabierałem się właśnie do pisania listu do ciebie, gdy oznajmiono mi przybycie pani Le Quellien. Była godzina dziesiąta rano.

— Mój przyjacielu — wyrzekła twoja matka, siadając koło mego biurka. — Przyszedłam do ciebie, byś mi odjął troskę, z powodu której spędziłam noc bezsenność. Czy nie dzisiaj masz zamiar pisać do mojej małej?

Odpowiedziałem, że w samej rzeczy co drugi wtorek zwykłem był spełniać ten miły obowiązek.

— A więc!... Wiesz, chciałabym... Mój Boże!... Jakby to powiedzieć, żeby nie zrobić ci przykrości?...

Błagałem panią Le Quellien, by się nie krępowała i wyznała czempredzej, co ją trapiło.

— Naprawdę? nie obrazisz się?... Bo, widzisz, takbym nie chciała wtrącać się pomiędzy ciebie i Franię... Ale wczoraj, gdy poszłam ją odwie-

dzić, znalazłam ją tak przygnębioną i smutną, że musiałam wymódlę na niej wyznanie prawdy... Okazuje się, że to twój ostatni list, w którym ganisz ją za jej zalotność, wywołał to całe zmartwienie. — »Jeżeli ten, kto mnie zna tak dobrze, może taki zły sąd wydać o mnie, cóż mają myśleć inni ludzie, znający tylko pozory?...« Powiedziała mi również, że twoje uwagi pogrążyły ją w cały chaos zwątpienia i sprzeczności. — »Co robić?... — mówiła. — Nie mogę przecież ubierać się w materyały, któreby mnie śmieszoną czyniły, albo nosić kapelusze nie do twarzy?... Jeśli tak, to niech je mama razem z wujem dla mnie wybiera, bo w gruncie rzeczy jest mi to wszystko jedno! Ja tylko myślałam, że sprawia wam przyjemność widzieć mnie dobrze ubraną...

Tak mówiła pani Le Quellien, a ja czułem się nad wszelki wyraz zmieszany i zmartwiony.

— Droga Frania! — szepnąłem. — Gdybym był przewidział, że zrobię jej przykrość, rzuciłbym list w ogień. Czy mam mimo to pisywać do niej w dalszym ciągu?

— Ależ naturalnie. Ona oczekuje twego listu z gorączkową niecierpliwością, bo podobno obiecałaś określić w nim godziwą, a nawet pożądaną chęć podobania się. Pisz zatem, ale proszę cię... tym razem przynajmniej nie bądź bardzo surowy, żeby jej do płaczu nie doprowadzić. Ona jest jeszcze taka młoda, a wiesz przecie, jak nieskazitelne ma serce!...

Po odejściu twojej matki, którą, jak mogłem

najlepiej, uspokoiłem, zacząłem zastanawiać się nad postąpieniem z tobą i bardzo je sobie miałem za złe. Jakto, więc mój ostatni list, pisany przeze mnie w najlepszej myśli, tak cię zmartwił? Pragnąłem obudzić twoją wrażliwość, a okazuje się, że ją zranił! Niestety! drogie dziecko, nie pierwszy to raz spotyka mnie to nieszczęście, nie z tobą wprawdzie, lecz z czytelnikami. Czyż jest jaki autor, któryby się nie zdumiał nad niezwykłym tłómaczeniem jego myśli, wypowiedzianych przez niego, jak mu się zdawało, w sposób bardzo umiarkowany?

Ale bo widzisz, pominąwszy obojętnych, każdy szuka w książce pokarmu dla swoich uczuć i przekonań. To też, właściwie mówiąc, pochlebiło mi po prostu to, żeś mój list tak bardzo wzięła do serca... Jednakże twoje piękne oczęta płakały, więc mam wyrzuty sumienia. I ponieważ byłem tak niezręczny, że cię zranił, więc, by wkraść się napowrót w twe łaski, oddaję głos najśłodszemu z kaznodziej — Feneloniowi. Mówi on, zwracając się do młodych dziewcząt: »Prawdziwy wdzięk nie polega bynajmniej na wyszukanym stroju. Ochędóstwo, proporcya i przystojność — oto zalety, o które wyłącznie ubiegać się należy«.

Bez odwoływania się zresztą do tego wysokiego autorytetu, przyznajemy, że pożądanem jest, by kobieta była miłym dla oka zjawiskiem. Przeciwnie, obojętność na własny wygląd jest naganną. Nie bez przyczyny wypisał słodki do-

radca księżny de Beauvilliers w nagłówku do zwolonych rodzajów kokieterii wyraz — »ochędóstwo«. Ta prawie cnota — jak ją nasi przodkowie nazywali — bywa często zaniedbana tam, gdzie chęć podobania się w grę nie wchodzi. Otóż, bardzo niepociągającą jest kobieta, o której mówią: »Ona nic a nic nie dba o siebie«. Jest to jedno z najpoważniejszych oskarżeń, rzucanych z przewrotną złośliwością na zniechęconą rywalkę... Bywa to często fałszem, szczególnie w Paryżu, gdzie najskromniejsze nawet mieszczaństwo coraz więcej higieną się przejmie. Przyznać wszakże trzeba, że na prowincyi dużo jest jeszcze do zrobienia na tem polu. Liczne, bardzo liczne są te miasta, gdzie mieszkawiec da odpowiedź podobną tej, jaką otrzymał mój przyjaciel, gdy okazał zdziwienie, wywołane brakiem kąpieli w jego nowem miejscu urzędowania: »Och! panie naczelniku, w naszym małym miasteczku tak rzadko odbywają się bale!« Wyłączne wszakże przestrzeganie tej cnoty to jeszcze za mało, bo jakkolwiek w towarzystwie współczesnem podobanie się przestało być jedynem zadaniem kobiety, dobre wywrzeć wrażenie pozostaje zawsze jednym z jej obowiązków, i tylko przesadzone emancypantki już dzisiaj rzec się go mogą. Ty, Franiu, bądź świadoma potężnego i niedającego zaprzeczyc się ruchu, który zwolna przekształca stroje kobiece w kierunku, jaki ci zaraz wskażę, ale, jako istota urodzona w 1882 roku, pozostań kobietą swojej epoki.

Fenelon wskazuje ci jeszcze jeden środek podobania się: wymawia on słowo *proporcya*. Zróbmy rozbiór tego wyrazu.

Twierdzenie: — Każda szkodliwa kokieteria jest omyłką w proporcji, a zatem jest dysharmonią.

Dysharmonią jest nadzwyczajność form, krzyżujące zestawienie barw. Dysharmonią — nadmiar przybrań dodanych do niezbędnego stroju. Jest nią również przeciążanie się klejnotami... Idźmy dalej w przystosunkowaniu naszego dowodzenia i powiedzmy, że zbytek w ubraniu przy miernej fortunie, chęć odmłodzenia się dojrzalej kobiety — to wszystko jeszcze dysharmonia.

Ty, Franiu, otrzymałaś w darze od natury poczucie miary. Twoje toalety są dlatego miłe dla oka, że są one niejako tłem i określeniem twojej osoby. Jedyną dysharmonią, jaka tobie grozi, jest nieumiejętność przystosowania stroju do efektu, jaki chcesz wywołać. Nie płacz tylko, proszę. Wiem, że jesteś najmilszą i najuczciwszą pod słońcem dziewczką. Przrzeknij mi jednak, że ile razy wypadnie ci sprawić sobie nową toaletę, zadasz sobie pytanie: »Do jakiego dążę celu, strojąc się w ten sposób?« Posiadasz inteligencyę i szczerść, więc łudzić się nie będziesz. Jeśli odpowiedź wypadnie: »Chcę olśnić ludzi«, albo: »Chcę wyglądać lepiej, niż Zuzia, Lusja, Julcia etc., lub: »Pragnę wydać się bogatszą, niż jestem« — to pokonaj odważnie pokusę. Oto ona, ta szkaradna kokieteria! Godziwą zaś, a nawet

pożądaną chęcią podobania się będzie, jeśli powiesz: »Chcę możliwie dobrze wyzyskać dary natury, by uczynić się miłszą dla oczu ludzkich, a szczególnie dla oczu moich kochanych; prócz tego pragnęłabym, by zewnętrzny wygląd uwydatniał mój wiek, moje upodobania, moją pozycję towarzyską w sposób możliwie wyraźny. Jeśli mnie kto pokocha, niechże celem jego uczucia będzie moje »ja«, a nie ustrojona w cudze piórka osoba«. Ot widzisz, jak łatwem jest rozróżnienie. Teraz spojrzymy w przyszłość.

Urodziłaś się, drogie dziecko, w końcu XIX stulecia, w XX wieku zatem twoje życie pełni rozkwitu dosięgnie. Interesujesz się też prawdopodobnie zmianami, jakim ulegną w tej epoce obyczaje niewieście. Należy przypuszczać, że dużem będzie to przeistoczenie, nierównie znaczniejszem, niż w minionem pięćdziesięcioleciu. Nigdy jeszcze umysły kobiece z równą nie fermentowały siłą. Troskę o szczęście bierze obecnie kobieta na swoje barki, nie szukając punktu oparcia w mężczyźnie. Ta ewolucya nie wszędzie znajdzie zwolenników, wszyscy ją jednak uznać muszą. Nie potrzeba wielkiego rozumu, by treść tej przemiany odgadnąć. W tym szeregu lat, które nastąpić mają, kobieta będzie dążyć wszelkimi siłami do zbliżenia swoich warunków życiowych do egzystencji mężczyzn; co za tem idzie, nawyknienia, a nawet wygląd obupłci, również się upodobnią.

Pani de Maintenon pisała raz do pani de Fon-

taines: »Powiedziano mi, że jedna z wychowanek Saint-Cyr zgorszyła się niesłuchanie tem, że jej ojciec wspomniał o swoich spodniach. Przecież ten wyraz jest w użyciu; co one w nim złego widzą?...« Znam ja i za naszych czasów dorosłe nawet osoby, które gorszą się już nie nazwą, lecz rzeczą samą, a na myśl o męskim ubraniu cyklistek płoną oburzeniem. Zgoda... Przypuśćmy, że przemiana tak daleko nie zajdzie, by zarzucić spódnice; wydaje mi się jednak zupełnie prawdopodobnem, że ty, Franiu, będziesz już świadkiem takiego przeistoczenia kobiecego stroju, jakiemu uległ przed niedawnym czasem strój męski. Dzisiaj cytują jako niesłychany wyjątek Paryżanina, który na ubranie wydaje jakie dwadzieścia tysięcy franków rocznie. Uniwersalnym jest dzisiejszy strój męczyzny, to też dziki człowiek, przeniesiony do Paryża albo do Londynu, nie potrafiłby odróżnić lokaja od pana. Taką będzie prędzej czy później, według wszelkiego prawdopodobieństwa, dola sukni kobiecej. Rewolucya ta powzięła swój początek w dniu, w którym powstał tak ulubiony przez twoją przyjaciółkę i jej brata angielski rodzaj sukni, »genre tailleur«. Pewien artysta w zakresie ubierania pań żalił się raz przede mną, że wyszły z mody obecnie uroczyste toalety wizytowe. »Każdy składa wizyty w stroju, w jakim w danej godzinie zwykł się znajdować«, wołał zdesperowany. Otóż i postępowanie. Wierz mi, że przyjdzie czas, gdzie zniknie jeszcze i spe-

cialna toaleta na wyścigi i także sama do teatru, na bal, czyli raczej te wszystkie stroje uproszczą się i zamienią w rodzaj munduru, jakim jest strój męski. Naturalnie, że cena tego garnituru będzie inna na Batignolles, a o ileż większa na ulicy de la Paix; lecz gdy raz ta ewolucja nastąpi, na nic nie zdadzą się wszelkie usiłowania powrotu do przeszłości. Tak, jak w męskim ubraniu, i tu rozum przeważa.

— A zatem, wujaszku, elegantek nie będzie już w owej epoce?

— Co mówisz, Franiu? Ty, która (jak to zauważyłem) zwracasz uwagę na męskie ubranie, czyż powiesz, że niema elegantów między nimi? »Czystość, proporcja i przystojność«, o których wspomina Fenelon, nie są bynajmniej wyłączone ze stroju męskiego, który jedynie niespokojnym duchom nie dogadza. Z ubraniem dzieje się tak, jak ze sposobem wyrażania się. Używamy wszyscy jednych i tych samych wyrazów; czyż przeto jedno i to samo mówimy? — I pewien jestem, że gdyby i kobietom na to przyszło, że całem urozmaiceniem ich toalety będzie wybór pomiędzy frakiem, surdudem, żakietem i marynarką, potrafię zawsze odróżnić wysmukłą sylwetkę i wdzięczny wygląd panny Franciszki Le Quellien.

Przygotuj się do tej przyszłości, moje dziecko, możliwie upraszczając swoje stroje, szukając elegancji w szlachetności barw, w harmonijnem ich zestawieniu i formach, a nie ubiegając się za

ilością, oryginalnością i ceną przybrań u sukni. A ponieważ nie dowierzam już swojej pamięci, pozwól, że na zakończenie przepiszę ci z dzieł Fenelona proroczy ustęp, zawierający cały schemat przyszłego kobiecego ubrania:

»Chciałbym wykazać młodym dziewczętom na posągach greckich i rzymskich kobiet całą szlachetną prostotę ich stroju: włosy lekko z tyłu głowy spięte, powiewne, o luźnych draperyach szaty, jakże piękne i wspaniałe zarazem wywołują wrażenie!...«

VI.

Budujące odwiedziny. — Kwestya feminizmu w świetle krasomówstwa ambony. — Historia kwiatu, który traci zapach. — Tulipan holenderski. — Wilhelmina. — Kobięcy gest, którego nie może wykonać król. — Adwokacka. —
Nasz raj i nasze królestwo.

Ubiegłej niedzieli, gdy przechodziłem około trzeciej po południu placem św. Magdaleny, przyszło mi na myśl, że jest to godzina kazania, i ja, któremu zarzucasz z ironią, że z wiekiem zrzedzić zaczynam, nabrałem nagle ochoty usłyszenia kilku nauk moralnych.

Obszerna bazylika była przepełniona wiernymi. Niejeden i niejedna drzemali, co się zdarza nieomal na każdym liczniejszym zebraniu, gdy przemawia jednostka.

W danym wypadku ani głos wyraźny i dźwięczny, ani przedmiot, drgający tętnem chwili, nie dawały do tego powodu. Wyobraź sobie, drogie dziecko, że kaznodzieja w przemowie, nader gładkiej i pełnej werwy, mówił o feminizmie. Nie byłem obecny na całym kazaniu, z tego wszakże

kwadransa, który mu poświęciłem, wywnioskowałem, że mówca nie uznaje równouprawnienia obu płci, przynajmniej tu na ziemi.

Wspólny raj oczekuje na dusze wyzwolone z więzów ziemskich bez względu na postać mężczyzny lub kobiety, w którą się w doczesnem życiu wcielają. Na tym padole łez wszakże jest rzeczą niezmiernej wagi, by odrębne były przywileje słabej płci, która niech się aby nie ubiega za obowiązkami męskimi, albowiem i uzdolnienia do nich nie posiada. »Zresztą — dodał porwany zapałem kaznodzieja — znaczyłoby to pozbawić kwiat wdzięku i woni«.

Słyszałem już gdzieś tę teoryę, nie było mi jednak wiadomem, że i Kościół jest również jej wyznawcą — przynajmniej ten — św. Magdaleny.

Gdyby dysputa była możliwa, powiedziałbym do owego mówcy: »Proszę mi wytłómaczyć, jakim sposobem może być królową, i to królową nieraz wybitną, kobieta, która według zasad nauki chrześcijańskiej i według świeckich pojęć, uświęconych obyczajem, uznana jest za niezdolną do sprawowania z pożytkiem obowiązków doktora, adwokata, inżyniera; do kierownictwa instytucji, lub uczestniczenia w radzie zarządzającej? W owym długim szeregu panujących wszystkich czasów, kobiety, jakkolwiek mniej liczne, nie gorzej od mężczyzn odgrywały swoje role. Za przykład niech służy królowa Wiktorya, która w przeciągu lat sześćdziesięciu dosyć, o ile wiem, szczęśliwie, rządziła losami swojego kraju.

A przecież każdy mi przyzna, że nierównie trudniejsza to sprawa kierować nawą takiego potężnego państwa, niż zarządzać domem handlowym, towarzystwem kolei żelaznych, lub wziąć udział w polityce i objąć ster rządu. A więc?»

Mówiąc między nami, droga Franiu, zgaduję, jaką otrzymałbyś odpowiedź. Usłyszałbyś, że Pomazaniec Boski jest przez Opatrzność szczególną obdarowany łaską...

Nauka to samo przekonanie innemi wyraża słowy: »Czynność stwarza organ«. Ogromnie podobą mi się ta teoria, tembardziej, że jest ona właściwem feminizmu założeniem. Jeśli królowa otrzymuje łaskę powołania, jak można przypuścić, by Ten, którego Sprawiedliwym Bogiem nazywamy, miał jej odmówić kobiecie, poświęcającej się adwokaturze, inżynierii, polityce, lub innemu jakiemu zawodowi. Co się tyczy kwiatu, który wdzięk i zapach traci, to argument jest tak poetyczny, że na seryo traktowany być nie może. Przeciwnie, ileż razy zdarzyło mi się zauważyć, że czynna i ruchliwa inteligencja każe zapominać o fizycznej brzydocie kobiety, strojąc natomiast młodą i piękną w tem większy powab. Prześlicznym tego dowodzenia przykładem jest Wilhelmina, królowa holenderska, która zjednała sobie miłość całej Europy (niechże o to ów jasnowłosy Meklemburczyk, jej mąż, zazdrosny nie będzie).

I ty, droga dziewczeczko, wyznałaś mi, że bardzo ci się ta młoda monarchini podoba...

Twoje oczy wyrażały głęboki namysł, gdy dodałaś:

— Jak to musi być przyjemnie panować w tak młodym wieku.

— Dlaczego, Franiu?

— Bo można zdziałać tak dużo.

Nie zapytałem cię, jakie to rzeczy można zdziałać według twego przekonania, bo może ty sama niejasno zdawałaś sobie z nich sprawę. Znam cię jednak dosyć, by wiedzieć, że poczucie niezależności nie było wyłącznym twojej zazdrości powodem. Zazdrościłaś przedewszystkiem tej mocy dokonywania dzieł bardzo ważnych, bardzo pożytecznych i takich, którym miłosierdzie za godło służy. Przyznaj się, że czujesz się zdolną do podobnych czynów i gdyby ci ktoś zaproponował władzę nad kilkoma milionami ludzkich istot, to nawet bezpośrednio po wysłuchaniu kazania w kościele św. Magdaleny, odpowiedziałabyś bez wahania: »Idę!...«

I masz słuszość. Jeśli się nawet okaże, że twoja zdolność rządzenia przeciętnych zaledwie przypomina władców — a dział to nader smutny! — wniosłabyś w te rządy to, co dla większości mężczyzn obcem się stało: cześć dla piękna duchowego, wiarę w sprawiedliwość, odwagę w dobrem...

Oto są przywileje twojej płci — kobiecość prawdziwa. Wystarcza ona, by świeży nadać koloryt każdemu zawodowi, będącemu dotychczas jedynie mężczyzną udziałem. Jakże niezrę-

czny jest ów zwrot krasomówczy o kwiecie, który zapach traci. Wprost przeciwne pojęcie może mieć jedynie rację bytu: kwiat wnosi swój wdzięk i woń i oczyszcza atmosferę. Dwudziestoletnia królowa wstąpiła na tron Niderlandów — i oto chłodne tulipany z Haarlemu zapachniały nagle, jak róże.

Zauważ, że gdyby ów tron znalazł się w posiadaniu rówieśnika tej słodkiej monarchini, kierunek jego postępowania byłby zupełnie inny. Przedewszystkiem nie chciałby zrobić tego, co ona potrafiła, byłby to bowiem zdeklarowany utylitarysta. Jako władca drobnego państewka, widziałby on typowy ideał w Wilhelmie II, albo w Joe Chamberlainie. Nawa państwowa kierowana na podobieństwo domu handlowego, losy całego narodu prowadzone jak finansowe przedsiębiorstwo — oto dzisiejsze polityczne wyznanie wiary. »Gwarancya praw polega na sile, jaką się rozporządza« — te słowa nie dalej, jak parę tygodni temu, padły z trybuny Reichstagu. A więc siła przed prawem!... Zaiste wspinała to moralność przez współczesnych monarchów usankcyonowana!...

Królowa Wilhelmina nie wzoruje się ani na Wilhelmie, ani na Chamberlainie dlatego, że, jako młoda kobieta, rządzi się czystym i szczerym instynktem młodości. Serce ją zabiło, gdy władca Niemiec tonem zadowolonego bogacza, który odpycha biedaka, żeby się na fatygę odpięcia futra nie narazić, odmówił przyjęcia Krü-

gera. Poczuła ona, że trzeba koniecznie, by ów błakający się Lear napotkał na swej drodze Kordelię i u niej znalazł przytułek. To też, pomimo nacisku ze strony potężnych sąsiadów, bez wahania udzieliła gościny nieszczęsnemu przywódcy bohaterów.

Dobroć niewieścia podyktowała jej ten zacny czyn, od siebie dodam jedną jeszcze uwagę: »Jedynie dlatego, że jest kobietą, mogła doprowadzić do końca swój wielkoduszny zamiar«. Król uległby prawdopodobnie możniejszej sile, a zresztą, w myśl cytowanego powyżej aksjomatu »siła przed prawem«, musiałby być posłuszny skinieniu cesarza, bo przecież Holandya słabem jest państewkiem, jakże nikłemi są wobec tego jej prawa!...

Gest Wilhelminy, podającej wygnańcowi dłoń życzliwą, nie naraża kraju na niebezpieczeństwa. Nie jest on obelgą dla władcy Wszechniemiec, niewieścia bowiem ręka ten ruch wykonała. Wilhelmina, gdyby inaczej była postąpiła, zaparłaby się swojej kobiecości. I gdy, z obawy wypowiedzenia się ze zbytnią dla Burów sympatją, milczenie zaległo dwory Europy, w tej smutnej ciszy zabrzmiał jeden głos — głos kobiety, a tej mówić nie zabronią. Nie twierdzą bynajmniej, że uda jej się uzyskać to, przy czem obstaje, faktem jest jednak, że gdyby wyłącznie mężczyźni zasiadali na tronach europejskich, żaden nie podniósłby się protest przeciwko nadużyciu siły!... Och tak, kochane dziecię, masz zupełną słuszość,

gdy myślisz, że królowa dużo zdziałać może, o ileż więcej, niż król!...

Ta umiejętność wnoszenia z sobą świeżego pierwiastka w działalność mężczyzny nie tylko w królewskiej władzy ma już dziś zastosowanie. Fakt, że kobiety posiadają dostateczne uzdolnienie, by być doktorami, adwokatami i inżynierami, nie podlega dyskusji; mężczyźni nie śmieją już rościć sobie wyłącznych praw na tem polu. — Pewien znany dramaturg opowiadał mi raz rozmowę, jaką prowadził z bardzo popularnym autorem, który twierdził, że każdy zdolny powieściopisarz w razie potrzeby i komedję napisać potrafi, rzucił na zakończenie następującą sentencję: »Widzisz, mój przyjacielu, romans czy komedya — to zarówno blaga... Strzeżmy się i my, byśmy na zbyt wysokich szczytach nie chodzili. Wyznajmy po cichu słabej płci, że pewien cykl naszych zajęć, zawody liberalne lub przemysłowe i to, co karyerą nazywamy — to wszystko po trochu blaga. Kobiety, bez zbytniej zarozumiałości, mogą mieć nadzieję, że nam dorównają«.

Jedyny zarzut, który przetrwał w większości umysłów, streszcza się w krótkim pytaniu: »W jakim celu, po co mnożyć ilość kobiet doktorów, skoro i tak doktorów mężczyzn jest za dużo? Prawników mamy do zbytku. Kandydatów na urzędy więcej, niż urzędów samych. Więc pocóż powiększać ten zastęp ludzi poszukujących pracy?« Ten zarzut nie dałby się odeprzeć, gdyby kobieta, postawiona na stanowisku

mężczyzny, wykonywała jego czynności w tenże sam sposób, co on. Rzecz się ma jednak przeciwnie. Kobieta robi to samo, co on — inaczej. Dowodnie się o tem przekonywamy, obserwując te wypadki, gdzie od dawna obie płci równoznacznie obowiązki sprawują. Kucharz, lub kucharka; krawiec i modniarka; fryzyer i fryzyerka po wsze czasy swoich będą mieli zwolenników. Artystyczne wirtuozostwo kobiety odmienną, niż męskie, nosi cechę. Magdalena Lemaire oddała poezję kwiatów w sposób, któremu żaden malarz nie dorównał. Niema aktora, któryby przewyższył Sarę Bernhardt w roli »Orlątka«. Nie, stanowczo temperamenty mężczyzny i kobiety nie dadzą się do jednego sprowadzić mianownika, i tylko ludzie ciasnych pojęć temu zaprzeczają. Umysły wyższe nie tylko, że się przeciwko tej prawdzie nie bronią, lecz widzą w niej poważne dane do jak najszybszego podziału powszechnej pracy pomiędzy obie płci. Wiele kobiet przegra stawkę w tej wzajemnej konkurencji, te zato, które się ostoja, odegrają rolę męską — odmiennie. Czy była zatem potrzebna Joanna D'Arc? Tak — była potrzebna, by dowodzić wyprawą wojenną, którejby i najlepszy wódz nie podolał. Co za znaczenie ma królowa holenderska Wilhelmina? To — że jedyna z pomiędzy współczesnych monarchów, wiedzioną miłosierdziem i ludzkością, mogła stanąć w obronie pokrzywdzonego, a tego król dokazaćby nie mógł...

Oto odpowiedź, jaką dać powinnaś twoim wykrygowanym koleżankom, gdy o tych ważnych kwestyach podczas godzin rekreacji dysputę z tobą rozpoczną. Wspominałaś mi, że kiedyś powstała sprzeczka bardzo gorąca odnośnie do pewnej pani, która wykonała przysięgę na adwokata. Większość pupilek godnej pani Rochette stanęła obozem przeciwko niej; bardzo nieznaczna liczba ośmielała się przyznać jej rację. Zdaje mi się, że ciebie, droga Franiu, scharakteryzują doskonale, gdy powiem, że feministką jesteś dla innych — antyfeministką dla siebie. Niech sto kobiet zajmuje się adwokaturą, ale dla Boga, aby nie ty! A jednak rozważ, śliczna siostrzeniczko, że cała płeć piękna nie może włożyć korony na głowę i zasiąść na tronie. Wszak jedna jest tylko Wilhelmina, a więc?... Czyż te wielkoduszne pragnienia wzniosłych czynów, które wraz z postacią tej miłej władczyni Holandyi na myśl ci przychodzą, w chimerze mają swe źródło?... Czy naprawdę przypuszczasz, że w otaczającym cię świecie nie znajdziesz sposobności do czynów mniej wprawdzie świetnych, niż królewskie postąpienie Wilhelminy, lecz równie szlachetnych, pożytecznych i pełnych chluby?...

Rozważ to. Czarujący szatan Milтона twierdzi z nienajgorszym, jak na upadłego anioła, dowcipem, że nasz raj jest wszędzie, gdzie my jesteśmy. Niemniej prawdziwym, a bardziej praktycznym będzie przekonanie, że królestwo człowieka w jego duszy ma siedlisko.

VII.

Boże Narodzenie: tradycje ostatniego tygodnia roku. — Końiec wieku. — Wypracowanie stylistyczne. — Ogólne bankructwo. — To, co stary wiek na swoją obronę przytacza. — W kobiecie cała nadzieja. — Sól ziemi.

Niedawno jeszcze temu rówieśne tobie osóbkę, wsuwając 24 grudnia pantofelek do kominka, gorąco wierzyły, że to gwiazdury albo Boskie Dzieciątka, odbywając swoją dobroczynną po domach wędrówkę, cichaczem go napełnią... Nadejdzie zapewne i ta epoka, gdzie osiemnastoletnie panny wszelkiej iluzji, jako śmiesznego przesądu, wystrzegać się będą.

Ty, Franiu, pośrednie jeszcze między nami zajmujesz miejsce; bo jakkolwiek mocą tajemnego porozumienia jest ci wiadomem, że to matka lub wuj rolę obdarowującego spełniają, naśladujesz swoje prababki. To, co one z żarliwością wykonywały, ty w imię szacunku dla tradycji powtarzasz.

Bardzo niezależnymi i emancypowanymi wydobyłyby im się twoje przekonania, a jednak po-

zornie działasz tak, jak one. Uważam, że masz słuszość. We wszelkie sprawy, gdzie sumienie najwyższym jest rozjemcą, kobieta, dziewica, nie abdykując zresztą z krytycyzmu, powinna wnieść pełną dobrej woli wyrozumiałość. Dodaje jej krasy — być ciekawą prawdy, a chętnie dawać posłuch tradycji.

Tradycja religijna i ludowa jednoczą się i sprawiają, że ostatni tydzień roku jest jednocześnie poważny i wesoły; stanowi on okres, w którym istota ludzka znajduje odpowiedni pokarm i dla serca i dla umysłu. Bądź przekonana, że nawet pomiędzy tymi niezawisłymi, którym zimna rozważa najwyższym jest sędzią, niema takiego, komuby w tym uroczystym tygodniu nadzieja i żal, mglista melancholia i świetlane wybuchy radości zwodniczych nie stawiały miraży. Powtarzasz sobie nadaremnie, że nowy rok codzień się zaczyna, że kalendarz — to oparta na wspólnem porozumieniu papieży i astronomów kombinacja. Siła atawizmu sprawia, że pomiędzy 24 i 31 grudnia ciężar ubiegłych dni daje się całemu światu więcej we znaki, podczas gdy myśl o przyszłości, w ułudne przystrojona blaski, narzuca się naszej wyobraźni.

Jest to chwila wytchnienia pomiędzy zagadkowością jutra, a tem, co bezpowrotnie minęło, to też zmusza ona do zastanowienia nawet żyjących z dnia na dzień lekkoduchów...

Na ten raz tem poważniejszy nastrój duszę opanowują, że razem z końcem roku i stulecie

kresu dobiega. Jakbyśmy o całe sto lat nagle postarzeli. Nic też dziwnego, że zatrzymujemy się dłużej na ostatnim stopniu, by zrobić pobieżny chociaż przegląd przebytej drogi. Czynni reporterzy, którzy odchodzą zwykle zadowoleni, gdy otrzymają od wybitniejszych literatów opinię, dotyczącą starego roku, nagabują ich teraz nagłą o streszczenie powziętych o całym stuleciu wyobrażeń. I ty, Franiu, czyż nie wspominałaś, że tematem waszego ostatniego wypracowania stylistycznego było określenie moralnych, naukowych i artystycznych zdobyczy XIX wieku?

Prosiłem cię, byś mi dała swoje ćwiczenie do przejrzenia.

— Za nic w świecie — odpowiedziałaś. — Przedewszystkiem, zaledwie mi zwrócone zostało, zniszczyłam je natychmiast, następnie nic zajmującego napisać nie potrafiłam. Wymieniłam parę większej doniosłości wynalazków; przytoczyłam imiona kilku sławniejszych uczonych i poetów, w gruncie rzeczy jednak nie czułam się na siłach do zgłębienia tej kwestyi.

Mówiąc to, postąpiłaś nader skromnie, lecz zarazem i roztropności dałaś dowód. Niema nic trudniejszego nad bezstronny sąd o czasie, w którym się żyje; ty nawet, jakkolwiek krótkiem jest twoje istnienie, tak sobie już jego obyczaje przyswoiłaś, że na niezależną od wpływów krytykę zdobyćbyś się nie mogła. I ja również, tembardziej, że wiek ubiegły o dwadzieścia lat wcześniej dla mnie się rozpoczął... Zróbmy zatem

bilans przeszłego stulecia, bądźmy wszakże przygotowani na to, że jutrzejsi filozofowie nasze wnioski obalą. Nasza opinia niechże im będzie po prostu przykładem współczesnych zapatrywań.

Patrząc na rzeczy z tego punktu widzenia, bardzo żałuję, że wybuch złego humoru spowodował zniszczenie twego wypracowania. Gdyby przypadek łaskawszym się okazał, mogłoby się zdarzyć, że za jakie dwa tysiące lat jakiś uczony, odkrywszy to cenne pismo, ogłosiłby je, jako świadectwo o stanie umysłu kobiecego w końcu 1900 roku. Szkoda, że twoja nauczycielka nie postawiła ci pytania więcej konkretnie, bo wtedy odpowiedź lepiejby określała twój rozum i temperament, a co za tem idzie, i dokument nabrałby większej wagi. Na jej miejscu kazałbym następującą treść rozwinąć:

»Panna, kończąca nauki w roku szkolnym 1900—1901, rozważa, jakie jasno skryształizowane pojęcia, wspomnienia historyczne, donioślejsze wrażenia wyniosła jej dusza z dorobku ubiegłego stulecia, i w jaki sposób zamierza ona w przyszłości tę spuściznę spożytkować«...

Jestem pewien, że przystąpiłabyś do roztrząsania tych kwestyi z prawdziwą przyjemnością, a ponieważ dobrze cię znam, przewiduję mniej więcej, co byś napisała... Powątpiewasz o tem? Chcesz, bym za ciebie to wypracowanie zrobił? Dobrze, przyjmuję wyzwanie. Postaram się wcielić chwilowo myślą w postać panny Franciszki Le Quellien, siedzącej w swojej czarnej ławce,

w głębi tej klasy o zielonawych ścianach, którą raz w przelocie, po popisie, widziałem... Za widzeniem powiesz mi, czybyś położyła swój podpis poniżej.

WYPRACOWANIE

panny Franciszki Le Quellien.

»Jakie jasno skryształizowane poglądy przekazał mi wiek XIX?... Poważne zaiste zagadnienie. O ile wiem, dużo różnych pojęć moją głowę napełnia; z tego sobie również zdaję sprawę, że nie wszystkie te zapatrywania, i nie w tym porządku, posiadała młoda dziewczyna przed stu laty. Moim poglądom brak wyrazistości i ładu. W zakresie religii odznaczam się pobożnością; wiara moja wszakże bezwzględna już nie jest. Polityka (śmieszny to wyraz w ustach siedemnastoletniego dziewczęcia) jest mi wstrętną. Prowadzone w parlamentach wszelkiego rodzaju dysputy, których słabe echa mnie dochodzą, wydają mi się zagmatwane i pełne sprzeczności.

Pozostają wzniosłe zasady etyki i ludzkości, które, jak zapewnia historia, kilkakrotnie w wieku XIX były omawiane. To współczucie dla całej cierpiącej ludzkości, jakim moje serce jest przepełnione, to może owo dziedzictwo, które w spadku po ubiegłym stuleciu otrzymałam. Dziś wszakże, gdy coraz lepiej rozumiem zachodzące na kuli ziemskiej wypadki, kłam zadawany przez rzeczywistość ideałom życiowym

razi mnie niesłuchanie. Jakiś dziki egoizm owładnął całe nawet narody, a tworzy on dziwną sprzeczność z pragnieniami mej duszy i temi społecznymi uczuciami, które za hasła cywilizacji uważałam. Jakże moja wiara zawiedziona została!

Przykład: dwa lata temu przedstawiciele wszystkich państw zebrali się w Hadze; głosili oni pokój i powszechną zgodę; podpisali ugodę, mocą której wszelkie dążności zaborcze zostały potępione. W dwa lata potem wybuchły dwie bezlitośne wojny, które pół miliona ludzi do morderczej uzbroiły walki, wojny tak okrutne, jak rzadko w dziejach spotykać się daje. Prośba jednego z walczących o sąd polubowny zostaje przez mocarstwa pominięta milczeniem. W zamian za to, łączą się one w nierównie więcej harmonijny, niż w Hadze, akord, przeciwko dalekim Chinom... Jakież bolesny zamęt powstaje wobec tych faktów w pojęciach, które wyrocznią dotychczas mi były!

Drugą spuścizną ubiegłego wieku są zdobycze naukowe. Długi ich szereg przesuwają się w mej myśli: koleje żelazne i telegraf, telefon, słowem, elektryczność we wszelkich postaciach; samochody, odkrycia Pasteurowskie, krytyki historyczne itd. O tym powszechnym postępie mam pojęcie dosyć dokładne; tajemem mi też nie jest, że poważne umysły, pomimo tych olbrzymich wysiłków, głoszą bankructwo wiedzy.

Zdaje się, że ten dodatni jakoby wynik XIX

stulecia bardzo się ostatecznie ze swoim zadaniem minął. Rozumie się, że nie mają jest rzeczą ocenić, kto ma rację: zwolennicy nauki, czy też jej wrogowie, to jedno wiem, że taki spadek z licznymi tylko zastrzeżeniami przyjąć mogę...

Omówmy teraz dorobek artystyczny, literacki itd. Na tem wszakże polu nie mam odwagi samej wyrokować. Jeżeli z krytyk wnioski wysnuwać będę, napotkam niepokonane trudności. Podstawą ich jest podobno absolutna umysłowa anarchia. Wszelkie sądy zawisły od osobistych sympatyj, lub przekonań politycznych. Na dowód mojego twierdzenia przytoczę, że z góry wiem, w jaki sposób dany krytyk przyjmie nowe dzieło danego autora.

Zresztą krytyka sama ubolewa nad swoim upadkiem i brakiem wpływu przez nią wywieranego. Niema też teraz w literaturze i sztuce tych porywających prądów, o których (podziwiającie moją uczoność) wspomina Jerzy Brandes... Za czasów romantyzmu, naturalizmu, Wagneryzmu... ludzie zapalali się do pewnych przekonań i wkładali w nie całą duszę. Dzisiaj, czem się tu przejmować? Mam wprawdzie dla pewnych dzieł i pewnych autorów sympatyje mniej lub więcej wyraźne, sumienie jednak wyznaczyć mi każe, że jasno skryształizowanych pojęć nie posiadam zupełnie. Przekazany mi tutaj przez wiek ubiegły spadek jest zatem żaden. Gorętszych porywów wyglądam od przyszłości.

Co się tyczy wielkich historycznych wspo-

mnien, to, pomimo całej wrażliwości mojej duszy, odnoszę się do nich z pewną nieufnością. Nie dlatego, by nieufność w naturze mojej leżała, lecz z powodu, że wszystkie moje wierzenia zostały zawiedzione. Przedewszystkiem zapewniają mnie, że rewolucja bynajmniej nie odpowiedziała włożonym w nią oczekiwaniom, to znaczy, że podstawowy fundament ubiegłego stulecia w gruzy się rozpada. Z drugiej strony, wszystkie te piękne zasady, które w XIX wieku jak gwiazdy przewodnie ludzkości przyświecały, blask swój w zupełności teraz utraciły.

Przebiegnijmy myślą dane historyczne ostatniego stulecia. Doniosłość wypadków zarówno jak i zasad jest jednakowo w wątpliwość podawana. Uznanie praw człowieka: niedorzeczność. Ochotnicy 92 roku: legenda. Napoleon I: nie geniusz, lecz siła zbiorowa. Ruch socyalny: błazeństwo. Idea narodowości: aberracja umysłowa. Francya szermierzem praw: karygodne oszukiwanie. Widzimy dalej, że wiek, który rozpoczął się pod hasłem braterstwa i sprawiedliwości, dobiega końca, wynosząc pieniądź i siłę na szczyty.

Przodującym narodem jest ten, który największem rozporządza bogactwem i największego bezprawia bezkarnie dopuścić się może. Oto moralność 1900 roku.

Jednem słowem, w którąkolwiek stronę czy obróć, widzę wszędzie bankructwo. Wiek XIX na całej linii likwiduje się ze stratą. Strzeż mnie, Boże, od takiego dziedzictwa! Niechże otchłań

przeszłości pochłonie cię, ty zawodny wieku, któryś nie dotrzymał żadnego z zobowiązań młodości! Dzięki za ofiarowane mi przez ciebie osiemnaście lat życia, z radością jednak spoglądam w nową erę, w którą mnie dalszy ciąg mojego życia wprowadza...

Piszę to... i zdaje mi się, że ten biedny konający wiek-staruszek przemawia do mnie z wyrzutem: »Jesteś niesprawiedliwa«. Umieram bankrutem, to prawda, i smutny jest mój koniec, lecz ty jedna, młoda dziewico, nie powinnaś mnie oskarżać. Przyciśnięty lat ciężarem, myślałem o tobie, kochałem cię. Jedyne szlachetniejsze porywy, dążenia do Ideału, które udało mi się z tej powodzi strat ocalić, wcieliłem w ciebie. Jeśli niedalekie jutro uczyni cię wolniejszą, więcej szanowaną i pożyteczniejszą, zawdzięczać to będziesz dziedzictwu przekazanemu ci przeze mnie, bo podczas osiemnastu lat życia, które ci dałem, powzięłaś o twojej sile, o twoich prawach, o twojej przyszłości świadomość, której nie miały twoje poprzedniczki. Wnieśże w nowy wiek potęgę nadziei, pragnienie dobra, wiarę w sprawiedliwość, — skarby te ludzie dzisiejszych czasów zatracili już w zupełności. Jedyną siłą, która przetrwała i rwie się do Ideału — ty jesteś. Czyż to nie wzniosła rola?»

Być może, kochana Franiu, że gdybyś to wypracowanie oddała pani Rochette, posądziłaby cię o złą wolę, jestem wszakże pewny, że zawierałoby ono najskrytsze tajniki twoich myśli,

które dźwięczne echo w mojem sercu znajdują. Tak, w dzisiejszych czasach powszechnego rozczarowania i chaosu, jedynem wielkodusznem i bogatym w następstwa dążeniem jest to, które skłania kobietę do wspólnej z mężczyzną pracy, i czyni to współpracownictwo skutecznem i równouprawnionem. Może czerpiąc w tobie siłę, młoda dziewico-kobietę, ludzkość od powszechnej klęski ocaleje...

Weź na seryo przyszłe twoje posłannictwo, ironiczna Franiu, rozważ je gruntownie podczas tygodnia, będącego chwilą postoju w tym pochodzie wieków. »Jesteście solą ziemi«, jak mówi Boskie Dzieciątko. »Jeśli sól swój smak utraci, czem ją zastąpimy?«

VIII.

Poufna misya. — Sala przyjęć zakładu naukowo-wychowawczego Berquin. — Andzia, Madzia, Julcia i Zuzia. — Mąż — dodatkiem. — Durzenie się pensyonarek. — Uczeń szkoły Saint-Cyr. — Wyborne znalezienie się Frani. — Rozmyślania nad odosobnionym trybem życia niektórych panien.

Przypominasz sobie pewno, drogie dziecko, że ubiegłego piątku powierzyłaś mi misyę, z której wywiązałem się nie bez dumy. Pani Le Quellen, zapadająca często na gardło, była cokolwiek cierpiąca w dniu twego przyjścia do domu. Wobec bardzo niepewnej pogody, doktor zabronił jej wychodzić, a listom pełnym uspokajających wiadomości, które ci przesyłała, nie bardzo dawałaś wiarę. W krótkim bileciku prosiłaś mnie, bym się naocznie o stanie zdrowia twojej matki przekonał i przyniósł ci osobiście sprawozdanie na pensyę, gdzie, mocą szczególnej łaski, miałem być dopuszczony do widzenia się z tobą podczas południowej godziny rekreacyjnej.

Pamiętasz pewno także, że spędziliśmy z sobą bardzo krótką chwilę. Zaledwie weszłaś do sali

przyjąć, dał się słyszeć dzwonek, oznajmiający rozpoczęcie lekcyi. Całe szczęście, że interes, który miałem do ciebie, mógł być w dwóch słowach załatwiony. Uspokoilem twoje dotyczące pani Le Quellien obawy, złożyłem pocałunek ojcowski na twem czole i żegnany pełnemi serdeczności podziękowaniami, odchodząc obejrzałem się raz jeszcze, by ujrzeć cię, jak wraz z trzema znajdującemi się również wyjątkowo w sali przyjąć koleżankami podążałaś szybko na lekcję.

Nie starczyło też mi czasu, by napomknąć, że blisko pół godziny na ciebie czekałem. Nie znaleziono cię od razu, albo może też dyżurna dama klasowa zasięgała specjalnych wiadomości o przyczynie twego nadprogramowego wywołania cię z klasy... Nie lituj się wszakże nade mną. Rzecz prosta, że wołałbym cieszyć się dłużej twoją obecnością, oczekując cię jednak, nie nudziłem się bynajmniej. Bardzo lubię tak nazwaną salę przyjąć twojej pensyi. Ten, trochę na osobności, w prześlicznym parku położony budynek, zanim został obrócony na użytek zakładu Berquin, był kiedyś mieszkaniem prywatnem. Kupiono go według wszelkiego prawdopodobieństwa wraz z umeblowaniem, bo całość, jakkolwiek mocno od dzisiejszej mody odbiegająca, przedstawia się nader harmonijnie. Z okien dwóch położonych na parterze salonów widać z jednej strony nieduży, lecz ślicznie utrzymany skwer, służący za przejście z ulicy, z drugiej —

wzrok zatrzymuje się na wspaniałych drzewach ogrodu, jakich w miastach mamy już niewiele.

Upłynęło mniej więcej dziesięć minut, gdy nagle od strony głównego wejścia dały się słyszeć szybkie kroki i szelest jedwabi ożywił ciszę sali wchodowej. Nie porzucając mojego schronienia, ujrzałem w przeciwległym lustrze odbicie ślicznej, z wytworną elegancją ubranej kobiety. Nie dostrzegła mnie wcale i nie doszła nawet do zajętego przeze mnie miejsca, bo wyłączną jej uwagę pochłonęły natychmiast trzy, dobrze mi znane, sylwetki pensyonarek, które się we drzwiach w głębi ukazały. Rozległy się okrzyki zdziwienia połączone ze śmiechem, wybuchami radości i odgłosem pocałunków. »Aniu!... Julciu!... Zuziu!... Madziu!...« W przeciągu dobrych pięciu minut pensyonarki wraz z wykwiutnym swym gościem, jednocześnie się śmiejąc, mówiły wszystkie razem, co jest zachwycającym przywilejem rozmowy kobiecej.

Gdy minął pierwszy zapał, przybyła, którą towarzyszki Anią nazywały, zaczęła udzielać koleżankom wiadomości o swoim obecnem bardzo przyjemnem, jak wywnioskować mogłem, położeniu. Zrozumiałem — bo nie podsłuchując, słyszałem wszystko — że przed kilku zaledwie miesiącami opuściła ona pensję po to, żeby wyjść za mąż; że odbyła po Hiszpanii podróż poślubną, »och, moje drogie, jaką cudowną«, że wróciła właśnie do Paryża, by zamieszkać wspaniały i na extra nowoczesny sposób urządzony aparta-

ment w alei Małachowa. Wyrazy: »mój mąż«, powtarzały się w jej swawolnym szczebiocie bezustannie, przeważnie jednak w formie dopełnienia do zdań, rozpoczynających się małym słówkiem »ja...«. »Ja powiedziałam mojemu mężowi... ja posłałam mego męża... ja nie pozwoliłam, by mój mąż... i t. d.«, tak dalece, że w końcu nieobecny małżonek ukazał się w mojej wyobraźni, jako słusznie o zgodę dbający i uległy swej pani dodatek.

— W gruncie rzeczy on jest bardzo przyjemny — kończyła młoda kobieta. — Trochę wprawdzie bierny, ale ja to wolę. Po co mi za nadto inteligentny mąż? Uwielbia mnie i robi wszystko, co każe.

— Ależ to ideał — powiedziała Julia.

— Masz szczęście! — westchnęła Zuzia.

— Przy tem wszystkiem on jest bardzo przystojny — zręcznie nadmieniła Madzia...

— Och bardzo... — wąpiąco odrzekła Ania — zbyt silne to określenie. Przedstawia się nienajgorzej, szczególnie od czasu, gdy sama wybieram mu ubranie. Ale to absolutnie nie mój typ. Jest o dwa centymetry za niski i ma skłonność do tycia, co jest dla mnie po prostu wstrętne... To też nie pozwalam mu pić podczas jedzenia... Ale à propos ładnych chłopców, czy prześliczny Maks bywa jeszcze na pensyi?

Zaledwie padły te słowa, gwar czterech głosów rozbrzmiał na nowo.

— Ależ tak, tak, przychodzi, odwiedza swoją

siostrę, Lusię Despeyroux. Cała pensja jest nim zajęta, a panienki z dwóch wyższych klas, żeby go ujrzeć, uciekają się do wszelkich możliwych wybiegów. Uczennice wynajdują tysiączne powody, żeby, jakkolwiek nie wywołane, wejść do sali przyjąć. Najśmielsze odważają się nawet pod jakimkolwiek bądź pretekstem zaczepić Lusię, aby znaleźć się choć na chwilę w bliskości Maksa. Helenka Cantemerle nawet wiersze do niego napisała; nikt jednak nie wierzy, by miała odwagę mu je przesłać.

— Jak widzę, wszystkie się w nim kochacie — powiedziała, śmiejąc się, Ania — zupełnie jak za moich czasów!... Ja także durzyłam się w nim trochę. Ale to przeszło.

— Więc mogłabyś go ujrzeć bez wzruszenia? — zapytała Zuzia.

— Ależ naturalnie... Jestem przecież starą mężatką. To dobre dla takich, jak wy, sroczek, żeby sobie tak zawracać głowę.

Ta uwaga Ani wydała mi się bardzo słuszną. Właśnie zastanawiałem się nad tem w duszy.

I zaprawdę — myślałem — wszystko, co z taką swobodą wypowiedziały te młode dziewczęta, dowodzi choćby samą naiwną żywością wyrażenia ich rzeczywistej niewinności! Jednakże trzy młode Angielki, albo Amerykanki, nie odezwałyby się w ten sposób. Patrzyłyby trochę chłodniej na rzeczy, poddałyby krytycznemu rozbirowi dodatnie strony ślicznego Maksa, uwzględniając je tylko z matrymonialnego punktu widzenia. Nie

byłby on dla nich królem z bajki, Lohengrinem ani Amadisem. Młode serduszka nie trawiłyby się w ogniu jałowych marzeń... Wielki Boże!... Jakże szkodliwym jest ten odosobniony tryb życia. Jak bardzo podnieca on wyobraźnię i niepokoi serca biednych dziewczątek. Gdyby te oto trzy pensyonarki przywykły były od dzieciństwa do wspólnych gier i zajęć z uczniami, lub kandydatami na uczniów szkoły Saint-Cyr, patrzyłyby dzisiaj na Maksa Despeyroux krytyczniejszym okiem.

Przerwałem swoje rozmyślanie... Ania, odpowiadając na naglące pytania, mówiła właśnie:

— Tak... dosyć się koło mnie kręca, ale wiecie, moje śliczne, w Paryżu bardzo młode kobiety nie mają nigdy dużo wielbicieli. Przytem ja jestem taka poważna!

Hm... pomyślałem sobie... Dobrze się zaczyna, a mąż-dodatek ma szczęście, że posiada tak poważną małżonkę!... Ale mniejsza o to! Uważam, że została ona podniesiona do godności żony, a wkrótce matki rodziny, o wiele zawczasie, bo okazuje się, że pozostało jeszcze w jej głowie dużo tej pustoty, która zaćmiewa rozsądek pensyonarek... I powiedzieć, że te także za jaki rok najdalej za mąż pójda! Miłości, swobody, obowiązków, ładu, władzy — wszystkiego tego — muszą się biedaczki od razu nauczyć!... Doprawdy, odosobnione wychowanie, jako bezpośredni wstęp do pierwszego z brzegu małżeństwa — to prawdziwa niedorzeczność... Czyż to nie smutne, że

te dręczone przez wybujałą imaginację dziewczeczki nie mają nikogo, ktoby je z czekającą je przyszłością w odpowiedni sposób obznajmił. Skądże mają one zaczerpnąć pogody serca i roztropności niezbędnych do walki z płcią męską, gdy nikt nie dba o to, by kobietę z nich uczynić? Niestety, nikogo ta rola nie nęci. Szanowne kierowniczkę zakładu Berquin nie wiedzą, że polowa z dwustu powierzonych ich opiece panien — durzy się w mundurze.

W tem miejscu ocknąłem się z rozmyślań i znowu nadstawiłem ucha na rozmowę moich czterech sąsiadek, gdy ty nareszcie ukazałeś się w sali. Przywitano cię z otwartymi rękami. Ferdyzyczna Ania rzuciła ci pytanie:

— A ty, Franiu, czy kochasz się także w Maksie Despeyroux?

Dostrzegłem w lustrze, że gwałtowny rumieniec wybiegł ci na czoło, co wobec tak dzikiego pytania nie mogło wywołać zdziwienia. Twoja odpowiedź była zato bez zarzutu.

— Och, co też ty mówisz... Wiesz przecie, jaka przyjaźń łączy mnie z Lusią!... Maks dla mnie to niejako krewny.

— Tak, moja kochana — wybuchnęła Zuzia. — Jakże ta Frania ma szczęście! Ona widuje Maksa... Bywa u nich... Rozmawia z nim!

— No, no, i nie traci głowy — dodała Julcia.

— Wiesz, ty nie masz serca! — potwierdziła Ania.

— Darujcie — odrzucił z uśmiechem — mój wuj mnie oczekuje.

Z temi słowami pożegnał małe gronko, które, zawstyżone, szeptać między sobą zaczęło, spostrzegłszy się, że prowadzona przez nie rozmowa miała wielce niepożądanego, bo z powołania niedyskretnego świadka.

Nie uwierzysz, droga Franiu, jaką mi zrobiła przyjemność tem, że nie trzepałaś trzy po trzy o Maksie, tak jak twoje towarzysзки. Twierdzą one, że nie masz serca; ja temu nie wierzę. Jeszcze jednak to niewinne serduszek dla nikogo żywiej nie uderzyło. Mam wszakże nadzieję, że w dniu, w którym się odezwie, jego tajemnica będzie dobrze strzeżona. Wyznasz ją tylko od danym ci i nielicznym powiernikom, nie rozpraszając jej na cztery strony świata, jak czynią to te trzy młode dzierlatki i niepokojąca Ania.

IX.

Ministrowie i komisyje. — Dodatni wynik tego, że nie jestem ministrem. — Średnie wykształcenie. — Historia brzoskwini. — Frania II w dziesiątym roku życia. — Jaki rodzaj nauczania nadaje się do tego wieku. — Epoka Taine'a. — Ogólna kultura i wykształcenie specjalne. — Zadanie średniego wykształcenia.

Obiecałem ci, moja siostrzeniczko, dostarczyć o idealnym systemie nauczania danych pewniejszych, niż owe pełne przezorności ogólniki, w których zamykają się przeciwnicy powszechnie przyjętej metody. Nie wystarcza oburzać się i wołać: »Boże! jakże źle wytknięte są te programy! Ileż nadaremnej pracy! ile straconego czasu!« Nie wystarcza również wymienienie powodów swego niezadowolenia: tu trzeba podać nowy i na nowem założeniu oparty plan i udowodnić, że stoi on wyżej nad inne. Tymczasem ministrowie następują po ministrach, jedna komisya goni drugą, a zmian ku lepszemu nauczaniu młodzieży jak nie było, tak niema. Wie-

my, że ministrowie mają głowy nie od parady, że o brak pracowitości komisji posądzać nie można, więc przypuszczać należy, że kwestya przedstawia nielada orzech do zgryzienia.

— A zatem, wujaszku, skoro zamierzasz podać mi wzór doskonałego systemu nauczania, uważasz się za mądrzejszego, niż ministrowie i komisye?

— Bynajmniej, moja droga. Odczuwam i boleję mocno nad moją umysłową ułomnością. Jedyne moja wszakże wyższość przy rozwiązaniu tego zagadnienia leży właśnie w tem, że nie jestem ani ministrem, ani członkiem komisji edukacyjnej. Co innego bowiem opracować plan wykładów z głową pełną politycznych kłopotów, w biurze urzędowym, gdzie myśl ustawicznie odbiega od przedmiotu, a ciągle powtarzające się wchodzenie i wychodzenie, to woźnego, to prezesa gabinetu, to członków parlamentu, to wreszcie kolegów — na skupienie się nie pozwala, a co innego siedzieć spokojnie w przez siebie opłaconem mieszkaniu, z którego żadna polityczna zmiana usunąć cię nie może, a nadewszystko mieć możność zamknięcia drzwi przed każdym nieproszonym natrętem i rozkoszować się niezależnością, jak młynarz z Sans Souci...

Jestem właśnie w tem położeniu. Rozmyślam, piszę do ciebie w zupełnym spokoju. Drzewa i gęstwina krzewów zasłaniają Paryż przed mojem okiem; dostrzegam tylko dwie wieżyczki Trocadero, które, widziane z boku w mgle po-

rannej, przywodzą na pamięć Torre del Mangia w Siennie...

Żaden niesmaczny foliał, żaden wymagający objaśnień tekst, żaden raport próżnego biurokraty na mnie nie czeka. Książki, które mam pod ręką to: »Corpus poetarum« w edycji frankfurckiej z roku 1621 — trzeci tom »Moralia«, pism filozoficznych Plutarcha w tłumaczeniu Bétolaud — poezye H. Régner'a i ostatni numer »Revue de Paris...« Rozumiesz, moje dziecko, że w tych warunkach umysł skłonniejszy jest do wnikania w głębie własnej myśli i do rozwiązywania zawiłych kwestyi.

Korzystajmy zatem z tego niezmaconego spokoju, z przejrzystości powietrza i łaskawości aury, by przystąpić do przedmiotu tak niezmiernej wagi, jakim jest średnie wykształcenie panien.

Średnie wykształcenie młodych panien! Jakież to barbarzyńskie skojarzenie dwóch przeciwnych słówek z dwoma pełnymi pedantyzmu pojęciami! Zdaje mi się, że słyszę genialnego komika naszego teatru, gdy swoim pełnym sztucznej powagi głosem zadaje ci pytanie: »Panno Le Quellien, co myślisz o średnim wykształceniu?« Odpowiedziałabyś mu śmiechem i krótką repliką: »Drwię sobie z niego...« Miej się jednak na baczości, moja wesoła siostrzeniczko. Średnie wykształcenie obchodzi cię bezpośrednio, ponieważ nieświadomie wprowadzie nad niem pracujesz. I wszystkie te jasne i ciemne główki, które po-

chylają się w danej chwili nad pulpitami zakładu Berquin, także nad tą kwestyą swój umysł wysilają. Pozwól zatem, że wytłómaczę ci znaczenie tych dwóch tak wielkiej wagi wyrazów, a przy tej sposobności i inne, niemniej ważne, poruszę.

Nie zajmowałaś się nigdy, Franiu, do tej pory sadzeniem drzew. Ja, w charakterze starego wieśniaka, oddawałem się nieraz temu zajęciu, a ponieważ jestem ogromnym amatorem brzoskwiń, tę hodowlę specjalnie uprawiałem. Otóż ten, kto od razu do spożywania gotowych płodów przechodzi, wyobrazić sobie nawet nie może, jakich niezmiernych starań wymaga to drzewo, zanim wyda owoc jadalny.

Trzeba przedewszystkiem latorośl zaszcześcić, to jest roślinie, któraby nic pożytecznego nie wydała, dać zdolność rodzenia owoców. Szczepienie przyjmuje się często, ale zdarza się również, że spełźnie na niczem, a wtedy płonka pozostanie już na całe życie dziczką.

Następnie, wzięwszy zaszczeplone drzewko ze szkółki, trzeba zasadzić je w miejscu, gdzie ma się w dalszym ciągu rozwijać. Wyglądem przypomina ono wtedy tyczkę, zakończoną włóknistymi korzonkami z jednej strony, a delikatnymi gałązkami długości palca, z drugiej. Nie lędz się, że wystarczy wsadzić tę łodygę w ziemię i powiedzieć: »Rośnij-że teraz i radź sobie sama«. Najpierw trzeba wykopać możliwie obszerne i głęboki dół, przeznaczony na przyjęcie

korzeni drzewiny. Ten otwór należy wypełnić specjalnie do tego przyrządzoną odpowiednio lekką i pożywną ziemią, albowiem brzoskwinia jest drzewkiem za delikatnem i jeszcze zbyt nie-doświadczonem, żeby potrafiła ciągnąć pożywienie z pierwszej lepszej gleby. To nie wszystko. Trzeba następnie dać łodydze podporę w postaci silnej tyki, któraby ją zniewoliła do rośnięcia w kierunku pionowym; tak jak narzucamy roślinie rodzaj pożywienia, tak samo wskazujemy jej drogę, po której w górę piąć się powinna. I to jeszcze nie koniec. Gdy z biegiem czasu młodociane drzewko wydłuży swe pędy, rozwinię listeczki, a nawet kwiatkami się przyozdobi, nie przypuszczaj ani na chwilę, że pozwolą tym fantazyom dekoracyjnym popuszczać wodze. Obetną mu sporo gałązek, niszcząc bez litości te, które nie przyczyniają się do harmonijnych kształtów drzewiny. Co mówię? Będą mieli tę smutną, lecz niezbędną odwagę pozbawienia go wszystkich prawie kwiatów, bo, zużywając potrzebne soki, nie miałyby one dość siły, by się w piękny owoc rozwinać... To barbarzyńskie postępowanie będzie trwało tak długo, aż drzewo za dojrzałe uznać będzie można.

Wtedy dopiero podporę mu odejmą: pień, dostatecznie już wzmocniony, prostego kierunku nie zmieni. Korzenie, znacznie już rozwinięte, zaczynają przekraczać, rosnąc, granicę przygotowanej im jako pożywienie ziemi. Będą one teraz przenikały w różne jej warstwy, w tustą i ja-

lową, w piasek lub glinę, w grunt wielce podatny, albo też kamienisty. Mniejsza o to: od tej chwili drzewo jest dosyć krzepkie, posiada dosyć »samopoczucia« i »inteligencji«, by samemu teraz wybierać pokarm i omijać przeszkody. W razie potrzeby, okazuje ono dostateczną wytrzymałość, by zwolna kamienie nawet przekrawać. Wtedy pozwolą kwiatom rozwijać się z zupełną swobodą i w owoce się zamieniać. Siły wyrosłego drzewa wystarczają, by podobać tej pracy rodzenia. Ogrodnikowi pozostaje już tylko ostrzydzi je zimą, poddać nawozu na wiosnę, podlewać je latem, a zbiorom owoców cieszyć się jesienią.

— A więc, Franiu, te trzy przeze mnie opisane okresy przypominają niezmiernie trzy epoki kompletnego rozwoju uczącej się jednostki.

Czas pobytu w szkółce drzewek, gdzie szczerpią dziką płonkę — to wykształcenie elementarne; — ów, takich ostrożności wymagający, przeciąg czasu, który po przesadzeniu następuje, odpowiada wykształceniu średniemu; — wykształcenie wyższe — to ta trzecia faza, podczas której dorosłe już drzewo, nie wychodząc jeszcze z pod czujnego oka ogrodnika, zaczyna samodzielnie oddychać, rosnać, kwitnąć i wydawać owoce.

Twój bystry umysł odgadł od razu, że najsubtelniejszych starań wymagający okres — to wykształcenie średnie. W tym czasie młodociana latorośl objawia swój własny popęd do tego, by rosnać i żyć, nie wystarcza on jednak do zapewnienia jej trwałej egzystencji. Ten średni

okres zatem jest to okres prawdziwie wychowawczy, gdzie dozór najściślejszy jest niezbędny. Ta pieczołowitość byłaby wszakże zabójczą, gdyby sprzeciwiała się naturalnemu rozwojowi, tamowała go, lub do wysiłku zmuszała.

Nie można się też dziwić, że średnie wykształcenie najczęściej podlega próbom reformy i że u nas, zarówno jak i gdzieindziej, najwięcej pozostawia do życzenia. Jeśli ci się to interesującym wyda, Franiu, to powiem ci, że na wysokim poziomie stoją we Francji wyższe zakłady naukowe. Co się tyczy nauczania elementarnego, to od trzydziestu lat mniej więcej zrobiło ono takie postępy, że daje wyniki wprost doskonałe. W pewnej wiosce, w pobliżu której zwykłem spędzać parę wiosennych i jesiennych miesięcy, zaglądam czasem do szkółki elementarnej, gdzie jestem dosyć mile przez nauczyciela widziany. Dziewczęta i chłopcy spożywają tam wspólnie umysłową mannę. I cóż! Jestem po prostu zachwycony ową genialną metodą, zapomocą której wpajają w te dziecinne główki naukę czytania, pisania, rachunków i geografii. Jakże byliśmy daleko za moich czasów od tego praktycznego pomysłu, od tej umiejętności przystosowanej logiki. Człowiek, który pierwszy, ucząc dzieci czytać, kazał im wymawiać zamiast R — »re«; F — »fe«; S — »se«, wydaje mi się geniuszem... I ten drugi również, który naukę geografii rozpoczął od kreślenia na tablicy planu klasy, z ławkami, katedrą i szafą biblioteczną,

by, prowadząc rzecz dalej, narysować cały budynek szkolny, wraz z jego bliższem i dalszem otoczeniem aż do ulic wioski i całej gminy. Gdybym mógł odkryć nazwiska tych dwóch pionierów ułatwionej wiedzy, postarałbym się, by im pomniki wzniesiono...

Reforma wykształcenia elementarnego została przeprowadzoną bez hałasu i wstrząśnień w przeciągu kilku lat po strasznej wojnie 1870 r. Stało się to dlatego, że, w przeciwieństwie do mieszczan, nasi wieśniacy nie mają osobistych pojęć — i jakich to pojęć! — o sposobie nauczania swojego potomstwa. Rozporządzalny materiał szkolny dawał się z łatwością przekształcać. I nie tylko w zakresie dydaktyki, lecz nawet i pedagogiki można było bez najmniejszego protestu wszelkie nowe metody zastosować. W ten sposób — a mało komu to wiadome — system koedukacyjny obu płci przyjął się w jednej trzeciej szkół gminnych bez trudności.

Od zaszczepienia w umysł rodziców nowych pojęć musi się zapoczątkować reforma średniego wykształcenia. Jest to jedyna dziedzina naukowa, gdzie życiodawcy swoje »ja« zaznaczyć lubią. Pierwszy okres wychowania mało ich interesuje, najwyższy zaś o wiele ich kompetencję przewyższa.

To też dla Frani, która wkrótce dorosłą zostanie — mężatką, a następnie matką ślicznej małej dziewczynki, Frani II-ej, list niniejszy jest przeznaczony. Jeśli wyda ci się on nudnym i nie

dającym się dzisiaj do ciebie przystosować, odłóż go na stronę i zachowaj aż do chwili, gdy u Frani II młeczne ząbki nowymi zostaną zastąpione.

Przypuśćmy zatem, droga Franiu, że młoda istotka, której średnie wykształcenie przeprowadzić zamierzamy, jest w posiadaniu wiadomości, według naszych ojców, w słowach: czytać, pisać i rachować zawartych. Dodajmy do tego parę niezbędnych wiadomości o kształcie ziemi, o nazwie ważniejszych miast, jakie takie pojęcie o historii — i otrzymamy w zakresie elementarnego nauczania wynik bardzo dostateczny. Co do mnie, to gotów jestem przyjąć taką nawet uczennicę, która poza czytaniem, pisanem i rachunkami nic nie umie... Kilka matek wykrzykuje z oburzeniem:

— Jako? dziesięcioletnia dziewczynka nie umiejąca nic poza czytaniem, pisanem i rachunkami?... Ależ, panie, moja nie ma jeszcze dziesięciu lat, a zaczyna już uczyć się łaciny i pisze ćwiczenia.

I doskonale. Ja pozostaję jednak przy swoim programie. A najwyżej, by pamięć trochę wyćwiczyć i wprawić gardło, zalecam nabywanie w potocznej mowie (bez gramatyki) znajomości jakiegokolwiek cudzoziemskiego języka i pierwszych zasad śpiewu. Te zatem posiadając wiadomości, przybywa nasza panienka do nauczyciela i powierza im swoje siedem lat życia. Czego powinniśmy jej w tym okresie czasu nauczyć?

Przywiedźmy na pamięć zasady dobrego ogro-

dnika. Średnie wykształcenie jest jednocześnie nauczaniem i pielęgnowaniem umysłu. Frania II, umiejąca czytać, pisać i rachować, nie siłą rozumowania, lecz zapomocą pamięci te wiadomości nabyła, jednym słowem, Frania II nie ma jeszcze pojęcia o tem, co to jest nauka i praca. Cała jej umiejętność jest wynikiem cierpliwego wpajania w jej umysł pewnych wiadomości, czyli zaszczepienia płonki. Będzie ona teraz rozwijać się samodzielnie; jeśli jednak ten rozwój nie zostanie ujęty w pewne karby, jeśli nie znajdzie się opiekuńcza ręka, któraby go dozorowała, prowadziła, jego postęp zwalniała, lub w miarę potrzeby przyspieszała — ostatecznym wynikiem może być jałowość i wyczerpanie... Cały plan wykładów musi być przez nauczyciela opracowany; współudział Frani II polega na wysiłku, by zrozumieć i osiąść dane wiadomości.

Lecz zadaniem średniego wykształcenia jest nie tylko kierować umysłem ucznia i ochraniać go, należy jeszcze lot jego ograniczać. Gdy rozumny ogrodnik wrywa kwiaty małej brzoskwinie, mieszczuch - przechodzień krzyczy gwałtu. Pozwólmy mu wyjawiać swoje zdanie, lecz, podczas tych lat, kiedy roślina dojrzewa, prowadźmy dalej rozpoczętą działalność, nadając kierunek naturze, albowiem smaczne wydawać owoce umie ona tylko pod naciskiem człowieka.

Otóż jednym z najszkodliwszych współczesnych dążeń jest przystosowanie do wykształcenia średniego metody, którą z pożytkiem jedynie

w wyższej edukacji posługiwać się można. Za ledwie młode brzoskwinie drzewko opuściło szkółkę i zostało zasadzone w ziemi, mówi się do niego: »Radź-że sobie teraz!« I rzeczywiście, niektórym udaje się pokonać te trudności, ogólnie wzięwszy jednak, owoce, które wydają, są przeważnie nędzne, albo też niema ich wcale.

Postaramy się uniknąć w wychowaniu Frani II tego wielkiego pedagogicznego błędu. Pomiedzy dziesiątym a siedemnastym rokiem życia, nie spuścimy jej z oka i, prowadząc ją, drogę jej wskazywać będziemy. Jest to okres kształtowania się umysłu, który podczas tych cennych lat — czy to rozwiązując zadania, czy też śledząc za naukowem doświadczeniem, albo podporządkowując fakty i zniewalając pamięć do ich zatrzymywania — do pewnego określonego trybu się nagina.

Fantazja rozwija już skrzydła do lotu, zdrój wyobraźni wydrąży łożysko; po czasie — zatabowanie źródła i odwrócenie kierunku jego biegu stanie się niemożliwem. Wykształćmy tę młodocianą inteligencję, aby w pełnym rozkwicie władz umysłowych weszła w okres, uważany przez pewnego filozofa za najbardziej wytwórczą epokę życia ludzkiego. Mamy przed sobą teraz — jak mówi Taine — siedem, albo osiem lat ustawicznie wzmagającej się energii życiowej i nieprzerwanej działalności, zaczawszy od kiełkowania, skończywszy na kwiatach i owocach. W tym to okresie czasu wykształcenie wyższe stosować należy, a umiejętne przygotowanie do tego przyszłego

rozkwitu jest właśnie zadaniem średniego nauczania.

Nie jest tajemnicą dla ciebie, Franiu, że uniwersytet i wszelkie wyższe zakłady naukowe dostępne są dla niewielkiej tylko liczby uczniów, a szczególnie uczennic. Dla tych ostatnich zamążpójście, a następnie macierzyństwo i założenie rodziny w pożyteczności nie ustępują i najwyższemu umysłowemu rozwojowi. Trzeba przyjąć za pewnik, że większość dziewcząt i połowa przynajmniej chłopców nie powiększy już potem swego umysłowego dorobku, to też celem średniego wykształcenia nie może być wyłączne przyswojenie sobie pewnych dobrych metod naukowych; chodzi jeszcze o to, by, zgłębiwszy je odpowiednio, wyciągnąć z nich umiejętnie wszystko to, co umysł człowieka kultury obejmować powinien.

Rozważmy założenie wyrazu »kultura«, który w myśl logiki i na mocy podobieństwa człowieka z rośliną do intelektualnego rozwoju przystosować się daje.

Posiadać kulturę nie znaczy to zdobyć jakąś wiedzę specjalną.

Numizmatyk może być uczonym w swoim zakresie, ogólnie wzięwszy jednak, jeśli nie będzie posiadał pewnego całokształtu wiadomości, zawartych w słowach Terencyusza »wszystko, co ludzkie, obcem być ci nie powinno« — na miano wykształconego człowieka nie zasłuży,

kultura jest bowiem przeciwieństwem specjalizacji.

Usłyszysz nieraz, Franiu, zdanie, że przy dzisiejszym społecznym ustroju — ludzie w danym zawodzie wyspecjalizowani są najwięcej potrzebni.

Jako dalsze rozwinięcie tej teorii, powiedzą ci, że zakres wiadomości tak bardzo się rozszerzył, że umysł ludzki tylko poszczególne gałęzie wiedzy opanować może. Zaprzecz odważnie tym przeciwnikom encyklopedycznej kultury. Powiedz im, że nieprawdą jest, by rozum człowieka do większej pracy był dziś, aniżeli np. w wieku XVI, zniewolony. I wtedy, tak jak za naszych czasów, były różne teorie fizyki i chemii, była znajomość ziemi i żywiołów. Jeżeli przyjdzie ci fantazja otworzyć jakąś ówczesną książkę, poznasz, że zasady wiedzy, jako na obserwacyi nie oparte, prostotą pojęć bynajmniej się nie odznaczały. Co więcej, ogólna kultura obciążona była całym powikłanym balastem dowodzeń, które obecnie wyszły zupełnie z użycia.

Zapewniam cię, że leniuchowi dogadzałoby o wiele więcej uczęszczanie teraz na kursa Collège de France, niż za czasów założenia tej instytucji. Z drugiej strony, wówczas i dzisiaj, wszelki pozbawiony ogólnego wykształcenia specjalista był niedokończoną całością i taką też miał opinię. Owemu to pragnieniu ogarnięcia możliwie najszerszych horyzontów zawdzięczają

artyści Odrodzenia ten wysoki poziom sztuki, na który się wzniesli.

Co jest wszakże prawdą niezaprzeczoną, to to, że społeczeństwo potrzebuje istotnie wyspecjalizowanych na tle ogólnej kultury jednostek. Okres Taine'a — to epoka poświęcona nabyciu specjalnej wiedzy — okres, który dla niejednego w piętnastym lub szesnastym roku życia się zaczyna, dla większości wszakże młodzieży w siedemnastym lub osiemnastym powstając, aż na dwudziestym piątym roku się zatrzymuje. Oto najodpowiedniejsza faza życia do dawania pola samorodnym porywom ku wiedzy, albo ku sztuce, i do gruntownego przetrawiania nabytych w danym zakresie wiadomości...

Przedwczesny wybór specjalności prawie zawsze chybia celu i tam, gdzie nie jest materialnym brakiem i potrzebą wczesnego praktycznego zajęcia narzucony, jest po prostu zbrodnią ze strony rodziców. Prawda, tłumaczą oni zwykle swe postępowanie tem, że, jak mówią: «dziecko wykazuje takie wybitne skłonności do pójsia w tym lub owym kierunku». To są żarty.

Wyjawszy kilku małych Paskalów albo Szopenów, gdzie są owe dzieci, które w dziesiątym roku życia prawdziwie charakterystyczne zdolności ujawniają? Wystrzegajmy się zamków na lodzie, gruntując się na tych dziecinnych marzeniach. Ten malec, co dziś maszyny tylko wszędzie widzi, wyrasta na poetę; tamten drugi, który za dziecinnych lat swoją nadzwyczajną wrażli-

wością i lubowaniem się w rozmyślaniach rodzinę po prostu przerażał — poszedł drogą, wskazaną mu przez najtrzeźwiejszą pod słońcem praktyczność. W tym wieku fizyczna istota człowieka zaledwie się formuje, a zarys postaci nie jest jeszcze ustalony, nie można też narzucić niedostatecznie jeszcze wzmocnionemu mózgowi pokarmu innego, jak ten, który dla wszystkich młodych głów się nadaje.

Zrobisz mi zapewne uwagę, że niniejsza rozprawka nie daje się absolutnie do Frani II zastosować. Frania II przecież nie wstąpi na kursa i specjalizować się nie ma zamiaru... Hm!... czy jesteś tego pewna? Mamy już sporo kobiet na uniwersytetach, w roku 1920 będzie ich zapewne więcej; może i Frania II znajdzie się w ich liczbie. Pomimo wszelkich wątpliwości, jakie nam przyszłość gotuje, jedynem mniej lub więcej pewnem domniemaniem jest nadzieja, że z biegiem czasu wykształcenie chłopców i dziewcząt coraz podobniejszym do siebie się stanie. Oto dlaczego — uprzedzam cię — ani w tym liście, ani w następnych jednego od drugiego odróżniać nie będę.

Jeżeli zresztą według dzisiejszej modły, najbliższem Frani II zadaniem jest, zamknąć się w kole rodzinnych obowiązków i zajęć, to specjalizować się ona nie potrzebuje. Tym jednak, które specjalnego wykształcenia nie otrzymają, ogólna kultura jest tem potrzebniejsza. Nie robiąc żadnych o przyszłości wniosków, trzeba nam uczynić z Frani II kobietę taką, jaką po ukończeniu

nauk chciałabyś zostać: kobietą, w której pojęciach panowałaby jasność — czy rozumiesz mnie dobrze? — *jasność*, nie mrok, lub zupełne zaćmienie.

Odrzucając wszelką pedanterię, streśćmy z niniejszego listu wysnute wnioski:

I. Średnie wykształcenie jest nauczaniem i pielęgnowaniem umysłu.

II. Głównym jego zadaniem jest ogólna kultura.

Na jakim założeniu oprzeć kierunek tego wychowawczo-edukacyjnego systemu? jak przystosowywać pierwiastki i jak normować oddziaływanie tej ogólnej kultury? — rozwiązanie tych kwestyi pozostawiam następnym listom.

X.

Ludzie, którzy uważają się za wykształconych. — Dwa doświadczenia w celu przywołania ich do skromności. — Nie umiemy nic. — Ugoda złudzeń pomiędzy nauczycielem i uczniem. — Rzeczywiste znaczenie słowa »umieć«. — Jasne o wszystkim pojęcie. — To, co nam zarzucają. — Pochwały udzielone nauczycielowi fechtunku i konnej jazdy. — Gimnastyka intelektualna: rzeczywista i fikcyjna.

Są ludzie, którzy uważają się za wykształconych, a takimi bynajmniej nie są, czyli raczej przeszedłszy kurs nauk według wcale nieszczerzego systemu, zadawalają się tem pocieszającym wspomnieniem.

Znałem pewnego studenta, który zapisał się na fakultet prawny, nie uczęszczał nigdy na wykłady, nie otworzył książki, nie zdał żadnego egzaminu, mówi wszakże dzisiaj: »Kiedy chodziłem na prawo...«

Zachowajmy się bardzo przezornie względem tego oryginalnego zapatrywania, które polega na zapisaniu się, a nawet na uczęszczaniu na kursa! Umysł, zarówno jak i ziemia, zasługuje wtedy

tylko na miano »kulturalnego«, gdy następstwa kultury trwałemi się okażą. Równiny Kampanii Rzymskiej należały do najżyźniejszych zakątków świata, dziś wszakże powiedzieć już nie można, że ów przerażający swoją jałowością step, ciągnący się od gór Albańskich aż do krańców wiecznego miasta, jest ziemią o wysokiej kulturze, bo ten fakt do przeszłości już należy. Wiele jest osób, które, by nie mijać się z prawdą, powinnyby mówić o sobie: »Umiałem kiedyś...«

Większości ludzi światowych i wielu nawet tak zwanym inteligentom zalecam poddanie się następującej próbie: Zamknijmy się z ćwiartką papieru, piórem i atramentem w odosobnionym pokoju i zróbmy krótki wyciąg naszej wiedzy w jakimkolwiek kierunku, aby tylko nie z naszej specjalności albo zawodu. Niech inżynier np. streści swoje wiadomości w zakresie historii literatury, naturalnie bez pomocy książki, albo też prawnik niech napisze, co wie o geometryi. Można twierdzić z całą pewnością, że nikt z nas nie wysnuje pięciu stron, a treść tych kartek nie przyniosłaby nawet piątoklasiście zaszczytu. Zróbmy i inne jeszcze doświadczenie: zgromadźmy dziesięć osób i dajmy im do napisania przeciętne wypracowanie szkolne: żadna z nich nie wywiąże się dobrze z zadania. Jedna zaledwie na sto potrafi nazwać i wskazać prowincye Hiszpanii, przeprowadzić teorię mnożenia, przetłumaczyć jakie pięćset wierszy Wergiliusza, objaśnić zjawisko rosy. A jednak wszyscy ukoń-

czyliśmy kurs średniego wykształcenia i zdawaliśmy egzamina. Był przecież w naszym życiu dzień, w którym, rozstając się z nami, profesorowie powiedzieli: »Uczyliśmy was«. Myśmy im odrzekli: »Nauczylismi się«.

Kto kogo oszukiwał: profesor, czy uczeń?

Ani jeden, ani drugi, czyli raczej łudzili się oni wzajemnie, żyjąc w ustawicznym omamieniu, dotyczącem wyrazu *umieć*, a ma on podstawowe w pedagogice znaczenie.

Dla mnie sens tego słówka jest bardzo ścisły: *umieć* znaczy posiadać, bo w przeciwnym razie wartość umiejętności jest żadna. Umie się np. język angielski, jeśli się mówi, czyta i pisze bez pomocy słownika i gramatyki. To samo o innych przedmiotach powiedzieć będzie można, gdy wszelkie, dotyczące ich wiadomości, bez uciekania się do książki i to w sposób ostateczny w pamięci się utrwałą.

Ten ostatni punkt wielkiej jest również doniosłości. Pomimo, że która z twoich koleżanek zadaną lekcję dobrze odpowie — zaręczyć nie możesz, że za jaki tydzień choć odrobinę z tego pamiętać będzie. A nie tylko pamięć, lecz i zdolność pojmowania mam tu na myśli. Jest kilka stopni zrozumienia, jak kilka jest sposobów zatrzymania w pamięci. Zwłaszcza w matematyce daje się to odczuć, bo tam nie pamięć, lecz inteligencja przeważną odgrywa rolę. Zdarzyło ci się już parę razy przytoczyć mi pewne matematyczne prawidła, które w danej chwili poj-

mowałaś, z biegiem czasu wszakże zdolność ta najzupełniej cię opuszczała. Sprężyna pojętności uchylała się tylko, lecz następnie opadła i na nowy trzeba zdobyć się wysiłek, by zmusić ją do działania. W dniu, w którym zdołaliśmy podnieść ją na stałe zrozumieliśmy prawdziwie.

Otóż w wielu szkołach pomiędzy nauczycielem i uczniem istnieje milcząca ugoda, mocą której obie strony żyją w zwodniczym świetle złudzeń na punkcie »rozumienia i umiejętności«. Nierozsądne przeciążenie programu zniewala do przebiegania wiedzy w zbyt szybkim tempie. Konieczność zdawania egzaminów zmusza do nauczania się na określony termin, jakkolwiek nabyte wiadomości na zawsze mają pozostać. To też klasyczny obrazek beczki Danaïd da się doskonale porównać do pracy nieszczęsnych nauczycieli; bo i oni kładą niezmordowanie wiedzę w ucho ucznia, który ją według prostego lecz dosadnego wyrażenia »drugim uchem wypuszcza«.

Ujemny wpływ takiego postępowania szczególnie w zakresie średniego wykształcenia odczuć się daje. Doszliśmy już do wniosku, że głównym jego celem jest wszechstronna kultura. Wiedza, podczas tych lat nabyta, służyć ma człowiekowi przez całe życie. Zdarza się często spotkać osoby, które mówią: »Mając lat piętnaście, władałem doskonale językiem angielskim, teraz jednak nie umiem ani słowa. Wobec takiego rezultatu lepiejby przecież było, gdyby

czas, zużyty na tę bezowocną naukę, na co innego został obrócony, bo, właściwie mówiąc, dopiero po wyjściu ze szkół nowożytnie języki są najpotrzebniejsze.

Na zupełnie przeciwnem założeniu opierać się będzie nasza działalność pedagogiczna. Lekcyę, którejby uczeń gruntownie nie pojął i nie przyswoił sobie należycie, będziemy uważali za niebyłą. Niema takiego umysłu, któryby się odpornie względem dobrego nauczania zachował; dowód mamy w tem, że pomimo wszystkiego niektóre, widocznie lepiej przetrawione okruszyny nabytej przez nas wiedzy ocalały z powodu zapomnienia. Przy pewnym wysiłku, umysł zawsze ostatecznie coś weźmie sobie na własność.

Ale cóż! Taka nauka wymaga długiego czasu, z drugiej strony program wszechstronnej kultury jest z konieczności obszerny i nie naruszając całości, nic z niego wykreślić nie można. Czyżby zatem kwestya średniego wykształcenia musiała pozostać nierozstrzygniętą?

Ależ bynajmniej, ciekawa moja siostrzeniczko. Całym punktem ciężkości tego zagadnienia jest, by jądra sprawy z oka nie stracić. Być wykształconym — nie znaczy to posiadać erudycyę i zgruntować pewien odłam wiedzy; przeciwnie, to znaczy — nie zagłębiając się w szczegóły, całokształt nauki ludzkiej zrozumieć. Czyli, nie potrzeba być uczonym, lecz i nieświadomym w jakimkolwiek bądź zakresie pozo-

stać nie należy. Ciężaru wiedzy młodociany umysł nie jest w stanie udźwignąć, jasne jednak pojęcie mieć o niej powinien, to jest, jak mówi Molière: »jasność niech w nim panuje, a nie mrok lub zupełne zaćmienie« — słowa, które już w poprzednim liście przytoczyłem. O ile nauczanie traci na rozległości, o tyle na pogłębieniu zyskuje, jakkolwiek owa strata jest wielce problematyczną, bo, będąc powierzchowną tylko, rozległość zaciera się z łatwością.

Oto wyraźne określenie roli wychowawcy. Dostarcza on uczniowi wiadomości o wszystkim, tylko że te wiadomości muszą być bardzo dokładne i w należyтым ustawione porządku. Wychowawca żąda od ucznia, by przyswoił je sobie doskonale i zapamiętał tak, jak wyrazi oczystego języka. Wszelka uczoność musi być wyłączona, bo zamiast oświecić, obciążałaby ona raczej umysł średnio-wykształconej osoby. By nie przekroczyć programu, trzeba sobie zawsze zadawać to pytanie: »Co potrzebuje umieć uczeń, nie w celu zdania egzaminu, lecz by pożytecznie i przyjemnie ułożyć sobie życie?« I jedynie to, co powinien pamiętać umysł trzydziestoletniego wykształconego człowieka, będzie programem nauki dla piętnastoletniej inteligencji — nic nad to.

Teraz, droga Franiu, jeśli chcesz zrozumieć, jak od powyżej nakreślonego planu odbiegają metody obecnie stosowane, otwórz pierwszy lepszy podręcznik szkolny. Osoba, któraby się nauczyła

dokładnie wszystkich w nim zawartych wiadomości, byłaby już w tym zakresie erudytką. A przecież to kilkanaście takich książek jednocześnie starają się wbić w pamięć ucznia! Czyż można się zatem dziwić, że umysł najzdolniejszego nawet i najpracowitszego nie jest w stanie zachować więcej ponad bardzo ograniczony wyciąg różnorodnych pierwiastków?... Zapytuję raz jeszcze, czy nie byłoby logiczniej, uwzględniając najistotniejsze i możliwie dobrze podporządkowane podstawy wiedzy, ułożyć wyciąg samemu — i poza jego szranki nie wybiegać?

Zdaje się, że udowodnień te zasady nie potrzebują, bądźmy wszakże przewidujący i nie lekceważmy możliwych zarzutów.

Stronnicy wykształcenia, które powierzchownem nazwiemy, powiedzą:

— Trzeba podać uczniowi o wiele więcej wiadomości, niż spamiętać powinien, bo z natury rzeczy młody umysł w drodze życia niejedno uronić musi. Na nic się nie zdało ograniczać liczbę pojęć, bo z najwięcej ograniczonej ilości jeszcze się coś zawsze ulotni i w rezultacie otrzymamy zero.

Odpowiadam: Nie ulotni się nic, bo uczeń będzie otrzymywał daną wiedzę w chwili odpowiedniego skupienia i napięcia sił umysłowych, a te ulotnienia nie dopuszczają. Zapewne! Wiem, że ten sposób nauczania będzie o wiele dłuższy — musimy się też bardzo streszczać w wykładzie wiadomości, które wpoić pragniemy. Osiągniemy

jednak ten rezultat, że przedmiot, raz nauczony, stanie się naprawdę i na zawsze częścią umysłowego dorobku ucznia.

Drugi zarzut, w ścisłym związku z poprzednim pozostający:

— Odbierasz uczniowi wszelką samodzielność, narzucając mu bezwzględny program nauk i nie pozwalając przekroczyć go nawet wtedy, gdy mu się on wyda zbyt zacieśnionym. Trzeba, żeby uczeń sam wybierał z pomiędzy wielu pierwiastków intelektualnych to, co jego indywidualności najpożądalszem się wyda.

Odpowiadam śmiało: W zakresie średniego wykształcenia cała ta niezależność umysłowa to tylko pozór. Powiedziałem już raz i powtarzać nie przestanę, że średnie wykształcenie jest nauczaniem i pielęgnowaniem umysłu. Co innego, jeżeli wykształcenie wyższe będziecie mieli na myśli. Wtedy trzeba uszanować samodzielne upodobania ucznia i pozwolić mu, by, doszukując się zdobyczy tam, gdzie mu się to wyda najwłaściwszem — wynajdywał nowe systemy pracy. Lecz zastanówcie się, proszę, co to jest dziewczynka, albo chłopiec dziesięcio- dwunasto- lub wreszcie piętnasto-letni. Czy można sobie wyobrazić, że oni z tej całej masy wiadomości, któremi ich przeciążacie, wybierać będą? Ich rozproszona uwaga przypadkiem, na los szczęścia, coś uchwyci, jakkolwiek trafiają się i między nimi, specjalne do grupowania faktów uzdolnienia, tak jak np. filatelista zamiłowaniem do ko-

lekcyonowania marek się odznacza... Przypominam sobie, że pewien kandydat na stopień uniwersytecki wyliczył na pewnym egzaminie przeciętną głębokość rzeki Loary i to w całej jej długości, szczegółowo od miasta do miasta. Użył za to specjalne powinszowanie... »Panie egzaminatorze, ja odrzuciłbym tego kandydata; — panie rektorze, nauczyciela, który wywołał albo tylko popierał taki nierozsądny użytek pamięci, pozbawiłbym posady!«

Zresztą któż tu ma na myśli zamach na intelektualną samodzielność ucznia? Przecież nikt mu nie przeszkodzi czytać, słuchać, rozważać ponad ten program, który mu wykładają. Nie można dopuścić do tego, by uczeń był nieświadomy zasadniczych w dziedzinie wiedzy źródeł — przeciwnie, trzeba je znakomicie w jego umyśle utrwalić. Nie należy tolerować faktu, że umie on pobieżnie to, co, pod groźbą uczynienia dalszego postępu niemożliwym, jako punkt wyjścia danej umiejętności gruntownie zrozumiane być musi.

Autorem tych poglądów nie ja jestem. Pewna kategoria nauczycieli, względem której profesorem przedmiotów intelektualnych bardzo lekceważąco się odnoszą, stosuje się do tych zasad nader ściśle. Mam na myśli nauczyciela fechtunku i konnej jazdy. Jeden i drugi zaczyna od wpojenia w ucznia umiejętności wykonania pewnego określonego ruchu, np. odparować pewien sposób pchnięcia szpadą, albo zmusić konia do zmiany kroku. Nie zadawałają się oni pokaza-

niem uczniowi tych ruchów, jakkolwiek one same w sobie nadzwyczajnych nie przedstawiają trudności. Zniewalają do powtarzania ich dopóty, aż uczeń wykonywać je będzie bez namysłu, z nieomylnością instynktu. Wtedy, i tylko wtedy, wolno jest uczniowi postępować według własnego natchnienia i, jeśli mu przyjdzie fantazyja, przystąpić do ataku, albo nieokiełznane konie ujeżdżać.

Cóż z tego wynika? To, że po dziesięciu latach uczeń średnich zdolności, który kurs fechtunku i konnej jazdy przechodził, będzie umiał jedno i drugie; brak wprawy i wiek mogą ująć poruszeniom gibkości, mały jednak wysiłek dawną doskonałość im powróci. To wszakże, czego w klasach się uczył, zniknęło radykalnie; nie pozostało nic, i nic, i nic! Czy mamy stąd wysnuć wniosek, że nauczyciele fechtunku i konnej jazdy stoją wyżej od profesorów matematyki lub filozofii? Bynajmniej. Musimy tylko przyznać, że pod względem nauczania pierwsi dwaj lepiej z zadania się wywiązują. Oni obaj są też wynalazcami tej metody, nie dlatego, by byli od innych mądrzejsi, lecz z powodu, że w ich zawodach wszelka illuzya umiejętności, illuzya zrozumienia z natury rzeczy wyłączone być muszą. Można się ludzić, że się jakieś twierdzenie rozumie; można wyobrazić sobie, że się jest w posiadaniu pewnej wiedzy, o której powierzchowne zaledwie ma się pojęcie, ale z chwilą, gdy koń z siodła cię wysadzi, albo szpada przeciwnika na boku

ślady ci zostawi, wszelka illuzya co do twoich doskonałości w zakresie konnej jazdy i fechtunku zniknąć musi.

Przystępujemy teraz do najpoważniejszego zarzutu przeciwko systemowi, który powyżej podałem. Słuchaj uważnie, bo wszelkie pozory ma za sobą.

— Panie! — mówią do mnie. — Popełniasz pan niesłychany błąd pedagogiczny. Mylisz się najzupełniej co do celu średniego wykształcenia. My nie mamy wcale zamiaru napełnić umysł ucznia wszelką wiedzą i z góry przewidujemy, że on tylko minimalną część tego, czego go uczą, w pamięci zachowa. Głównem naszym zadaniem jest ćwiczenie umysłu. Gimnastyka intelektualna — oto cel, do którego zmierzamy. Niech uczeń opuści średni zakład naukowy z nabywaniem do pracy, z pojęciem o metodach nabywania wiadomości — to nam wystarczy. Myśmy mu właśnie sposób zdobycia ogólnej kultury wskazali i dążyć on do niej będzie w tych właśnie latach niezależnej pracy umysłowej, które pan »okresem Taine'a« mianujesz.

A więc sami kierownicy średniego wykształcenia przyznają, że uczeń nie spamięta nic z wykładanych mu w klasach średnich wiadomości: wiedza ukaże mu się przelotnie — jak w latarni czarnoksiężskiej — oto i wszystko. Czyż można sobie zatem wyobrazić, że pomiędzy szesnastym a dwudziestym rokiem życia potrafi on z własnego popędu doprowadzić swoją kulturę do po-

ziomu, na którym powinna się znajdować? Przecież to ułuda. Ułuda dla chłopców, bo ukończenie średniego wykształcenia jest dla nich chwilą rozpoczęcia specjalnych nauk, praktyki zawodowej lub wstąpienia do wojska.

Ułuda także dla dziewcząt. Nadejdzie moment, w którym wskażę ci, w jaki sposób młoda panna po wyjściu z pensyi, młoda kobieta w wirze światowego życia mogą i powinny dalej nad sobą pracować.

Czujesz to jednak sama, że opuszczenie pensyi i wejście w świat zamyka okres skupienia się i spokojnej pracy, których nie odzyskasz więcej z chwilą, gdy już nie na jednym obowiązku »uczenia się« twoje zadanie życiowe opierać się będzie. Nakoniec młody człowiek i młoda panna, jeśli będą mieli nawet czas i chęć do dalszej nad sobą pracy, właśnie z powodu, że wkraczają w okres Taine'a, do wszechstronnej kultury garnąć się nie będą. W dwunastym roku życia nieraz oddajemy się wbrew woli matematyce, choćbyśmy samą tylko poezję miłowali, ale czy widzieliście, by umysł, oswobodzony tylko co z pęt średniego wykształcenia, garnął się do nauk, które powabu dla niego nie mają? Cały szereg przedmiotów bywa natychmiast zaniechany przez młodzieńca, zaledwie posiadł on swobodę. I w gruncie rzeczy ma on słuszność, ponieważ nie można zwłóczyć z wyborem specjalności, jeśli się w niej do doskonałości dąży. To też komu nie danem było zdobyć

kulturę w epoce średniego wykształcenia, dla tego pozostanie ona już na zawsze niedoścignionym mirażem.

W każdym jednak razie, pożyteczność gimnastyki umysłowej jest bezsporna. Ucząc się, uczymy się, jak się uczyć. To też faktem jest niezaprzeczonem, droga Franiu, że to powierchowne wykształcenie, dawane teraz tobie, a które i ja otrzymałem, przyczyniło się niezmiernie do uczynienia naszego umysłu więcej giętkim, subtelnym i do wszelkich rozrywek intelektualnych podatniejszym... Ale czemużby, dla Boga, ta gimnastyka nie miała być również uprawianą przy intensywnym ograniczonym zakresie nauczania. Naszym to przecież jest zamiarem uczynić ją racjonalną, usystematyzowaną, upodobnioną, jednym słowem, do ćwiczeń ciała, z którymi powierchownej edukacyi porównać nie można.

Bo my to jesteśmy właściwymi gimnastykami; my to żądamy ruchów określonych, niezapomnianych i wykonywanych z precyzją i bez zarzutu. A doprawdy za żart uważać należy przyznawanie równoznacznej wartości obecnemu fantazyjnemu systemowi, który, dążąc w kierunku wprost przeciwnym, niż nam to surowy, dokładny regulamin gimnastyków, o naoliwionych mięśniach, nakazuje, raczej bezcelowy spacer i próżniacze wałęsanie się przypomina.

W zakończeniu tego listu, przyjaciółeczko moja, wypowiadam dwa nowe wnioski, które są tylko rozwinięciem dwóch poprzednich:

III. Celem średniego wykształcenia jest wprowadzenie umysłu ucznia w stan kultury, nie na czas ograniczony, lecz na zawsze.

IV. Średnie wykształcenie wtedy osiągnęło cel zamierzony, gdy nauczyło ucznia dokładnie wszystkiego tego, co jego pamięć zachować powinna — nic nad to.

XI.

Małe udręczenia. — Abażur. — Frania nie jest wcale lekomyślną. — Rozmowa z pewną panią. — Łacina, grecki, matematyka i wykształcenie kobiece. — Przeciążenie. —
Julcia.

Czy mam ci wyznać, Franieczko, że gdy udawałem się do was na obiad we wtorek, jak to w twoje dni urlopu z pensyi jest moim stałym przywilejem, nie byłem wcale spokojny o przyjęcie, które miało mnie spotkać ze strony pewnej znanej mi ze swego sarkazmu osóбки?

Zdawało mi się, że nie omieszkasz drwić z mojego ostatniego listu. Nie chciałem go odczytać przed wysłaniem, obawiając się, że porwie mnie wtedy ochota rzucić go do kosza, jako ciężką i pełną pedanteryi ramotę, bynajmniej nie licującą z młodocianym wdziękiem adresatki. List został wszakże wyeksperymentowany, a to gwoździem sumienia, które mnie opanowały. Żądałaś ode mnie wypowiedzenia moich poglądów na wykształcenie młodych panien. Zdałem ci szcze-

rze z nich sprawę. Być może, że wykład za mało wytwornym i lekkim ci się wyda — przypisz to wszakże poważnej treści.

Poszedłem zatem na plac Possoz i bardzo nieswój przekroczyłem próg waszego mieszkania. Ludzie w moim wieku niczego się tak nie obawiają, jak sarkazmu młodych dziewcząt. Przewyższacie nas na tylu punktach, że wobec was czujemy się bezbronni... Drzwi salonu otwały się przede mną i ujrzałem cię, gdy, wspięta na koniuszeczki palców, przyprowadzałaś do porządku jakiś uparty abażur na jednym z kandelabrow, stojących na kominku. Nasze spojrzenia spotkały się w lustrze. Jakież było moje zdziwienie! Zapomniałaś w jednej chwili o kominku i świecy, i podbiegając do mnie, by mi czoło podać do powitalnego pocałunku, zawołałaś:

— Wiesz, wujaszku, jesteś niezmiernie u przejemny.

Prawdę powiedziawszy, nie wiedziałem o tem; byłem jednak nader skłonny do dania temu wiary, o ile zechcesz mi choć trochę słuszny dowód przytoczyć. Zapytałem cię o niego.

— Napisałaś do mnie list!... — odpowiedziałaś — ale co za list! sprawił mi on niesłychaną przyjemność!...

Spojrzałem badawczo w twoje oczy i na wyraz twarzy: nie, stanowczo — drwin nie miałaś na myśli. Błyskawicą przeleciało mi przez głowę przypuszczenie, że może wskutek zaszłej na poczcie omyłki list pisany przez innego wuja

do innej siostrzenicy dostał się tobie do rąk. Tonem niepewnym wyjąkałem pytanie:

— Czy mówisz... Franiu... o moim liście... tym dotyczącym... twojej... edukacji? (z prawdziwym tchórzostwem nie mogłem zdobyć się na słowa: średnie wykształcenie).

— Ależ naturalnie, wujaszku! Mam na myśli ten list, w którym wypowiadasz mi swoje poglądy w kwestyi średniego wykształcenia.

I w tej chwili, jak gdybyś odczyt wygłaszała, zabawnym, pełnym namaszczenia tonem zaczęłaś mówić:

— Zadaniem średniego wykształcenia jest ogólne oświecenie umysłu; nie można zatem ograniczyć ilości przedmiotów, bo z chwilą wykreślenia jednego — zamierzonego rezultatu nie dałoby się osiągnąć. Z drugiej strony, ponieważ wiadomości, drogą średniego wykształcenia nabyte, powinny przetrwać przez całe życie, muszą być one bardzo starannie nauczone i w pamięci utrwalone. Trzeba zatem zmniejszyć ich zakres i, dając jasne o nich pojęcie, zamknąć je w granicach głównych zarysów wiedzy. Czy nie tak, wujaszku?

— I ty pytasz mnie o to? — Tak — bez wątplenia, streściłaś cudownie moje myśli, o ileż lepiej, niż potrafiłem je wypowiedzieć. Ty, Franiu, nie obawiasz się poważnych tematów. Aż do chwili podania obiadu nie można było zagaic innej rozmowy, jak o kulturze, o okresie Taine'a, o rzeczywistym znaczeniu wyrazu umieć, o po-

wierzchownem nauczaniu i o zarzutach, czynionych systemowi ścisłej i ograniczonej wiedzy... Obiad spowodował krótką w tych rozprawach przerwę, lecz zaledwie odeszliśmy od stołu, podczas gdy droga twoja matka oddawała się małej drzemce, zawrzały one na nowo. I na rozstaniu, już po odprowadzeniu cię na pensję, musiałem jeszcze zanotować podane przez ciebie tematy naszej przyszłej korespondencji.

I oto widzę ten spis na moim bilecie wizytowym, który położyłem wczoraj na biurku w miejscu widocznym, by przypomniał mi od razu czynioną ci obietnicę:

— Powiedzieć, co naprawdę umieć powinna wykształcona kobieta.

— Powiedzieć, jak powinny być napisane podręczniki szkolne.

— Powiedzieć, jak trzeba się uczyć, żeby nauczone zachować w pamięci, i jak ułożyć plan nauk.

Te słowa są moją ręką napisane; poniżej, odebrawszy mi ołówek, dodałaś sama to zdanie:

»Proszę o szczegóły«.

Dzisiaj, drogie dziecko, gdy siadłszy przy biurku z zamiarem spełnienia twoich żądań, spojrziałem na ten bilet, uczułem dla ciebie (daruj, że ci to mówię) podziw prawdziwy. Zapewniałaś mnie, że wiele z twoich koleżanek doznaje wspólnych z tobą wrażeń i wątpliwości, i zachwycony jestem tem, jak poważnem jest obecne pokolenie młodych panien, jak bardzo rozbudzone mają

umysły, dla których najdonioślejsze zagadnienia życiowe obcemi nie są. Nie, nie myślę się: ta pełna uroku i tajemniczości istota, która miano młodej panny nosi, w przeciągu ostatnich lat dwudziestu poważnemu uległa przeistoczeniu. Jest to ta sama ewolucya, która w Rosyi niewoliła córki najlepszych rodów do porzucania świata zabaw i balów, by nad nie pracę w uniwersytetach przełożyć. To też we Francyi, gdzie identyczny ruch już się zapoczątkował, brak tylko takiego, jak Turgeniew, pisarza, któryby napisał dzieło pod tytułem: »Matki i córki«, jako analogię do sławnej powieści tego autora: »Ojcowie i dzieci«.

Gdyby komu to zadanie ponętnem się wydało, niech przejrzy niniejsze kartki; zawierają one opis rozmowy, jaką miałem w trzy dni po widzeniu się z tobą z pewną prześliczną osobą z towarzystwa, starszą od ciebie o jakie lat piętnaście. Starą jej to nie czyni, daje jej wszakże tytuł mężatki już od lat dziesięciu i pozwala ubierać w możliwie modny sposób uroczą dziewczynkę lat sześciu, jej córkę.

Przez szczególny zbieg okoliczności, który wyznawcy teorii o prądach psychicznych nazwaliby telepatją, zauważyłem już parę razy, że od czasu, jak dzięki tobie zacząłem się interesować wychowaniem, mnóstwo osób, którym przedtem i na myślby to nie przyszło, w rozmowie ze mną potraça o tę kwestyę. Oto w jaki sposób

pani X. i ja wpadliśmy na ten temat, nigdy przez nas nie poruszany.

Do małego saloniku, gdzieśmy gawędzili, weszła przed chwilą miarowym krokiem jej córka Juleczka, pod opieką swojej miss, której moralny i umysłowy rozwój dziecka został powierzony.

— Juleczka jest urocza — odezwałem się po jej odejściu. — Zaczyna być podobną do matki.

— Tak, zdaje mi się, że będzie dosyć ładna — odparła pani X. — Będzie miała rysy regularniejsze od moich; tylko że brakuje im wyrazu. Czy pan chciałeś powiedzieć, że prześcignie mnie w urodzie?

— Jakże pani mogła pomyśleć coś podobnego? Trzeba być tak źle wychowanym, jak Horacyusz, by chwalić córkę kosztem matki.

— Horacyusz? Jaki Horacyusz? Poeta z czasów rzymskich?

— Ten sam. Pani wszystko umie.

— No, przecież po łacinie nie umiem — odpowiedziała pani X. tonem urazy. Pozostawiam to owym nowożytnym pannom, które pan w swoich książkach wychwalasz.

Było to powiedziane, jak pewno zgadujesz, tonem dosyć niechętnym względem panien i mnie. Próbowałem naprawić swoją niezręczność:

— Boże mój! niech mi pani wierzy, że pedantek bynajmniej nie lubię. Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego kobiecie miałyby być uzbrojone języki starożytne, skoro umiejętność ich jest dla wykształconego człowieka uznana za

niezbędną? Jeżeli zachodzi jaki związek pomiędzy picią, do jakiej uczeń należy, i znajomością języka, to jest on dla mnie nieuchwytny.

— Mężczyźni potrzebują do swoich zawodów greckiego i łaciny — odpowiedziała pani X.

— Do jakich zawodów?

— Żeby być adwokatami, doktorami, aptekarzami, czy ja wreszcie wiem, czym?

— No, ale i kobiety mogą być adwokatami, doktorami, aptekarzami.

— Waryatki chyba...

— Miej się pani na baczności! Może to będzie powołaniem Juleczki.

— Gdybym mogła coś podobnego przypuścić wołałabym raczej, żeby czytać nie umiała.

— Zdaje mi się, że pani niezupełnie zdaje sobie sprawę z celu tej nauki. Mężczyźni nie uczą się łaciny i greckiego dlatego, by móc czytać językiem Justyniana i Arystotelesa, lub pisać na słóikach: »Acetum boricum« zamiast kwas borny.

— Więc dlaczego? Jeżeli pani rzeczywiście na tem zależy, to bez wdawania się w długie, lecz niezbite wywody o dziedziczności powiem, że pochodzimy od Latynów, i że wszystkie wiadomości o życiu społecznym, o historii, o polityce, a nawet o przemyśle, przenikają bez porównania łatwiej w umysł francuskiego dziecka zapomocą łaciny.

— Czyż łatwiej, niż gdy uczą się tego po francusku?

— Tak, w tym sensie, że zrozumienie jest głębsze, rozleglejsze i więcej źródłowe. Można wprowadzić i nie władając językiem łacińskim, zdobyć tę samą wiedzę, ale to w ten sam sposób, jak gdybyśmy czytali powieść, której brakuje początku.

— A grecki?

— Zlituj się pani już nade mną i zawierz na słowo, że to cudne sylabizowanie zaczątków cywilizacji i sztuki, z której nasze swoje źródło wyprowadzają, również nader dodatnio na ogólną kulturę umysłu wpływa.

— Zatem, według pańskiego zdania, Juleczka powinna się uczyć po grecku i łacinie?

Wytrzymałem możliwie najodważniej trochę pogardliwe spojrzenie pani X. i odpowiedziałem:

— Pozostawmy na boku łacinę i grecki, bo koniec końców jest to tylko jeden rozdział w programie wszechstronnego wykształcenia. Juleczka, jeśli zechce być wykształconą, musi tak samo jak chłopiec nabyć wszystkie te wiadomości, które się na całokształt kultury umysłu składają. Nie można uważać kobiety za oświeconą, jeśli przy tym samym zasobie wiedzy męczyznę obskurantem nazwiemy. Posiadanie długich włosów, piękniejszych oczu, jaśniejszej cery nie wpływa bynajmniej na fakt, że nieumiejętność jest ciemnotą bez względu na kobiety lub męski strój, który dany osobnik nosi.

Pani X. wybuchnęła śmiechem.

— I sam pan Palice nie wypowiedziałby się

jaśniej... Więc skoro tak, nie widzę żadnych przeszkód, by posłać Juleczkę do szkoły normalnej lub na politechnikę pod pozorem, że gdyby się mężczyzną urodziła, tam byłoby jej miejsce!

— Nie, pani. Niech pani, proszę, nie wmawia we mnie myśli, które mojemu nie są. Wymienione przez panią zakłady naukowe dają wiedzę specjalną, wyższą, z którą ogólna kultura nie ma nic wspólnego. Nadejdzie zapewne taka chwila, gdzie i chłopcy i dziewczęta bez różnicy płci wyższe wykształcenie otrzymywać będą. Chwilo wo jednak starajmy się średnie wykształcenie upodobnić. Zapewniam panią, że nie ma przeszkód do tego, by w szesnastym roku życia umiejętność chłopca i panienki nie była jednakowa.

— W takim razie jednak dziewczęta nie będą miały czasu na naukę szycia i prowadzenia domu.

— Ależ tak. Mogą one poświęcić na to godziny, które młodzież męska zużytkuje na fechtunek, konną jazdę i t. p. Pewna różnica w wychowaniu, przez samą naturę wskazana, przynajmniej na teraz istnieć musi.

Pani X. zamyśliła się.

— I czy pan naprawdę sądzisz — zapytała po chwili — że ta nieszczęsna istota będzie miała czas przed siedemnastym rokiem życia nauczyć się prócz szycia i gospodarstwa wszystkiego tego, czego uczą się chłopcy?

— Niech pani pozwoli, że dodam jeszcze ja-

kie łatwe rzemiosło, np. umiejętność pisania na maszynie, lub introligatorstwo. Następnie trzeba, żeby jeszcze umiała rzeczy, które, jakkolwiek w żadnym programie nauk nie figurują, przewyższają znacznie wartością znajomość trzeciej dynastii egipskiej.

— Jakież to?

— Trochę historii sztuki... style w architekturze, w umeblowaniu, znajomość współczesnego ustroju państwowego, jakie takie pojęcie o administracji, higiena. Oto zasadnicze części składowe ogólnej kultury, zapomocą której życie łatwiejszem i pożyteczniejszem uczynić można.

— Niechże pan od razu powie, że umysł tych biedaczek musi być encyklopedyą!... I mówi się o zniesieniu przeciążenia! Doprawdy, mój przyjacielu, nie idziesz pan zupełnie z prądem chwili!

Pani X. podniosła się... Jej powłóczysta suknia zakreśliła na dywanie pełną wdzięku elipsę, gdy, podchodząc do kominka, przycisnęła guzik dzwonka. Po wejściu służącego kazała mu podać herbatę, która też natychmiast została wniesioną wraz ze stołem, obciążonym różnego rodzaju przysmakami. Nie rozbroiły mnie te łakocie.

— Pani! — odezwałem się po chwili z filiżanką herbaty w ręku — pani mnie obmawiasz. Jestem zdeklarowanym nieprzyjacielem przeciążenia, czyli raczej nie daję mu wiary, szczególnie dla większości dzieci. Można je trzymać w ławce w przeciągu trzynastu godzin, ale znievolić do tak długiej pracy, to wcale co innego.

Za moich to czasów przeciążenie modnem było. Gorzkie wino wiedzy leli bez miłosierdzia w wór programów. Wór nabrzmiewał aż do pęknięcia. Zapewniam panią jednak, że my, obojętni filozofowie, nie piliśmy z naczynia ani kropli więcej... Gdybym był pedagogiem, najwyżej trzy godziny pracy narzuciłbym swoim uczniom.

— Trzy godziny! Przy takim obszernym programie, jak pański?

— Mój program nie byłby obszerny. Naturalnie, że zawierałby on te dwanaście, czy piętnaście rozdziałów, które się na całokształt ogólnej kultury umysłu składają. Każdy rozdział jednak byłby bardzo krótki. Czy życzysz sobie pani liczb, ilości stron, by swoje myśli ustalić? Przypuszczam zatem, że z historii powszechnej te fakty i wnioski, które dla wykształconego człowieka, nie specjalisty, są niezbędne, nie obejmą zawartości tego romansu w żółtej okładce, leżącego tam, na tym prześlicznym gierydonie w stylu Ludwika XVI... Podejmuję się zamknąć w trzydziestu stronach arytmetykę teoretyczną i praktyczną. To, co w historii naturalnej jest pożytecznego i godnego spamiętania, zajmie najwyżej stron pięćdziesiąt. (Podręczniki szkolne zawierają ich zwykle najmniej 400). Atlas o czterdziestu stronach mieści w sobie pewno więcej wiadomości z geografii, niż ich większość ludzi wykształconych w swej głowie posiada. Zresztą ten atlas istnieje, zredagował go Foncin...

— Rozumiem — przerwała pani X. — to sy-

stem doktora Mattei, system homeopatyczny. Doza matematyki, doza geografii, doza gramatyki!... Jednakże ze swoją znajomością 50-ciu stron historii naturalnej pańscy uczniowie daleko nie zajdą.

— Dalej, niż pani i ja, bo podobno nie potrafilibyśmy dzisiaj wytłómaczyć teorii krążenia krwi, ani ukłasyfikować odpowiednio solę, albo pająka.

— A łacina, grecki, a języki nowożytny?

— Niema języka nowo- lub starożytnego, któregooby nie można w przeciągu dwóch lat opanować. Pierwszy lepszy kelner lub służąca przybyli ze wsi nie zużywają tyle czasu, by swój zapas językowy wypełnić. A gdy raz dziecko gramatyki swojego języka się nauczyło, przyswojenie jej sobie w innych jest kwestyą równie łatwą, jak dla skrzypka przejście do wiolonczeli. A cała rzecz w tem, żeby dobrze uczyć i żeby co pół roku systemu nie zmieniać.

Pani X. zamyśliła się, co dodawało jej ślicznej twarzy jeszcze więcej powabu.

— Wie pan, nabieram ochoty powierzenia panu edukacyi mojej Juleczki. Że Angielka uczy ją wszelakich bredni, takich samych zresztą, jak te, których ja się uczyłam, to nie ulega wątpliwości. Dlaczego się pan śmieje?

— Bo mam już dwie uczennice: uroczą osiemnastoletnią panienkę, moją siostrzenicę, i jej córkę, gdy zamąż pójdzie. Nazywamy tę przypuszczalną elewkę Franią II.

— A więc zapytasz pan Frani II, czy chce mieć towarzyszkę nauk w Juleczce?

Obiecałem spełnić polecenie, a ponieważ oznajmiono nowego gościa, pożegnałem się i wyszedłem.

Niechże Frania II zazdrosną nie będzie. Jestem pewny, że pani X. i o naszej rozmowie i o swoim projekcie już dawno zapomniała. Juleczka pozostanie w dalszym ciągu w rękach swojej Angielki, by następnie uczęszczać na renomowane, przedewszystkiem za wykwinny dobór uczestniczek, kursa. I jeżeli sama z pęt ciemnoty się nie wyzwoli, zostanie kiedyś również przeciętną sobie osobką, nieświadomą lecz bystrą, płochą, lecz uroczą — jaką jest jej matka.

A zatem tobie, Franiu, która przeczytasz sprawozdanie z tej pamiętnej rozmowy, pozostawiam zręczne wybranie z niej wskazówek, które w kwestyi wykształcenia kobiecego umysłu udzielić ci obiecałem.

XII.

Podręczniki szkolne. — W nich dwa wielkie braki. — Określenie dobrych i złych stron. — Gdybym był ministrem. — Wykształcenie literackie: wybór najpiękniejszych ustępów z poezyi i prozy. — Rady, dawane Frani II.

Kilkakrotnie wyraziłem ci już, droga Franiu, mój brak zaufania do podręczników szkolnych, będących stale w użyciu. Nadeszła chwila, gdzie trzeba naganę usprawiedliwić. Kwestya to nie-małej wagi. Do tego, żeby ucznia nauczyć, trzeba równie dobrej książki, jak i dobrego nauczyciela. Powiedziałbym nawet, że książka ważniejszą nieomal odgrywa rolę, bo umysł dziecka mniej się rozprasza przy czytaniu, niż przy słuchaniu wykładu. Żywe słowo uchwycić się już nie da, jeśli od razu do mózgu nie przeniknęło; rzecz się ma wprost przeciwnie z trudniejszym ustępem w książce. Oko samo z siebie doń powraca, by rozjaśnić wątpliwości. Książka jest zatem zawsze obecnym i nad wszystko cierpliwym nauczycielem.

Na nieszczęście, prawie wszystkie szkolne podręczniki mają dwie stałe wady:

Primo, że absolutnie swemu przeznaczeniu nie odpowiadają, albowiem tylko wykształcony umysł może z zajęciem i pożytkiem te dzieła wertować. Autor specjalista, będąc z natury rzeczy gruntownie z przedmiotem obeznany, nie podarował uczniowi ani jednego szczegółu ze swojej wiedzy. I tak pewien modny kurs literatury posługuje się dziełem, złożonem z sześciu tomów, każdy o pięciuset stronach zawartości. Trzy tysiące stron jednego tylko przedmiotu przeszło zatem przed oczyma ucznia szkół średnich, by w rezultacie w tej ogromnej ilości kartek on sam uczynił wybór tych wiadomości, które spa-miętać powinien. Czyż to nie absurd?

Powtórzę raz jeszcze i upierać się będę stale przy tem zdaniu, że pomiędzy dziesiątym a szesnastym rokiem uczeń nie jest w stanie segregować wiadomości i nie ma na to czasu. Nie wybiła dlań jeszcze godzina, w której najlepszym sposobem nauczania będzie jego własne upodobanie (okres, nazwany przez nas epoką Taine'a).

Pomiędzy dziesiątym a szesnastym rokiem życia nauczanie jest jeszcze i przedewszystkiem wychowaniem i pielęgnowaniem umysłu, czyli, że pieczę nad nim roztaczać się powinno, a w razie potrzeby i w ciaśniejszym zamknąć obręb. W przeciwnym wypadku młodociany umysł gubi się w labiryncie pojęć i faktów, nie wie, jak się pokierować, czyni wybór zły, lub zrzeka się go

w zupełności, nie wynosząc ani jednego jasno określonego i uporządkowanego poglądu.

Drugą dużą wadą podręczników szkolnych jest to, że są zbyt liczne; przyznać jednak musimy, że to już jest winą posługujących się nimi, a nie tych, którzy je napisali.

Uczeń lub uczennica, którzy ukończyli średnie wykształcenie, posiłkowali się w tym okresie czasu kilkoma różnymi podręcznikami do każdego prawie przedmiotu. Zaledwie coś nowego w tym zakresie się ukaże przeciętny wydawca rozsyła profesorom swoje wydawnictwa i jeśli które z nich wyda się lepszym od swego poprzednika, zostaje do użytku szkolnego wprowadzone. Bezpośrednim tego wynikiem jest, że uczeń musi czempnąć opróżnić jedną komórkę swojego mózgu. Przecież to absurd. Student, którego ogólna kultura na pożądanym poziomie się wzniosła może z przyjemnością i pożytkiem różne rozprawy o jednym i tym samym temacie studyować. Ma on już w swoim umyśle pogląd utrwalaony, więc bezwiednie porównywa tylko i, w miarę wartości jednego lub drugiego, swoje pojęcia zmienia lub rozszerza. Umysł dziesięcioletniego dziecka — to biała karta, na której jeśli dziesięć różnych rysunków nakreślisz, otrzymasz w rezultacie niezrozumiałą dla nikogo bazgraninę.

Powiedzą ci, że niezbędną jest rzeczą zmieniać książki od czasu do czasu, bo ta, która dziesięcioletniemu uczniowi wystarczy, nie może

piętnastoletniemu z pożytkiem służyć. Nie dawaj temu wiary. Dobrze napisany podręcznik dla każdego wieku się nadaje, tylko że w miarę posuwania się naprzód coraz większego zgłębiania wymaga.

Co się mnie tyczy — dzisiaj, gdy moja pierwsza młodość, niestety! dalekiem jest tylko wspomnieniem, czytuję z przyjemnością historię Francji, którą M. Guizot dla swoich wnuków napisał. Skromny atlas Foncin'a, o którym w poprzednim liście napomknąłem, trzymam zawsze pod ręką i do tej pory przychodzi on mojej nieświadomości ze skuteczną pomocą...

Niewątpliwie dobrą będzie ta książka, która się do różnego wieku uczniów da zastosować. Jest to również cechą prawdziwie klasycznych dzieł literackich takich, które na duszę ucznia twórczy nieomal wpływ wywierają. Bajki La-fontaine'a będą posiadały urok niezmierzony dla najwięcej nawet wykształconego i dekadentckiego umysłu, mała zaś, zaczynająca czytać zaledwie dziecina ubawi się nimi.

Literacka spuścizna naszego kraju obfituje w dzieła klasyczne, we właściwym tego słowa znaczeniu. Szkolnych podręczników zato nie posiadamy prawie zupełnie. Przyznajmy też, że napisanie ich niesłychanie trudnem jest zadaniem. By odpowiedzieć mu godnie, trzeba posiadać dwie, same w sobie rzadkie, tem rzadsze, gdy skojarzone, zalety — czyli być jednocześnie wielkim uczonym i pedagogiem niepospolitym.

Trzeba się wznieść na te wyżyny wiedzy, z których ocenia się od razu istotną wartość pojęć i wzajemny ich względem siebie stosunek; z drugiej zaś strony mieć dobrze w pamięci trudności, które się miało za czasów szkolnych do zwalczania. To też ten tylko, kto tem nader rzadkiem połączeniem tych zalet poszczycić się może, na miano »dobrego nauczyciela« zasługuje.

Czy chcesz, Franiu, bym ci jakie osobiste wspomnienie przytoczył? Podczas dwóch lat, w których uczęszczałem na politechnikę, miałem samych wybitnych profesorów. Dobrych nauczycieli było tylko dwóch: Sarrau i Grimaux.

W poprzednim liście wspominałem ci, jak dobrze jest nie być ministrem, gdy się ma do opracowania system edukacyjny. Zupełnie odwrotnie wszakże przedstawia się sprawa, gdy chodzi o zastosowanie tych obmyślonych w cichy gabinetu reform. I oto żałuję w tej chwili, że nie mogę zostać choć na przeciąg kilku tygodni kuratorem okręgu naukowego. Gdyby to nastąpiło, postarałbym się wynaleźć we wszystkich gałęziach wiedzy takie potęgi, jak Sarrau, Grimaux, Foncin, Guizot — i zamówiłbym u nich bardzo treściwy i zwięzły wyciąg z danej specjalności. Tylko że ten wyciąg z wyliczaniem faktów nic wspólnego miećby nie mógł, bo wtedy, gdy do nomenklatury podobnym się staje, z zadaniem swoim mija się bezwarunkowo. Na nie-

szczęście prawie wszyscy uczeni, którzy streszczaniem poważnych dzieł się zajmują, robią to w tej formie, przeciążając ją jeszcze podziałami, imionami, cyframi i faktami, o ile tylko takowe w zakreślonym programie zmieścić się dadzą. I zdaje im się, że nagromadziwszy to wszystko razem według pewnego schematu i ubrawszy w określoną na ten cel zewnętrzną szatę, zrobili wszystko, co należy, by wiedzę przystępniejszą uczynić! Ależ oni tylko sposób wyrażania się zwięźlejszym uczynili. Być może, że niektórzy mikrografowie podjęliby się zmieścić historię powszechną Cantù na stu stronicach przeciętnej książki. Nie możnaby wszakże tego tomu nazwać treściwym wyciągiem.

Wyciągi, którychbym w charakterze ministra oświaty od mistrzów wiedzy żądał, nie mogłyby również spisu rzeczy przypominać. Powinnyby być raczej »rozprawą« o danym przedmiocie. To znaczy, musiałyby być wypowiedziane w zdaniach potocznych, nietylko poprawnym, lecz nawet wykwinnym stylem, albowiem prócz streszczenia przedmiotu powinny one ofiarować uczniowi i możliwie piękny wzór wyłożenia tych wiadomości. Byłyby krótkie i bardzo krótkie, dlatego, że autor, samą tylko syntezę wiedzy mając na myśli, odrzuciłby śmiało wszystko to, co dodatkimby zaledwie było. Ten stanowczy wybór jednak, to skrócenie — wykonać może tylko bardzo wielka i głęboka inteligencja. Człowiek, który nie zgłębił dostatecznie przedmiotu, będzie

zawsze niepewny tego, co poświęcone być musi, bo wzajemnego stosunku faktów względem siebie jego połowiczna wiedza nie ogarnie.

Takie podręczniki, raz ułożone i w miarę postępu wiedzy nowymi myślami zasilane, stałyby się podstawą urzędowego nauczania.

Wszystkie wykładowe przedmioty miałyby po jednej takiej książce, podczas całego okresu średniego wykształcenia; a wszelkie dodatkowe objaśnienia i komentarze z tego źródła wypływaćby musiały.

Wyłączną treścią egzaminów byłyby zawarte w nich wiadomości, bo jakkolwiek egzaminator miałby niezaprzeczone prawo sondowania umiejętności ucznia przez zadawanie mu ubocznych pytań, wszelka kwestya, na którą dobrze pojęty podręcznik nie dawałby odpowiedzi, musiałaby być absolutnie wykreślona.

Zamiast tych, ubogich wiedzą, pospolitych stylem, a brzydkich wyglądem bibuły, które z chwilą opuszczenia zakładu Berquin z radością odrzucisz, czybyś nie wołała, droga Franiu, zabrać z sobą jakieś kilkanaście tomów zbliżonych do siebie formatem i objętością, o wytwornej zewnętrznej szacie, o jednakowym druku, które, ułożone według jednej przewodniej idei, całością kształtu twego szkolnego dorobku by przedstawiały? Współcześni artyści i uczeni stworzyliby dla was elementarną Encyklopedyę, przystosowaną do młodocianych umysłów i czasu, który nauce poświęcić możecie. Wszystkie zawarte

w niej wiadomości byłyby przez was doskonale przyswojone, nie dlatego, byście były zmuszone treści ich nauczyć się dosłownie; nie — pracy waszej pamięci tylko fakty i ich układ powierzoneby zostały. Sama jednak istota tych książeczek, ich duch i myśl takby się w twój umysł wcieliły, jak wyrazy i zwroty ojczystego języka. I styl naukowy, sposób badania, rozumowania — wszystko to na analogicznych przedmiotach mogłabyś już teraz wypróbować. Z drugiej strony wyobrażam sobie, że autor (zawsze przypuszczalnie bardzo uczony) dodałby na końcu każdego tomu po parę stron bibliografii, wskazując źródła, z których uczeń mógłby czerpać, w razie gdyby pragnął zakres swej wiedzy rozszerzyć. Przekraczałyby już one plan nauk i do obowiązkowych wiadomości zaliczoneby nie były. Stanowiłyby tylko przewodnik, z pożytkiem odczytywany w chwilach wolnych od zajęć. W jakimkolwiek sposób przyjmiesz tę twoją bibliotekę, złożoną z »rozpraw« o wiedzy, pozostanie ona zawsze istotną kwintesencją twojego wykształcenia.

W ten sposób twój młody umysł wchodzi w okres Taine'a w warunkach jak najpomyślniejszych: jest on już wszechstronnie o zasadach ludzkich umiejętności powiadomiony, by swojemi naukowemi upodobaniami z uświadomieniem kierować, dostatecznie ze źródłami i systemami nauczania obeznany, włożony do pracy, w dysputach wyćwiczony, zbytniej frazeologii ze wstrę-

tem unikający, przywykły raczej do wypowiadania wielu myśli — w niewielu słowach... Czy można wyobrazić sobie stan umysłu odpowiedniej przysposobiony do studyów wyższych, czyli do rozpoczęcia rzeczywistej poważnej nauki, która, wybiegając już poza ramy tego, co wszyscy umieć powinni, wkracza w dziedzinę nie dla wszystkich dostępną, będącą wszelako, jeśli zechcesz, przez wybraną przez ciebie specjalność — i twoim udziałem.

Naprawdę, droga Franiu, nie zdaje mi się, żeby można było w dobrej wierze dodatnim stro-
nom tego skupionego i intensywnego systemu wykształcenia zaprzeczyć.

A i zastosowanie go w praktyce, przynajmniej w naukach opartych na pamięci lub rozumowaniu trudności nie przedstawia. Kwestya trochę więcej skomplikowaną się staje, gdy wykształcenie literackie będziemy mieli na myśli. Zatrzymajmy się trochę na tym punkcie.

Co do mnie, mam tak głębokie przeświadczenie o bezużyteczności rozproszonego i powierzchownego nauczania, że nawet gdy chodzi o literaturę, wypisałbym bez obawy na głównej ścianie klasy przysłowie: »Timeo hominem unius libri«. Można udowodnić skuteczność tego systemu na sławnych przykładach. B. Pascal nie otrzymał w dzieciństwie żadnego literackiego wykształcenia. Będąc już młodzieńcem, przeczytał: »Les Essais« Montaigne'a; przetrawił je wprawdzie gruntownie, i one to były źródłem,

skąd zaczerpnął całą swoją wiedzę o starożytnej kulturze; w »Myślach o religii« wydaje się ona olbrzymią...

»Cyropedia« Ksenofonta, »Iliada« i »Odyssea«, odpowiednio przestudyowane przez szesnastoletniego ucznia lub uczennicę, dają im wcale nieprzeciętną znajomość kultury greckiej; dla poznania łacińskiej wystarczają »Obyczaje Germanów« Tacyty, jeden tom Georgik, dwie lub trzy epistoły Horacyusza. Gdy mi zarzucą, że w ten sposób uczeń najważniejszych arcydzieł znać nie będzie, odpowiem, że to samo i dzisiaj ma miejsce. Jakże jest dowolnym, a czasami nawet śmiesznym, ów wybór narzuconych programem autorów. Dlaczego Dyonizyusz Halikarnaski a nie Teokryt? Czemu Owidysz a nie Juwenalis? Jesteście wyznawcami integralnego wykształcenia, a czyż nie jest to faktem niesłychanym, by po skończeniu średniej edukacji, młodzieniec lub panna nie znali Goethego, albo Szekspira inaczej, jak z imienia; zdarza się to bardzo często, bo zależy po prostu od tego, na jakie kto uczęszczał kursa, angielskie, czy niemieckie. W obu wypadkach nie znają oni Stendhal'a, Chateaubriand'a, Sand'a, Balzac'a — a wymieniam tu tylko autorów francuskich... Otóż dowiodłem, zdaje się niezbicie, że i przy tej metodzie wybór przeprowadza się także, tylko że jest on dowolny i nieusprawiedliwiony bardzo często.

Wobec tego, że musimy w pewnych zamknąć się granicach, że czas i intelektualna zdolność

ucznia do segregowania nas zniewalają, raz jeszcze polecam system wyciągów, który w tym wypadku nosiłby piękny tytuł Antologii kwiatów. Tak, stanowczo, i tam, gdzie chodzi o literackie wykształcenie Frani II, gdybym był ministrem, kazałbym mistrzom stworzyć mały tomik, w którym najwyborowsze ustępy najlepszych tylko autorów miejsceby znalazły.

Tę książkę włożyłbym do rąk Frani II z następującymi słowami:

— »Mała Franiu — oto książka, jakich znajdziesz wiele: wybór wzorowych wyjątków z poezji i prozy. Tytuł sam sobą się nie zaleca, albowiem dużo jest wyborowych, lecz bardzo źle wybranych ustępów. Istotnie, dla głupca albo leniucha nic niema łatwiejszego, jak sfabrykowanie książki, wybierając na ślepo ustępy ze sławnych dzieł. Zbiór niniejszy tem się odznacza, że przez prawdziwych uczonych i w określonym celu został utworzony. Przedewszystkiem wyborem autorów nie fantazyja kierowała: narzucona ci erudycja została ujętą w pewien usystematyzowany zarys. Wszyscy poniżej wymienieni autorowie to albo mistrze, albo tacy, których dzieła posiadają znaczenie dokumentów historycznych. Wszystkie wybrane z ich dzieł ustępy to te, które jako najwięcej znane utrwalają się bezwarunkowo w umyśle każdego wykształconego człowieka, albo do charakterystyki autora się przyczyniają, albo jako cudny wzór literacki olśniewają, lub nareszcie, jeśli już nic innego za

nimi nie przemawia, to przyczyna umieszczenia ich w niniejszej książce leży w ich nietylko literackiej, lecz i naukowej wartości...

»Pojmujesz, Franiu, jak trudnem jest ułożenie takiej książki, to też zwróciliśmy się o nią do pierwszorzędných potęg literatury i krytyki. Trzeba ci jednak wiedzieć, Franieczko, że jest jeszcze coś, co naszą »Antologię« przewyższa. To biblioteka, która zawierałaby wszystkie utwory wszystkich wybitniejszych autorów. Byłaby ona lepszą, gdyby nie była niemożliwą, bo jesteś na to, Franiu, za młodą i czas ucieka. Nie bawmy się więc w marzenia, by nie wzbudzać żalu, lecz trudno ubolewać nad tem, że się nie ma podwójnego mózgu, albo, że życie nasze dwa razy dłuższem być nie może.

»Ponieważ trzeba, żebyś sobie zdała sprawę z tego, co to jest całość dzieła, obok tych wybitnych fragmentów, zaznajomią cię z jednym lub dwoma arcydziełami, więcej nie, bo dnie są krótkie, a poznać wszystkiego między dziesiątym a osiemnastym rokiem życia nie możesz. Nakoniec, podczas lat składających się na twoje średnie wykształcenie będą upominać cię i namawiać, byś, raz je ukończywszy, nie zaniedbała dalszych studyów i zapomocą poważnego czytania zgłębiała to, coś dopiero jako pierwsze zasady i jako sposób przyswajania sobie wiedzy poznała. Twoja erudycja musi być jako ten główny gmach, solidnie z kamienia ciosowego zbudowany, o dobrym rozkładzie i wentylacyi, będący jednak do-

piero częścią szerzej zakreślonego architektonicznego planu. Budowla będzie dość mocna, by ją o parę pięter podwyższyć można było, a krańcowe jej kolumny dźwigać będą kamienie, które służyć mogą, w razie potrzeby, za podstawę dalszych skrzydeł, które z pełną swobodą w przebiegu życia dobudujesz».

XIII.

Rumak Rolanda. — Nasza metoda obchodzi się bez mini-stra. — Jak zastosować ją w praktyce? — Rozkład dnia uczennicy. — Wstanie, ubieranie się, jedzenie, lekcye, odpoczynek. — Pożyteczne zadanie i pożyteczne tłumaczenie. — Zebrania wieczorne. — Udanie się na spoczynek. — Idealny zakład wychowawczy.

»Mój wuju — piszesz do mnie — wszystko to bardzo pięknie, ale nie jesteś i nie będziesz nigdy ministrem oświaty, więc gdy Frania II wejdzie w okres średniego wykształcenia, owe sławne »wyciągi« i »Antologie« istnieć nie będą. W jakiż sposób, nie bawiąc się w hipotezy, uczyć będziemy w rzeczywistości Franię II? Twój system przypomina mi bardzo rumaka Rolanda: tak samo, jak to legendowe stworzenie, posiada on wszystkie zalety, a jeden tylko brak: że wcale nie egzystuje«.

Uspokój się, Franiu, nasza metoda bez specjalnej władzy obejdzie się doskonale. Wykazałem ci możliwość przystosowania jej do idealnego urzędowego nauczania; żeby zaś Frania II także

z niego korzystać mogła, niekoniecznie potrzeba, by wszystkie pomocnicze narzędzia do rozporządzenia gotowe były; rzecz od nich cenniejsza — to system.

Jeżeli nauczyciel Frani II zdecydowany jest nim się kierować i jeśli nie jest ograniczony, to w znacznie krótszym przeciągu czasu potrafi on Franię II bez porównania lepiej wykształcić, niż mógłby to uczynić, stosując się do dzisiejszego programu. Trzeba tylko, żeby wziął na siebie trud przygotowania dla swojej uczennicy tej skondensowanej strawy, którą zalecamy. Musi on wziąć z każdej umiejętności najlepsze dzieło i opracować je odpowiednio. W ten sposób Frania II, jakkolwiek nie posiłkowałyby się wzorowymi podręcznikami, miałyby w każdym razie do czynienia tylko ze ściśle określoną podstawą wiadomości i te wiadomości musiałyby sobie doskonale przyswoić. Oto punkt ciężkości mojej metody; doskonałość podręczników leży już na drugim planie.

Piszesz mi jeszcze, drogie dziecko, że gdy wykładałem ci program wykształcenia Frani II, jeszcze jedna wątpliwość zaprzętała twój umysł... Mianowicie, jak rozdzielić zajęcia, żeby zdobyć zakresloną planem wiedzę; jednym słowem, w jaki rozkład godzin ująć powyżej wspomnianą metodę.

Należy stanowczo rozwiązać tę kwestię, bo ileż jest wybornych, lecz nie dających się zastosować w życiu codziennem systemów !...

Żeby ci jaśniej ten doskonały zespół pomiędzy teorią i praktyką wyłożyć, wyobrazimy sobie po prostu jeden dzień życia Frani II. Domyślasz się, że pragnę możliwie uogólnić ten pojedynczy wypadek; umieścimy zatem dziewczynkę na pensyi... dajmy jej lat dwanaście, zdrowie umiarkowane, czyli że przeciążenie byłoby dla niej szkodliwem. Mam nadzieję, że nie urażę miłości własnej przyszłej mamusi, jeśli na średnie zaledwie zdolności i przeciętną pracowitość u naszej urojonej panienki liczyć będę.

P. Gratry w bardzo sympatycznej opowieści swoich młodych lat oburza się gorąco na zbyt wielką wkładaną na dzieci pracy, którejby nawet ludzie dorośli na swoich barkach nie udźwignęli. P. Gratry ma zupełną słuszość. Tylko jakiś prześladowca z zawodu, lub mnich o ciasnym umyśle mogli wymyślić plan dnia o jedenastu — trzynastu godzinach usilnej pracy, gdy zaledwie dwie lub cztery na wypoczynek są przeznaczone. To barbarzyństwo, a przytem niedorzeczność. Intensywnie pracować trzynaście godzin na dobę nikt nie potrafi, chyba jakiś fenomen, który w takim razie nie uniknie szybkiego zużycia się i przedwczesnej śmierci (Balzac). Osoby, narzucające dziecku trzynaście godzin zajęcia, nie są bynajmniej prześladowcami, ani też obskurantami, lecz przykładają one tutaj tę samą miarę, którą się kierowały, gdy tworzyły program średniego wykształcenia. Oto znowu ona — ta zwo-dnicza iluzja ! Jakże rezultat szczęśliwym bę-

dzie, jeśli na te trzynaście godzin przypuszczalnej pracy zmarnuje się w lenistwie i w umysłowej drzemce tylko dwanaście, o ile i tych ta specjalna, rozstrajająca a właściwa pensjom nuda nie pochłonie!

Gdy obrachowuję ilość straconego w ten sposób czasu, z którego, dosłownie rzeczy biorąc, ani mój umysł, ani ciało żadnego absolutnie nie wyniosły pożytku, mam ochotę zażądać rachunku od cieniów Cumont'a, który był ministrem oświaty za moich szkolnych lat.

Tak, drogie dziecię, nie można poświęcić pracy trzynastu, a nawet dziesięciu, ośmiu i siedmiu godzin na dobę. Przeciętna liczba młodych mózgów najwyżej trzy na dwadzieścia cztery godzin pracować jest w stanie. Trzy godziny, zamiast trzynastu; jak widzisz, nie bawimy się w pół-środki... Czy uwierzysz jednak, że owe trzy godziny dziennego zajęcia dają aż *sześć tysięcy* godzin pracy w przeciągu siedmiu lat szkolnych? Któż z nas w młodzieńczym wieku użył pożytecznie tej ilości czasu?

Godzinami pracy nazywam godziny intensywnego intelektualnego wysiłku; takie, które poświęcone są słuchaniu ścisłego wykładu, albo zrozumieniu dowodzeń, przyswojeniu sobie faktów, lub na koniec praktycznemu ćwiczeniu się w jakiegokolwiek gałęzi wiedzy lub sztuki. Nie uważam zaś za pracę chwil, w których uczeń pisze listy, ani takich, gdzie czyta poważną i pożyteczną nawet książkę, gdzie słucha odczytu,

o ile zawartość książki, a treść odczytu nie mają być gruntownie przez ucznia spamiętane i nauczone.

Gdyśmy się już na tych punktach porozumieli, dajmy Frani II następujący rozkład dnia:

Budzimy ją o siódmej, a zimą nawet o ósmej godzinie. Zwyczaj wstawania przed świtem pochodzi z klasztorów: odpowiedni dla mniszek — dla świeckich panien jest zupełnie zbyteczny. Trzeba podnosić się z łóżka, gdyienne światło obejmie już świat w posiadanie, i o ile możliwości starać się, by termin wstania był zimą i latem jednaki.

Godzina na ubranie się — to nie za dużo. Dziewczynka przyzwyczai się tym sposobem do rozpoczynania dziennych zajęć nie inaczej, jak będąc czysto i porządnie ubraną. I na dalszą przyszłość pozostanie to już jej zwyczajem; nie ujrzymy jej potem o południu z potarganą głową i w szlafroku.

Otóż i dziewiąta. Nasza Frania II z główką gładko zaczesaną, z twarzyczką czystą i świeżemi myślami idzie do jadalni, gdzie wraz z towarzyszkami spożyć ma w zupełnej swobodzie śmiechu i rozmowy ranny posiłek, który według mojego zdania najodpowiedniejszym będzie dla dziecka, jeśli na angielskim typie śniadania wzorować się będzie: jajka, herbata, kawa mleczna. O pół do dziesiątej śniadanie powinno być skończone. Uczennice idą do klasy.

Lekcja trwająca godzinę jest długa, ta, która tę ilość czasu przekracza, jest bezsensowna. Przecież dorośli nawet i przywykli do pracy ludzie nie są w stanie słuchać uważnie odczytu przez półtorej godziny. A dzieciom wszakże i dwugodzinne wykłady narzucają. Jeszcze jedno następstwo szkolnej ułudy.

Jedną tylko godzinę zatrzymamy Franię II i jej miluchne towarzyski w klasie, czyli raczej lekcyi w ten ściśle ograniczony przeciąg czasu nie zamkniemy. Przeznaczając zatem godzinę dla usilnej pracy, następne pół możemy rozmowie z nauczycielem poświęcić. Jeśli ta pogadanka zbyt długą się okaże, uczennice dłuższy wypoczynek uzyskają. Lekcja zato musi być w całym znaczeniu tego wyrazu intensywną: nauczyciel powinien książkową wiedzę żywą uczniom przed oczy postawić. Zapomocą objaśnień, komentarzy, a w razie potrzeby i dostosowanego do pojęć i wieku audytoryum czytania, uzupełni on i urozmaici nauczanie, które, w książce zawarte, mogłoby wydać się suchem i monotonnem. Następną po takiej lekcyi godzinę przeznaczyłbym na *nauczenie się*, czyli na dokładne utrwalenie w pamięci tylko co usłyszanego wykładu, a przeciągnąłbym ją jeszcze o pół godziny swobodnego porozumiewania się uczennic między sobą, to jest, żeby słabsze do mocniejszych o pomoc udawać się mogły z zupełnem uczuciem swobody i dobrowolnego wysiłku.

Gdy w tak pożytecznem zajęciu, minął czas pół do pierwszej, dajemy dzieciom pół godziny, by książki i swoje osóbkki do porządku przyprowadziły, poczem idziemy na drugie śniadanie, lub obiad. Wybiega to poza zakres niniejszego listu, pragnąłbym jednak bardzo, by ów południowy posiłek był jak najpożywniejszy.

Przypuśćmy więc, że koło pół do drugiej pannenki są już odpowiednio nakarmione. Co mają one robić z resztą dnia?

Przedewszystkiem oswobodzimy umysł od wytężonej pracy aż do godziny piątej po południu.

W przeciągu trzech i pół godzin zaniechamy wykładów, lekcyi, uczenia się. Jest to chwila odpoczynku dla głowy, a nie za długą ona będzie, jeśli użyjemy jej na ćwiczenia cielesne, na swobodne i przyjemne czytanie, na sztuki piękne i przyswajanie sobie pewnych domowych umiejętności. Z tego czasu przewiduję jedną tylko, nauczaniem zajętą godzinę, więc n. p. gimnastykę, z kobiecych zaś zajęć: szycie, kuchnię, gospodarstwo i lekcyę przedmiotów artystycznych. Pozostałe dwie i pół godzin ma uczennica do swojego rozporządzenia. Może ona czytać, bawić się, ćwiczyć się w swych artystycznych upodobaniach, szyć wreszcie, ale to już jej własnym chęciom jest zostawione. Jednem słowem pragnę, by młode dziewczę czas popołudniowy spędzało na doskonaleniu się w roli kobiety, naturalnie jednak zawsze pod okiem, a czasem i z pomocą wychowawców.

Zycie szkolne w ścisłym znaczeniu tego wyrazu rozpocznie się około godziny szóstej, po lekkim podwieczorku. Skorzystamy z tego, że umysł doskonale wypoczął podczas poprzednich różnorodnych zajęć i naznaczymy trzecią godzinę intensywniej pracy. Najpożyteczniej będzie, jeśli przeznaczymy ją na praktyczne przystosowanie nabytej już wiedzy, a więc: na rozwiązanie zadania arytmetycznego, opracowanie ćwiczeń językowych, zrobienie tłumaczenia, napisanie wypracowania, lub streszczenie historii, albo geografii.

O ile to będzie możliwe, powinny te popołudniowe zajęcia mieć związek z rannymi lekcjami. Lecz jakikolwiek będzie ich wątek, jednakowy system skupienia i wysokiego napięcia sił umysłowych przystosowywać będziemy. Damy do przerobienia nie trzy, lecz jedno tylko zadanie; zażądamy wszakże, by odpowiedź poparta była piśmiennym wyłożeniem teorii, która do rozwiązania posłużyła. Wierzaj mi również, że tłumaczenie dziesięciu najwyżej wierszy, szczegółowo wami jednak gramatycznymi objaśnieniami opatrzone, więcej pożytku uczennicy przyniesie, niż pobieżny przekład całej strony. I wogóle parę razy w tygodniu zaleciłbym, by podczas popołudniowej godziny pracy uczennica przepowiadała sobie w piśmiennym, zrobionem bez książki wypracowaniu swoje wiadomości o danym przedmiocie, i to od pierwszych zasad aż do punktu, na którym się zatrzymała. I znowu przedłużenie

tej wieczornej lekcji o pół godziny dałoby uczniom możliwość wzajemnego porozumiewania się między sobą, lub zasięgnięcia rady u dozorującej je osoby.

O pół do ósmej przyprowadzenie ubrania do porządku i obiad, albo kolacja.

Nie pochwalam bynajmniej zwyczaju udawania się na spoczynek już o godzinie pół do dziewiątej: to także klasztorna pozostałość, której uczennice zaniechać będą musiały, zaledwie opuszczają pensję. Jestem wszakże bardzo za tem, by urządzać wieczorne zebrania, któreby paniom pożytek lub rozrywkę dawały.

Czy nie jest to zdumiewające, że niema we Francji ani jednego męskiego lub żeńskiego zakładu naukowego, któryby posiadał salę, przeznaczoną na pobyt uczennic w tych chwilach, kiedy nie są w klasach, w jadalni lub sypialni? Wszystkiem jest tutaj podwórze, owo strasznie ponure i obdarte podwórze z szopą na wypadek deszczu...

Przerywasz mi:

— Ależ, wujaszku, to ty nie wiesz o tem, że w zakładzie Berquin jest bardzo obszerna sala, gdzie zbieramy się, gdy pada deszcz lub śnieg, albo gdy jest bardzo zimno. Ale ponieważ ma ona ściany zupełnie nagie i w braku wszelkich ławek siadać można tylko na ziemi, wolimy od razu powracać do klasy...

Taka sala jest bez znaczenia; należałoby ją przede wszystkim umeblować i opalić. Twierdzę, że każdy zakład naukowy powinien mieć wy-

godny salon, gdzie uczniowie, czy uczennice takby się zachowywały, jak dobrze wychowani ludzie na zebraniu, albo w klubie. Salę młodych dziewcząt uczyniłbym możliwie miłym i prawdziwie kobiecym schronieniem, gdzie mogłyby one spędzać jesienne, zimowe i wiosenne wieczory, gdy wychodzić już nie można.

Pragnąłbym bardzo, by co drugi wieczór urządzane tam były pogadanki o kwestiach praktycznych, albo artystycznych, lub nakoniec o faktach bieżących; żeby miało miejsce czytanie głośnych sztuk, a także przedstawienia amatorskie żeby się od czasu do czasu tam odbywały. Pragnąłbym jednak również, żeby niektóre wieczory poświęcone były wyłącznie prowadzonej kółkami swobodnej rozmowie, odosobnionemu czytaniu, albo muzyce tak, jak się to w życiu dzieje.

O dziewiątej — spać.

Wspólna modlitwa wieczorna jest zwyczajem wszystkich zakładów naukowych. Byłbym bardzo za tem, żeby poprzedzić ją prowadzonym przez jedną, losem wskazaną uczennicę rozmyślaniami o tem, jak się zużytkowało dzień ubiegły i jak się następny spędzić zamierza. Późem i nauczycielki i uczennice udałyby się na spoczynek.

Oto jak wyobrażam sobie rozkład dnia Frani II. Jak widzisz, droga moja siostrzeniczko, ten sposób nauczania nie tylko nie ogranicza indywidualności uczennicy, lecz przeciwnie sprzyja jej rozwojowi o wiele więcej, niż będące dzisiaj w uży-

ciu metody. Karność fizyczna i umysłowa są do minimum ograniczone, to minimum wszakże już z całą surowością przeprowadzone być musi.

— A więc, wujaszku, uważasz za idealny ten zakład naukowy, któryby się rządził powyższym systemem?

— Nie, Franiu. Opisałem ci po prostu możność przystosowania do przeciętnej pensyi moich o edukacji pojęć, albowiem tę metodę można bez żadnych wielkich przewrotów z dnia na dzień zaprowadzić w pierwszej lepszej szkole. Nie sądzę wszakże, że ta zmiana, o ile takowa nastąpi, wystarczyłaby do uczynienia zakładu Berquin pensją wzorową. Będzie to zawsze łagodne i kochane nawet przez swoje wychowanki więzienie, albo klasztor, jeśli ci się to określenie stosowniejszym wyda.

Otóż idealnym zakładem wychowawczym jest tylko — Rodzina!

Jest was sto osiemdziesiąt uczennic na pensyi. Niema tak licznych rodzin, a gdyby i były, trzebaby je na wzór więzień lub klasztorów prowadzić. Rzadko się również zdarza, by liczniejsza familia z samych córek się składała. Zwyczajnie widzimy chłopców i dziewczynki, a wspólność ta wpływa niezmiernie na wychowanie obu płci. W epoce, w której będziemy chcieli umieścić Franię II na pensyi, czy znajdą się takie zakłady naukowe, które na wzór rodziny urządzone będą? Powątpiewam o tem i ubolewam także, bo zdaje mi się, że taki familijny zakład

wychowawczy dawałby wyniki znakomite... Reforma, którą zalecam, ponieważ nie pociąga za sobą żadnych przewrotów i nie uraża niczyjej skromności, jest do przeprowadzenia łatwiejszą. Przełożona pensyi o samodzielniejszym charakterze z pomocą kilku inteligentnych matek może ją przedsięwziąć; co więcej: każda dobra i oddana swej córce matka może zastosować ten system w wychowaniu istoty, którą jej Opatrzność powierzyła.

I ty zapewne na to się zdecydujesz i póki zakłady wychowawcze dla dziewcząt naśladować będą klasztory, a licea chłopców z więzieniem porównać się dadzą, zdaje mi się, że dobrze postąpisz, gdy sama swe dzieci wychowywać będziesz.

I oto, droga moja siostrzeniczko, jestem nareszcie u kresu tego tak długiego wykładu oschłych i surowych zasad. Trzeba być naprawdę tak poważną, jak ty, osobką, by zająć się nimi i śledzić za ich wyłuszczeniem do końca.

Ale, dzięki Bogu! minęły czasy ograniczonych a skrytych niewiniątek, którym rodzice kazali wychodzić z pokoju, gdy była mowa o dzieciach i małżeństwie; twoja generacja jest więcej szczerą i otwarcie swoją ciekawość wypowiada.

Waszem pragnieniem jest, by młodym pannom mówiono o zadaniu kobiety. W chwili, gdy wasza według tradycyjnej rutyny przeprowadzona edukacja z lepszym lub gorszym rezul-

tatem końca dobiega, marzycie o tem, by jako przezorne i celów swoich świadome wychowawczynie odpowiedzieć na wezwanie w dniu, w którym mała dziewczeczka, kość waszej kości, stanie przed wami i, podniósłszy swoje jasne oczęta, zapyta:

— Matko! jak trzeba się uczyć?

XIV.

Folwark. — Potrzeba urzędnika na wsi filii zakładu Berquin. — Czem była generacja kobiet w końcu ubiegłego stulecia. — Kuracya bezruchowa. — Nauka, którą daje nam ziemia. — Dąb i kasztan. — Trzynaście franków, dwadzieścia pięć centymów. — Życie umysłowe i życie wiejskie.

Za ostatniem widzeniem się naszym pierwszymi nieomal słowami, które do mnie wyrzekłaś, było pytanie:

— Wujaszku, czy widziałeś folwark?

Dowiodło mi ono, że zaraza nawyknień paryskich nawet mury zakładu Berquin przenika. Nie wiem już, jakiego krasomówczego użyłem wybiegu, by uniknąć zasadzki, która na mnie w tych słowach podstępnie czyhała; a wywołało to nawet na twoją twarzyczkę pewien grymas niezadowolenia... Dzisiaj, drogie dziecko, nie potrzebuję żadnej wymówki, by ci odpowiedzieć: widziałem folwark w samej rzeczy, widzę go codziennie i nieomal w nim mieszkam, albowiem jest zwyczajem okolicy, w której obecnie przebywam, że tylko podwórze oddziela dom wła-

ściciela od siedziby dzierżawcy. Widzę zatem folwark, związane z nim zajęcia i obyczaje. Cały jestem tem przejęty — i nie myślę o niczem innem. A ponieważ twoje śliczne usteczka nie zawahały się posłużyć chwilowo wyrażeniem zwykłych bywalców w Buttes Chaumont, nie unikniesz dzisiaj kilku orzeźwiających o życiu wiejskiem spostrzeżeń.

Czy lubisz folwark, Franiu, albo lepiej, czy lubisz wieś? Jesteś pewno w kłopotcie, jaką mi dać odpowiedź. Dwa pokolenia wystarczyły, by ciebie, prawnuczkę ziemian, w takie prawdziwe dziecko miasta zamienić, że dla ziemi nie znajdujesz już w swej duszy ani upodobania, ani wstrętu. Nie znasz jej.

— Ależ nie! wujaszku...

— Ależ tak! kuzyneczko. Ile razy słyszałem cię mówiącą o wsi, ubolewałem nad twoją zupełną nieświadomością. Zdaje mi się, że mieszasz dwa pojęcia; wieś i prowincję bierzesz za jedno, a ta ostatnia cię nudzi. Podczas wakacji, które parę razy u krewnych w Poitou spędziłaś, widziałas mieszkanie podprefekta, lecz nie było ci danem zobaczyć, czem jest gospodarstwo wiejskie. Mnie się wszakże zdaje, że bardzo niezupełnem jest wychowanie młodej panienki, jeśli życie matki-ziemi jest jej obce i nieznane. Żałuję bardzo, że godna pani Rochette nie urządziła na szczerzej wsi filii zakładu Berquin. Gdy będziemy opracowywali z tobą program sre-

dniego wykształcenia, tego ulepszenia nie pominiemy.

Poprzedzające was bezpośrednio pokolenie młodych kobiet, jako wychowane zupełnie na sposób pani Rochette, nie miało, jak i ty, żadnej z ziemią styczności i jest to niewątpliwie jedna z przyczyn, dla której były one tak płache, tak nieodporne i we wszystkim kruche i kosztowne cacka przypominały... Ileż ja ich znałem, ileż słyszałem tych uroczych istot, zapytujących z nieudanem zdumieniem: »Ależ w końcu na czym panu czas na wsi schodzi?« — Nie mogły one sobie wyobrazić, by można było opuścić Paryż w pełni sezonu i zastąpić to ciszą rozległych pól i pięknnością przyrody. Większość z nich twierdziła, że »ma do wsi wstręt« — a osóbkki o umyśle więcej niezawisłym mówiły z uznaniem o wsi angielskiej, czyli o wsi magnatów, ze wspinałym, z najwyższym komfortem urządzonym pałacem, z tenisem, z golfem, jesiennymi polowaniami, a jak obecnie z automobilizmem... Dla niektórych wreszcie pojęcie o wsi zamykało się w zaproszeniach na obiady do siedzib podmiejskich. Mówię ci, że wynikiem tego wszystkiego były dusze bardzo ubogie, a Bourget i Maupassant, malując je w czarnych barwach, w swoich opisach bynajmniej nie przesadzili.

Trzeba płci męskiej oddać tę sprawiedliwość, że często bardzo, pozostawiając kobiety przy ich intrygach, gałgankach, pseudo-literackich i pseudo-artystycznych zajęciach, garnęła się do wiej-

skiej swobody i jakoś więcej zżyta się z ziemią wydawała. Przedewszystkiem większość Paryżan lubi polowanie, a nawet wtedy, gdy ogranicza się ono na peryodycznem zabijaniu niewinnych gołębi, jest ono zawsze potrochu nauką wiejskiego życia. Zmusza do przedstawiania z wieśniakami, każe badać przepowiednie atmosferyczne, zniewala do zwracania uwagi na różnorodność terenu, niejednostajność uprawy ziemi, uczy śledzić za zwyczajami zwierząt domowych i innych, pozostających na swobodzie... Z drugiej strony mamy wielu bardzo znanych i światowych nawet Paryżan, którzy dodali do swoich miejskich obowiązków zbawienny ciężar pracy na roli, co zmusza ich do opuszczania miasta od czasu do czasu w celu dopilnowania swoich interesów. Jeżeli nie udało im się wszczepić w dusze swoich dożgonnych towarzyszek przywiązania do ziemi, może tę miłość w sercach córek obudzą. Ustawiczne przeistoczenia, którym podlegają obyczaje, upoważniają nas do tej nadziei. Czyż nie jest możliwem, by nadeszła moda zdrowia i prostoty po epoce panowania psychologicznych komplikacyi w połączeniu z rozwiązłym pesymizmem?

Wszak nie tak dawno po czasach ogólnego zepsucia powstała epoka sielanek, w których Florian, Gessner, Bernardin de Saint-Pierre tak celowali. Pani du Barry jeszcze żyła, gdy pewna młodociana księżniczka znajdowała upodobanie

w karmieniu kur i dojeniu krów na folwarku Trianon'ie.

Nie mam zamiaru skłaniać cię do osiedlenia się na wsi, bardzobym jednak pragnął, żebyś polubiła ten rodzaj życia i uczuła potrzebę wplatania jego sielskich wspomnień i obrazów w gorączkową miejską egzystencję. Wszczepią one w ciebie bez najmniejszego z twojej strony współdziałania mnóstwo prawd, których poczucia nie miały twoje poprzedniczki, co między innymi spowodowało ten niski poziom moralny, na jakim stało ówczesne pokolenie. Nadzwyczajna nerwowa ruchliwość nie uszła bezkarnie bohaterkom Bourget'a i Maupassant'a: nie miały one nigdy ani chwili refleksyi, duchowego życia żadnego; były to egoistki i nieszczęśliwe w gruncie rzeczy istoty, bo szlakiem zniechęcenia płynęło ich życie. Twierdzić, że zbliżenie się z przyrodą ratuje od tego wszystkiego, nie jest bynajmniej paradoksem.

— Czy chorujesz na nerwy, Franiu? Nie bardzo i nie często. Zdarza się wszakże, że twoja matka mówi: »Znajduję, że Frania jest dziwnie podniecona...« a i ty sama potwierdzasz to słowami: »Jakże jestem dziś zdenerwowana...« Zlituj się, drogie dziecko, nie przyznawaj się nigdy do tego, niech nikt o tem nie wie; ukrywaj tę dolegliwość, by ją tem łatwiej pokonać. Ta endemiczna choroba końca ubiegłego wieku, ta niezmierna nerwowość kobiet mogłaby w bieżącym stuleciu zatrwajać przybrać rozmiary. W ży-

ciu współczesnem zadużo trzeba zrobić, przeczytać, zobaczyć. Wszystko się składa na to, żeby wyczerpać siły większości jednostek. Nawet w razie, gdy kobiety wyzwolą się od tego nadmiaru sentymentalizmu (a ufam, że ty to potrafisz), który obarczał bohaterki powieści »Fort comme la mort« i »Mensonges«, jeszcze narażone są one na rozprężenie nerwów li tylko z powodu nadmiernej ruchliwości, której uniknąć nie mogą. Co mówię? Ta uzasadniona ciekawość, która was ożywia, ten głód wiedzy, to pragnienie współzawodnictwa z mężczyzną, całe, tak godne uznania uświadomienie twojej generacji — wszystko to powiększa niepospolicie niebezpieczeństwo, w jakim się wasz system nerwowy znajduje. Czy wiesz, że gorączka tego ustawicznego fizycznego i umysłowego podniecenia wywiera tak zgubne skutki na zdrowie równieśnych tobie Amerykanek, że pod kierunkiem specjalistów muszą one poddawać się kosztownej kuracyi powolności ruchów, lub nawet zupełnego ich zaniechania? Te nieszczęsne istoty doszły do tego, że zniewolone są uczyć mózg i członki normalnego rytmu życia!... A więc, zamiast oddawać się w ręce szarlatanów, zamiast przebywać miesiące całe nieruchomie i bez światła, jak owe panie z Bostonu i New-Yorku, czyż nie lepiej przeprowadzać kuracyę w sposób naturalny, co rok, a nawet parę razy do roku spędzając czas na łonie dobroczynnej natury? Nie czytaj ty Rousseau, bo wyszedł on już z mody,

lecz pojedź na wieś, by poza miastem brać lekcje cierpliwości, rozmyślań i spokoju. Tam odzyskasz to, co życie miejskie ponad miarę zużywa: czas... Nie być o jaki tydzień, albo i miesiąc zapóźnionym, jak to stale w Paryżu ma miejsce, wyzwolić się z pod jarzma tego ustawicznego pośpiechu, tej olbrzymiej sztucznej działalności, mieć możliwość rachowania czasu i powiedzenia sobie: »Mam dzisiaj jedną godzinę do zastanowienia się nad sobą!...« Ten moment, w którym nie będziesz biegać za interesami, nie będziesz pisać pilnych bilecików, nie będziesz oglądać z pośpiechem wystawy obrazów, lub nowej sztuki w teatrze, jedynie w celu mówienia o niej — ta godzina niczem niezapełniona jest dla ciebie skarbem nieocenionym; to chwila, wyłącznie do twojej wewnętrznej należąca istoty, a moralne jestestwo to jedyna nasza wartość. A przecież, wierząc mi, drogie dziecko, że tej godziny spokoju, tak bardzo dla naszego ducha zbawiennej, nie mogą nam dać: ani wielkie miasto, ani kąpiele morskie, ani wyjazd do wód, ani nawet podróże. Tylko żyjąc sam na sam z przyrodą, możesz ją odnaleźć. Znajdziesz ją w wiejskim trybie życia, w tej niezmiernej ciszy, która następuje po dniu pracy, i nareszcie wtedy możesz sobie zadać pytanie: »Jakże ja stoję względem samej siebie? Jakie są moje zamiary? dokąd dążę i ile z zamierzonej drogi przebyłam?« Jakaż rozpacz ogarnia na samą myśl, że tyle jest młodych mężczyzn i kobiet, którzy nie

znaleźli w swoim życiu ani jednej chwili takiego wczasu, takiego moralnego wytchnienia, by spojrzeć w głąb własnej duszy i z sumieniem się porachować.

Wiesz obdarza cię taką godziną i jednocześnie uczy, jak ją spożytkować. Można szydzić z sielanek i uważać te wielkie prawdy za przestarzałe — nie ujdiesz jednak przed tą nauką, która zawiera się w powolności, a mimo to w niezawodnem spełnieniu się faktów, które na krosnach życia przyrody niezmiennie jednakie rok rocznie się dziergają. Śledząc za nimi, uczysz się nadziei i cierpliwości... Gdy włożysz żdźbło zainteresowania w nędzną zasadzoną w ziemię łodyżkę, która zaledwie za lat piętnaście w drzewo wyrośnie, leczysz się niechybnie z tych gorączkowych pożądań, krótkotrwałych zachceń, które pod groźbą nerwowego ataku spełnione być muszą... Gdy sprawdzisz osobiście, że bez względu na niepogodę, mrozy, grady, wiosny zbyt wczesne lub zapóźnione, nieskończenie długie susze, albo uporczywe deszcze, każdy cykl dwunastu miesięcy nad tą samą spełnioną działalnością się zamyka i że wynik przyniesionych za każde pięciolecie plonów z niezmiennem podobieństwem się powtarza, pogodniejszym okiem nagle przewroty mierzyć będziesz i spojrzysz w przyszłość pełna filozoficznego spokoju, odbijającego tak silnie od tej szarpiącej nerwy walki o byt, od pełnego lekomyślności optymizmu. Długo czekać trzeba

na owoce swej pracy, masz jednak tę niechybną pewność, że pomimo wszystkich niespodzianek twoje rozumnie przedsięwzięte usiłowania nie pójdą na marne. Oto skromna nauka, która się w pracy na roli zawiera. Wiktor Hugo wypowiedział tę prawdę w jednej ze swoich poezyi, w dwuwierszu, o którym sądziłem przez długi czas, że jedynie dla rymu został wstawiony. Czuje się, mówi on, o siewcy:

— Czuje się, jak wierzyć on musi głęboko
W pożyteczność mijających dni!...

Pożyteczność mijających dni! I powiedziec, że zadaniem życia w mieście jest właśnie, by czas jak najprędzej a bezpożytecznie upływał...

Nakoniec jest jeszcze wieś wielką mistrzynią uczuć altruistycznych, społecznych i prostoty. Ta ostatnia zaleta jest najwyżej we wszelkich idyllach ceniona. I rzeczywiście dobrze to bardzo zobaczyć na własne oczy, jak mało miejsca i jak niewiele rzeczy niezbędnie trzeba człowiekowi do życia, lekcyja altruizmu wszakże nierównie większej jest doniosłości. Dziecko drogie, twoje oczy zapewne niejednen znaczny przewrót podczas nadchodzącego stulecia oglądać będą: nie daj-że się wziąć zniecierpliwienia, jak te piękne panie z końca XVII wieku, dla których wyrażenie »tańczyć na wulkanie« ułożonem zostało. Parę miesięcy do roku spędzonych na wsi (mam tu na myśli czas bystrej obserwacyi poświęcony)

do różnych ewentualności doskonale cię przygotuje. Jedna tylko ziemia wpaja w nas to głębokie przekonanie, że to, co naszym mianujemy, prowizorycznie użyczone nam zostało i że wszelka nasza praca to tylko drobny wysiłek w zbiorowym trudzie ludzkości.

Zasadzenie dębu będzie niewątpliwie altruistycznym czynem, albowiem dopiero następne pokolenia drzewem cieszyć się będą. Z drugiej strony, gdy zrywasz owoc z pięknego kasztana, możesz twierdzić napewno, że ręka, która to drzewo hodowała, już nie istnieje. Odczuwasz w ten sposób stały łącznik z tymi, co cię poprzedzili, i z tymi, co po tobie nastąpią. Czujesz, że nie miałabyś nic, gdyby inni dla ciebie nie pracowali, i że gdybyś nawet chciała pożytek swoich czynów do siebie tylko ograniczyć, uczynić tego nie byłabyś w możności... Wszystko naokoło ciebie do solidarności cię nawołuje, a ciężka dola bliźnich budzi litość w twojem sercu. Jakkżę nędznym jest los człowieka, który koło roli pracuje; jest on najsilniejszy, a najgorsze odbiera za swój trud wynagrodzenie. Obecny byłem wczoraj przy wypłacie robotników wiejskich. Podczas całego tygodnia widywałem ich, gdy kopali ziemię, przygotowując grunt pod winnicę. Po sześciodniowej znoej pracy każdy z nich otrzymał trzynastą franków, dwadzieścia pięć centymów... i na wyżywienie rodziny przez cały tydzień te pienią-

dze starczyć musiały. Z drugiej strony wiem również, że i rolnik, jakkolwiek daje tak małe zarobki, w dostatki nie opływa. To też te drobne fakty, ilustrujące w sposób tak dojmujący narodowe gospodarstwo, są dla mieszcuchów lekcją pogładową ekonomii politycznej i mimo-woli skłaniają ich do zastanowienia się nad tak dalekim od ideału ustrojem społecznym.

Jako, więc zdrowie nerwów, wypoczynek ducha, lekce cierpliwości, nadziei i miłosierdzia, wszystkie te skarby tylko na wsi znaleźć można? A więc tak, i różne inne rzeczy, których w tym już przydługim liście wymienić nie jestem w możności. Jedną ci tylko chcę przesłać radę i życzenie. Chciałbym widzieć w kobietach dzisiejszej doby zamiłowanie do życia na wsi — niech ono jednak zbyt jednostronnego nie przybiera charakteru. Przebywanie w miastach i intelektualne zajęcie niechże mu będzie dopełnieniem — i taką właśnie była egzystencja pani de Sévigné. Dzisiaj, dzięki ułatwionym środkom komunikacyjnym, każda przeciętna mieszkanka miasta mogłaby sobie podobny tryb życia ułożyć. Niestety, wcale się na to nie zanosz i stwierdzamy tutaj fakt uderzający. W wielu siedzibach wiejskich znajdują się biblioteki, wyjąwszy jednak małoważne jakieś broszury, nie znajdziesz w nich książek, których wydanie przekraczałoby pochodzeniem rok 1830.

Więc tak, miła Franiu, trzeba, żeby wasze pokolenie młodych kobiet swoimi lekkimi a silnymi paluszkami usunęło ten przedział, który ku wielkiej obustronnej krzywdzie wznosi się pomiędzy zacofanem życiem wiejskiem a intelektualnem.

XV.

Wynalazek, którego szkoda że nie zrobił Edison. — Godziny, w których nie zdajemy sobie sprawy ze swoich czynów. — Chateaubriand, pani Récamier i Frania. — Balik u uczciwych ludzi. — Kotylion. — Inna Frania. — Dobro-dziejstwa wychowania: pensyonarka i uczeń zakładu Saint-Cyr. — System odosobnionych przedziałów. — Frania przeczy.

Wszyscy ludzie, dbali o to, by z dnia na dzień stawać się lepszymi (skromny a doskonały program życia, droga Franiu), żalowali, że nie mogą mieć stale przy sobie bezstronnego obserwatora swoich czynów, myśli, drgnień serca, któryby ich potem przed swój trybunał, jak sędzia winowajcę, przywołał. Prawda, mamy sumienie, ale przyzwyczajamy je tak z ręcznie do pobażania naszym ulubionym słabostkom! A przytem ta samokrytyka zależy od pamięci, a jakże często bywa ona zawodną! Pozostaje anioł stróż, owa wszakże białoskrzydła osobistość jest tak milcząca i nieuchwytna, że gdyby raz przemówiła, chyba tylko sam urok, a nie pożytek z przedstawiania z niąbyśmy wynieśli. Ach, gdyby to

jaki Edison XX-go stulecia wynalazł cudowny aparat, zwierciadło i fonograf w połączeniu, w którym nasze życie, mechanicznie uchwycone i zanotowane, dowolnie przed nami powstawaćby mogło!

Pragnę być dziś tym kopiującym ciebie przyrzędem. Wiem, że umiesz zastanawiać się nad sobą i oceniać właściwie swoje postępowanie. Lecz w pewnych chwilach (przeważnie, z powodu niezmiernego podniecenia, przyjemnych) czy nie spostrzegłaś, że zatracamy zdolność krytykowania własnych czynów, a nawet przypomnieć ich sobie nie umiemy? Jakieś niezmężone siły budzą się w nas i odzywają z rzutną nieomylnością instynktu. Gdy do rzeczywistości wrócimy, zdaje nam się, że to wszystko było snem...

»Błękit jeziora przeglądał poprzez listwę drzew; wierzchołki Alp majaczyły na horyzoncie; powiew wiatru, prześlizgując się pomiędzy wierzbami i zamierając na chwilę, zestrzajał się w harmonijny akord z kołysaniem się fali; nie widzieliśmy nikogo; nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy...«

Oto jak wyraża się Chateaubriand, opisując spacer na jeziorze Bodeńskim w towarzystwie pani Récamier. Ona dobiegała już lat czterdziestu, sławny autor »Atali« sześćdziesiąt cztery zimy miał za sobą... Cóż zatem dziwnego, jeśli młoda osóbką twojego wieku, która nie napisała »Studyów historycznych« i nie była panią salonu, gdzie królował dowcip, traci w pewnych

okolicznościach samowiedzę i, jak tych dwoje żeglarzy, nie wie chwilowo, gdzie się znajduje?...

Żaden krajobraz szwajcarski nie był tłem, na jakim rozwijały się wypadki, które chcę ci przypomnieć. Salon o białych stiukowych ścianach zastępował Alpy; lampy elektryczne naśladowały od dawna już zaszłe słońce; rytm niezliczonych walców nie pozwoliłby usłyszeć duetu pomiędzy wiatrem a falą, choćbyś nawet nie w wykwintnym apartamencie paryskim, lecz w jednej z willi, wieńcem otaczających jezioro Bodeńskie, tego nieskończenie długiego kotyliona tańczyła. Przy boku pani Le Quellien asystowałem temu niewinnemu balikowi, wydanemu przez rodziców jednej z twoich koleżanek w dniu jej urodzin... Twierdzić, że taniec sam w sobie robi mi przyjemność byłoby kłamstwem; nie przyjmuję już od dawna czynnego udziału w tych dobrowolnych transpiracjach, a wszelkie nie-kostyumowe bale i jako widok niekoniecznie przyjemne wywierają wrażenie. Rodzice twojej przyjaciółki, znani przemysłowcy, nie mieli także pretensyi, by starą formułkę nowym ożywić pomyśłem. Nie nudziłem się jednak. Podczas gdy twoja matka i inne panie lubowały się zabawą swych córek — ja uparcie wodziłem za tobą oczyma i dokładnie notowałem w pamięci każdy twój ruch i każde twoje słowo... Otóż teraz, gdy światła już pogasły, a muzyka zamilkła, mogę podzielić się z tobą swojemi spostrzeżeniami. Jest

to niezbędne, ponieważ owego wieczoru nie byłeś sobą.

Nie byłeś tą naszą kochaną Franią i temu się nie dziwię. Ta wieczorynka była dla ciebie rodzajem niespodziewanego zadatku na wejście w świat, od czego jeszcze jakiś rok cię oddziela, a o czem nieustannie marzysz. Wprawdzie przy twojej roztropności zdajesz sobie doskonale sprawę z tego, że ani urządzenie salonu, ani zebrane tam towarzystwo, ani nawet zastęp tancerzy, złożony ze specjalnie na ten wieczór wybranych bardzo młodych ludzi, nie stanowi tego świata, którego podwoje wkrótce się przed tobą otworzą. Ten ruch jednak i światło, w których się nagle znalazłaś, upajały cię, a twoja wyobraźnia i doznawana przez ciebie przyjemność nadawały czarodziejskie barwy temu, co cię otaczało... Upojenie trwało nawet wtedy, gdy po balu kładłem na ciebie okrycie i odprowadzałem cię do powozu. Twoje oczy błyszczały; silne podniecenie przebijało w twojej mowie, śmiałaś się nerwowo...

Wróciłem do siebie, ale byłem tak przejęty wrażeniami chwili, że jeszcze przed położeniem się spać siadłem do biurka.

Oto, myślałem sobie, jedna z najlepiej urodzonych, od natury bogato uposażonych i możliwie dobrze wychowanych panien. Uczciwość ma we krwi; czuje wstręt do złego... Do tej pory utrzymywała ona i dawałem wiarę jej słowom, że nie lubi, gdy jej nadskakują. Hołdy męskie

przejmują ją niepokojem i sprawiają jej przykrość. Nie spuszczałem z niej oczu przez cały wieczór i ku swojemu najwyższemu zdumieniu widziałem przed sobą jakąś inną pannę Franciszkę Le Quellien, której dotychczas nie znałem... Przedewszystkiem nie ulega najmniejszej wątpliwości, że owej pamiętnej nocy przedstawianie z młodymi ludźmi sprawiało jej przyjemność. To prawda, że pomiędzy dwoma walcami uważała ona za stosowne szepnąć mi do ucha: »Wiesz, wujaszku, ci lalusie mają jeszcze bardziej zielono w głowie, niż my«. Mimo to tancerzy, których nazywała lalusiami przekładała nad towarzystwo koleżanek. Słuchała bez zażenowania, ani obrazy, niedyskretnie podchwyconych przeze mnie, niesmacznych aluzji o niedostatecznym wycięciu stanika, skierowanych do niej przez jakiegoś tęgiego blondyna, który na nią zuchwałem okiem z za monokla błyskał. W końcu tańczyła kotyliona z bratem Lusi Despeyroux, owym sławnym z urody uczniem szkoły Saint-Cyr. I cokolwiekby mi mówiła, jestem pewien, że nie tylko przyjemność kręcenia się z wybornym tancerzem w takt muzyki nadawała blask jej oczom, a twarzy rumieńce. To niezwykle uczucie, którego doznawała, niepokoiło trochę jej sumienie. Widząc, że ją obserwuję wytrwale, rzucała na mnie od czasu do czasu serdeczne spojrzenie, jak gdyby chciała powiedzieć: »Starzy przyjaciele niech się żadnej nie obawiają rywalizacyi«. Pod koniec balu to

spojrzenie zmieniło swój charakter i wyrażało co następuje: »Ależ wreszcie robię, co mi się podoba i lekcyi od nikogo nie potrzebuję...« A potem to już i pani Le Quellien i ja zostaliśmy wykreśleni z myśli panny Frani, która, tańca nawet zaniechawszy, dała się cała rozmowie z pięknym Maksem pochłonać.

I wtedy z duszy wypłynęło mi wezwanie, którem nie podzieliłem się z moją spokojnie uśmiechniętą sąsiadką, które jednak ty, piękna tancerko usłyszysz: »O matki! — mówiłem sobie — matki uczciwe i chrześcijańskie, wy, które z takim spokojem na to spoglądacie, czyż nic nie widzicie, nic nie rozumiecie?...

Jeśli by wam zaproponowano, gdy wasze córki po sześć lat miały, żeby wychowywać je we wspólnych naukach i wspólnych zabawach z tymi wykrygowanymi tancerzami, którzy wtedy jeszcze niedopasowane majteczki i źle obtarte nosy miewali, podniosłybyście wielki alarm.

Wasze córki zostały zatem wyłącznie z dziewczętami wychowane, chłopcy znowuż szli na przód w swoim jedynie towarzystwie, zbliżając się niepostrzeżenie do cygara, monokla i tym podobnych oznak dojrzałości... Dzisiaj, gdy ich wiek pomiędzy dwudziestym a dwudziestym trzecim rokiem się waha, a one gdy na szesnasto-osiemnasto- lub dwudziestoletnie panienki wyrosły, uważacie za bardzo naturalne połączenie odosobnionych do tej pory przedziałów, a jako wstęp do gry życia upoważniacie do rozmów

na osobności i do obejmowania się w tańcu. Czyż wcale nie wiecie, co było przedmiotem myśli tych młodzieńców, gdy szli tutaj i co będzie treścią ich rozmów, gdy za chwilę odbierzecie im swoje córki, a oni w drodze do domów papierosa zapalą? Nie wiecie więc o tem, że wychowani także w odosobnieniu, raz usamowolnieni, myślą jedynie o tej drugiej płci i marzą o tem, by z nią jak najwięcej przebywać, a przebywając, rozkosz dla siebie wyciągać? Nie powiedziano wam, na jakich to osobnikach uczą się oni poznawać kobietę? Słyszcie wasze zaprzeczenia: »Przecież to salon, a ta młodzież to ludzie dobrze wychowani, wiedzą oni, że mają do czynienia z niewinnymi dziewczątkami, a przytem nasze córki przyprowadziłyby ich do porządku, gdyby...«

Liczą w samej rzeczy na swoje córki. Prawdą jest niezaprzeczoną, że większość z nich potrafiłaby się przed zbyt natarczywym tancerzem obronić; czyż nie macie jednak za nic tego zakłócenia spokoju ich czystej duszy i narażenia ich na tę ewentualność? Wczoraj o tej samej godzinie twarde łóżeczko pensyonarskie, dzisiaj — objęcie męskiego ramienia, muskanie wąsów i pełne zachwyty wyrazy. Jeśli wszakże zachwyt w płochę przechodzi, a objęcie pieśszotą w wirze tańca się staje? Cóż z tego, że wasza córka przerwie taniec i pod pozorem zmęczenia każe się odprowadzić na miejsce: jednakże nieobrachowane następstwa faktu, że

usłyszała komplement i uczuła pieśszotę, odwrócić się już nie dadzą. I dziewięć razy na dziesięć nie powie wam ona o tem ani słowa. »Po co dręczyć mateczkę? Ją tak każdy drobiazg niepokoi...« W tych rzadkich wypadkach, gdzie tancerze zachowują się zupełnie przyzwoicie, to wystawianie temperamentu młodej dziewczyny na takie nagłe przejścia od zimna do gorąca czyż niebezpieczeństwa nie przedstawia? Zastanówcie się nad tem, że ta młoda natura przez żywszy obieg krwi, przez zbliżenie się chwili ostatecznego usamowolnienia, przez pewien rodzaj podniecenia młodości jest może dzisiaj więcej niż kiedy na wszelkie wpływy wrażliwa!... Czyż ta niewinna istota, przyjmując wzburzenie nerwów za miłość, pomimo waszej, a nawet swojej własnej woli nie może nieopatrznie swojego serca uwięzić?...«

Widzisz, droga Franiu, że nie ciebie oskarżałem, lecz niedorzeczne to wychowanie, które otrzymałaś, a którego, mam nadzieję, do swoich córek, jeśli je będziesz miała, stosować nie zechcesz.

Po tym pamiętnym wieczorze nie przestałem myśleć o tobie z pewnym smutkiem... Wiedziałem bowiem, że w takim sercu, jak twoje, raz wszczęty niepokój dłużej, niż jedną noc przetrwa. Wszystkie zasoby poświęcenia i czułości, któremi obdarzyła cię natura, w grę tutaj wchodziły. Nie należysz do tych, które po zamążpójściu mówią: »Zanim poszłam zamąż,

kochałam się ze dwadzieścia razy...» I masz zupełną słuszość: nie trzeba wyczerpywać swego serca, napełniając je i opróżniając nieustannie. Cennych esencji nie wlewa się do flasz, lecz do kosztownego, a szczelnie zatkanego flakonu. I oto stoisz wobec dwóch ewentualności: albo pokochasz nieznanego tancerza, albo też to pierwsze doświadczenie nauczy cię lekceważyć wzruszenia twego serca i skłonem do zadurzeń się je uczyni.

Nie twoja to wina, powtarzam raz jeszcze. Stosunki pomiędzy młodymi ludźmi i młodemi pannami z końca XIX stulecia, szczególnie w Francji, fatalnie się ułożyły.

Przez to wzajemne odosobnienie w wieku, w którym połączenie żadnego nie przedstawia niebezpieczeństwa, podnieca się nadmiernie ciekawość jednych i drugich. Pozory zakazanego owocu przybiera jedna płeć względem drugiej; pierwsza to niewłaściwość.

Druga to to, że w wieku, w którym ich łączą, młode dziewczęta i chłopcy nie wiedzą nic o sobie. Cała ich młodość przeszła im w zupełnie odmiennych zajęciach i zabawach. Powiedzmy szczerze: jedyny punkt, gdzie się ich myśli spotykają — to miłość. U dziewcząt zjawia się ona w idealne ubrana blaski, u chłopców pospolitszy przybiera charakter; nie bez słuszości też Balzac takie wypowiedział zdanie: »W liceach będą zawsze mówić o kobiecie, a na pensjach o »ideale«. Dzieciństwo dobiega kresu; młodzie-

niec zaczyna podnosić w górę wąsy, panienki nie mają już czerwonych rąk i płaskich staniów i oto wychowawcy korzystają z tego fizjologicznego przełomu, by czempnąć tę nieświadomą, lecz już rozbudzoną ciekawość i pełną ukrytego żaru nieśmiałość wobec siebie postawić. Doprawdy, że jednym tylko wyrazem możemy ten edukacyjny system określić: jest on idyotyczny!

Właściwy jednak sposób postępowania trudny do znalezienia nie jest; sama natura nam go wskazuje, a rozum i doświadczenie bardzo za nim przemawiają. Natura stwarza rodziny złożone z chłopców i dziewcząt; uczucie zaufania z jednej, a opieki z drugiej strony są tego niewątpliwym wynikiem. Jeśli los kuzyna lub kuzynkę do nich przyłączy, nie pociąga to za sobą żadnych komplikacji; jest to po prostu jeden brat, albo jedna siostra więcej... Dlaczegoż projekt rozszerzenia tego rodzinnego systemu wychowania spotyka się wszędzie z tak uporczywą opozycją? Jest on już zastosowany w trzech czwartych szkół elementarnych, lecz zaledwie wkraczamy w miastach w dziedzinę średniego wykształcenia, wracamy czempnąć do przedziałów odosobnionych. Wychowywać razem obie płci pozostaje dotychczas przywilejem wielkich nowych ras i cywilizacji.

Ty, Franiu, pokutujesz za nasz przestarzały, tak przeciwny naturze i moralności system. Pomimo twojego dążenia do postępu, twojego uwiel-

bienia dla niezależności, pomimo tego jasnego a ciekawego spojrzenia, którem w przyszłość kobiety spoglądasz, to nawpół klasztorne wychowanie wpływa na drgnienia twego serca. Sprawdziłem owej nocy, że atmosfera balowa obcego ci nawet świata może z ciebie inną Franię na kilka godzin uczynić. Poznaj niebezpieczeństwo i unikaj go. Pokolenie, które po was nastąpi, będzie już szczęśliwsze, mając na balu jedynie zabawę na myśli. Urok tajemniczości nie otoczy swym nimbem pierwszego lepszego tancerza, bo na równi z własnymi koleżankami znać go będą; wy zaś musicie najpierw znajomości ich charakteru się nauczyć. Oto tutaj użyj swego sarkazmu i przenikliwości. I póki nie nabierzesz jasnego pojęcia o tem, jaki jest współczesny młodzieniec, póki nie poznasz, czem jest jego wiedza, jego dążenia, jaka jest jego wartość — uderzenia twojego serca trzymaj ściśle na wodzy.

Zdaje mi się, że słyszę, droga Franiu, wzbuchy twojego śmiechu:

— Nie! doprawdy, wujaszku, jaki ty dziś jesteś nudny... Że tam trochę poflirtowałam z bratem Lusi!...

Nudny, czy nienudny, mniejsza o to. Chciałbym jednak, żeby pani Rochette wpoila w swe wychowanki przekonanie, że pomimo swojej jawności i niewinnego pozoru »flirt« jest przeważnie rzeczą bardzo brzydką.

XVI.

Naleśniki. — Konkurs kulinarny. — Ważność zajęć gospodarskich. — Masażystka i buchalter. — Upodobania i wstręty Zofii. — Lekcje poglądowe, które daje nam natura. — Idealna pani domu. — Frani umiejętność rządzenia.

Wspominanie podczas postu rozrywek karnewałowych, szczególniej jeśli te uczciwe i przyzwoite były, nie należy do rzeczy nagannych. Mam zaś na tym punkcie sumienie zupełnie spokojne. Nikt nie widział mnie, bym ustrojony w sztuczny nos trąbił na placach publicznych, ani też, bym w przebraniu Pierrota albo Turka zachwycał głupców z wyżyn ukwieconego wozu. Za powrotem do Paryża — a opuściłem wieś w ostatki — doznałem uczucia niezmierniej przyjemności na widok nagromadzonych na mojem biurku nowych książek; wyborowe było to żniwo.

Straciłem od razu chęć do wyjścia na miasto, i gdyby nie ta okoliczność, że miałem zaszczyt przyjmować w tłusty wtorek twoją matkę i cie-

bie na śniadaniu, i że zjadłem wtedy parę naleśników, które usmażyliśmy razem, pierwszy karnawał bieżącego stulecia pozostawiłby mi jedynie literackie wspomnienia.

Naleśniki wszakże miały swoją dobrą stronę, a szczególnie nasz współudział w ich usmażeniu. Zręczności pani Le Quellien jeden się tylko oparł, co podobno starość bez troski wróży. Mnie udało się zaledwie połowa; będę się zatem cieszył zmiennem, jak pogoda, szczęściem: raz deszcz, raz słońce, więc łzy i uśmiechy zarówno będą mym udziałem. Co się ciebie, Franiu, tyczy, poszcześnie ci się we wszystkich. Przystąpiłaś do ich wykonania z niezachwianą pewnością siebie. Jedno szybkie poruszenie twoich małych rączek i naleśnik odbywał ów niebezpieczny obrót z jednej strony na drugą, zupełnie jak ten pies, który pod groźbą szpicruty pana skok w cyrku wykonywa. Moja młodsza pożyczyla ci przy tej okazji swego najładniejszego fartuszka z szelkami i bawetem, a ty, zanim wzięłaś się do dzieła, skosztowałaś trochę ciasta i zażądałaś do niego jeszcze wody i kieliszka wina. Wiktorya, moja kucharka, posłuchała cię bardzo niechętnie, pokazało się jednak, że miałaś rację, bo nie zdarzyło mi się nigdy spożywać naleśników tak lekkich i tak pachnących. Patrząc na ciebie było mi wielką przyjemnością, albowiem ta mała scena stwierdzała twoje kulinarne zdolności, a jednocześnie umiejętność zdobywania sobie u służby posłuchu. Obie nader ważne zalety! Prawda, że

niedługo już wejdiesz w świat i że masz dokładne poczucie twoich praw, jest jednak rzeczą niezmierniej wagi, by każda kobieta, więc i nowoczesna, umiała dobrze swoim domem zarządzać. Jedyną różnicą pomiędzy naszymi pojęciami a dawnymi jest to, że ongi mówiono: »Tak trzeba i to wystarcza...« my zaś myślimy: »To nie wystarcza, ale tak być powinno«.

W Ameryce, o której wspominam ci tak często, bo nie mając za sobą tradycji, sama musiała stworzyć sobie nowy system edukacyjny, w niektórych szkołach mieszanych udzielają jednakowo chłopcom i dziewczynkom nauki gotowania i szycia, pod pozorem, że poważnych danych do czynienia różnicy pomiędzy obu płciami niema... Wprowadzenie do nas takiego zwyczaju byłoby niedorzecznością. Twoje pokolenie, Franiu, zdobędzie sobie zapewne niejedno pole do działania, ale w chwili, gdy ty będziesz żoną, matką i panią, a więc za parę lat, możemy twierdzić napewno, że zarząd dobrze prowadzonego domu zawsze jeszcze wyłącznie w rękach kobiety spoczywać będzie. Trzeba więc, żeby była ona »dobrą gospodynią«, jak mówili nasi przodkowie, dla których określenie to stało się w końcu (i tu był właśnie błąd) synonimem »małżonki«.

Każde ognisko domowe, bez względu na swoje w świecie znaczenie, jest na małą skalę państwem, gdzie każdy minister (z wyjątkiem ministra wojny) odbicie streszczonych swoich obo-

wiązków znaleźć może. Znajdziesz tam zarząd spraw wewnętrznych, finanse, stosunki międzynarodowe, oświatę i t. d. Że mąż i żona dzielą pomiędzy siebie tę pracę, jest to zupełnie naturalne, chodzi tylko o to, by porozumienie się między nimi było tego rodzaju, żeby pan i pani swoimi wydziałami z całą odpowiedzialnością zarządzali. Znam np. małżeństwo, gdzie żona jest masażystką, mąż zaś, który, z powodu jakiegoś wypadku, uległ kalectwu i od wczesnej młodości do życia siedzącego jest zniewolony, zajmuje się buchalterią. Żona dla swoich obowiązków jest stale za domem, mąż, dostawszy zajęcie, które u siebie odrabiać może, nigdy mieszkania nie opuszcza; okoliczności więc tak się złożyły, że musiał on wziąć na siebie zarząd domu, do którego żona tylko na obiad i na wypoczynek nocny powraca... Zwyczaj oddawania tych rządów w ręce kobiet pochodzi właśnie stąd, że mężczyzna dla chleba bawić musi poza domem; dasz też dowód rozsądku, jeśli już jako młoda panienka przygotujesz się zawczasu do spełniania możliwie dobrze włożonego na ciebie na tem polu zadania.

Kierowanie służbą, czystość i porządek w domu, dbałość o ubranie swoich najbliższych, ogród i kuchnia — oto ministerium spraw wewnętrznych. Na nieszczęście całe gospodarstwo tylko w skutkach jest przyjemne, bo o ile dom, dobrze utrzymany, jest miły dla oka, o tyle szczerbka i ścierka wszelkiego pozbawione są wdzięku. Można wy-

konywać suknie jak marzenie, ale to oczom blask odbiera i niszczy paluszki. Zofia, którą opisuje Rousseau, jakkolwiek gospodarstwem gorliwie się zajmuje, nienawidzi kuchni. Widzi ona w tem zajęciu coś obrzydliwego i wolałaby raczej cały obiad przypalić, niż na jednym mankieciku zobaczyć plamkę, a zasmolonej ścierki za nic w świecie do rękiby nie wzięła. Dla tej samej przyczyny nie chciała nigdy zająć się ogrodem, bo ziemia nieczystą jej się wydaje, a przy myśli o nawozie doznaje wrażenia, jakoby jego nieprzyjemną woń czuła... Otóż mężowie, tak samo jak Zofia, przy całej swej wrażliwości na dobry stół i ład w domu, przejmują się zwykle wstrętem do poprzedzającego te rzeczy krzątania; powiem nawet więcej, są oni na tem polu niezmiernie do przesady skłonni. Wolni od troski zarządzania domem, nie zadawałamy się nigdy tem, co w nim znajdujemy; a widok wszelkich gospodarskich czynności brakiem oswojenia się z nim razi nas niewymownie i na nasz dobry humor bardzo ujemnie oddziaływa.

Ta tylko żona, jak mówi Horacy, wygra tę trudną partyę na wszystkich punktach, która potrafi tak swoim gospodarstwem pokierować, żeby na wzór dobrego reżysera w teatrze widzowi-mężowi tego, co się dzieje za kulisami, nie pokazać. Gdy przyrządzałaś naleśniki w tłusty wtorek, przedstawiałaś widok bardzo miły dla oczu; mimo to nie wyglądałaś na kucharkę. Twój śliczny fartuszek, rękawiczki i koronkowa

chusteczka, którą sobie na głowie zawiązałaś, w celu ustrzeżenia włosów od kuchennego zapachu, sprawiającego przyjemność tylko głodnemu człowiekowi, wszystko to wskazywało, że zajmujesz tu stanowisko jenerała, pożyczającego karabina od żołnierza, by go strzelać nauczyć, albo budowniczego, poprawiającego robotę mularza-nowicyusza. Napewno nietylko nie odczuwałaś, lecz i nie budziłaś wstrętu... Wnioskuję z tego, że Zofia była niemądra ze swoim do ścierki i do nawozu obrzydzeniem. Po pierwsze, mogła także włożyć rękawiczki, a powtóre (jak dobrze do popielcowej środy zastosowane myśli!) cóż w tem złego, jeśli praca koło kuchni i koło ziemi przypomni nam, z jakiego prochu powstaliśmy i wśród jakiej żyjemy zgnilizny. Należało Zofię nauczyć — lecz, niestety, Pasteur'a jeszcze wtedy nie było na świecie — że jej własne usta, jakkolwiek według zapewnienia Rousseau, rzadką odznaczające się pięknnością, bez względu na staranność i czystość, w jakiej je utrzymywała, były po prostu kolonią fermentujących pasożytów, oczekującą tylko na ostatnie jej technienie, żeby rozplenić się w nich i wszystko w nicość obrócić. Trzeba jej było wytłómaczyć, że, żeby wytworzyć młodą krew, zasilającą jej żyły, natura oddaje się preparatom nierównie mniej apetycznym od zajęć naszych kucharek. Tylko że prześliczna powierzchowność Zofii lepiej jeszcze, niż w kim innym, to wszystko maskowała. Bardzo brzydka chemia życiowa nie

razi nas, bo jej nie widzimy, i to jest właśnie sposób, wskazany kobiecie przez naturę, by spełniając swoje gospodarskie czynności, wstrętną się nie uczynić.

Oto jak wyobrażam sobie ideał pani domu. Posiada ona nieprzeciętną zdolność urządzenia mieszkania i utrzymywania go w porządku; zna się doskonale na kuchni; celuje w wyborze domowników i umie nimi zarządzać, nigdy jednak tych kwestyi w rozmowie z mężem nie porusza. Jest ona czarodziejką o niewidzialnej różdżce. Dwie rzeczy wywierają wpływ najfatalniejszy na usposobienie mężczyzny, wracającego po całodziennej pracy do domu: gdy żona sprzeczkę gospodarską rozsądzić mu każe, lub gdy obiad jest zepsuty i przelknąć go nie można. I ma on rację, gdy się gniewa, bo ministerjum spraw wewnętrznych jest pod zarządem jego żony. Tak samo owa masażystka, którą ci powyżej cytowałem, jeśli by znalazła, po dniu spędzonym na wyłamywaniu sobie palców dla przyprowadzenia do sprężystości mięśniów zużytych mieszcdek, po powrocie do siebie źle zadysponowany obiad i niedbałą kucharkę, z której strofowaniem mąż na nią czekał... miałaby pełne prawo swe niezadowolenie okazać. Z chwilą, gdy pięknie utrzymane mieszkanie i wyborowa kuchnia jako wspaśniały rozkwit tajemniczej pracy się przedstawiają, tak nazwana przez naszych przodków »gospodyni« przeistacza się w prawdziwą artystkę. Wszelkie przygotowania, cały warsztat

niewidzialnym pozostaje: my mamy przed oczami tylko rezultaty, które są piękne w całym znaczeniu tego wyrazu, bo ład i harmonia na nie się złożyły. Trudność otrzymania takich wyników podnosi jeszcze ich wartość; bo nie ludź się, Franiu — są to wszystko rzeczy niezmiernie trudne. Francya celuje w urządzeniu mieszkań i w znakomitej kuchni, a jednak, gdy zacznieś bywać w świecie, sama sprawdzisz, że w Paryżu kilka zaledwie jest takich domów, gdzie stół jest wyborowy, a porządkowi też nic zarzucić nie można.

Co się ciebie tyczy, nie doznaję niepokoju żadnego. Jakkolwiek ściśle nowoczesnych przekonani, trzymasz się tradycji twojej rodziny, która, prowadząc życie bardzo regularne, przyjemności wykwintego stołu wszelako się nie wyrzekała. Kto widział cię we wtorek, jak kosztowałaś ciasto, przyrządzałaś je i smażyłaś, przewidzieć może zupełnie słusznie, że na dobrą gospodynię się wyrobisz. Nie przypuszczam, żebyś potrafiła narzucić gościom i mężowi tę szkaradną kuchnię restauracyjną, z którą, niestety! w tylu uczciwych domach coraz częściej się spotykamy. Nie przypuszczam jednak również, byś, będąc nawet w ściśle domowym kółku, w brudnych mankiecikach domownikom się pokazywała. Większym, niż Zofia, obdarzona rozumem, potrafisz obiad przed spaleniem ocalić, niekoniecznie palniąc sobie przy tej czynności

ubranie. Z drugiej strony nie pozwolisz także, by stęchłą szpiżarni przeszły twoje śliczne włosy, i gdy główkę do ramienia męża przytułisz, nie domyśli się on bynajmniej, że tak praktycznym zajęciom oddawałaś się przed chwilą... Nakoniec, mam niezłomne przekonanie, że ten cudowny dar: umiejętność utrzymania powagi pani domu zalicza się także do twoich zalet. Jakimże to stanowczym, a jednocześnie łaskawym tonem wydawałaś rozkazy kucharce i pokojówce!

Czuły one, że nie da się nie posłuchać lub zasłonić się wybiegiem, lecz jednocześnie w obsłudze ciebie znajdowały przyjemność. Tak, niezaprzeczenie, otrzymałaś od natury w darze tę cenną i rzadką zdolność zdobywania sobie u swoich podwładnych posłuchu. Dopomaga ci w tem bez wątpienia głos i wzrok, podstawą wszakże tej umiejętności jest ład, panujący w umyśle. Wiedzieć czego się chce, nie żądać nic niemożliwego, znać dokładnie przeciąg czasu, którego dana wymaga robota — oto zasadnicze czynniki władzy, która w tych warunkach stwierdza po prostu ład twych myśli. Otóż wydało mi się wtedy, że takim wizerunkiem prawdziwej równowagi ty jesteś, i że porządek u ciebie i w umyśle, i w pokoju, i w szkolnej kasetce, i w ubraniu, i nawet w kajecie panuje.

Jakto — tak dużo spostrzeżeń z powodu kilku naleśników?

— Ależ tak, Franiu!... Przynajmniej ja w nich to wszystko dojrzałem i być może, że przyjemność widzenia tylu rzeczy w twoich nalesnikach wpłynęła na przyrządzenie moich tak ujemnie...

XVII.

Telegrafistki. — Telegram i bicykl. — Gotowa dla Frani kariery. — Sporty kobiece. — Charaktery sportsmenek. — Emilia. — Julia. — Ważny stosunek głowy do mięśni. — Prawdziwe pierwszeństwo kobiety. — Nasze prababki.

Doszło do mojej wiadomości, że w Anglii powierzają roznoszenie depesz dziewczętom, jeżdżącym na rowerach. Te młode panienki spełniają podobno swoje obowiązki szybciej i lepiej, niż mężczyźni. Oto nowe kobiece zajęcie, którego nie przewidywaliśmy zupełnie, i pomyślałem sobie, że gdybyś ty, Franiu, czemś lepszym we Francji nie była, stałabyś się na ziemi Brytańskiej wyborną roznosicielką telegramów. W odnalezieniu adresu twoja bystrość pierwszeństwoby ci zapewniła, a co się tyczy jazdy na rowerze, to twoja pewność siebie, wytrzymałość i zimna krew zdobyła ci już niejednokrotnie uwielbienie.

Wogóle uważam, droga Franiu, że wszelkim fizycznym rozrywkom oddajesz się z prawdziwym upodobaniem. Jest to zupełnie naturalne; nie tak to łatwo ustrzedz się przed modą, której ulega współczesne tobie pokolenie. Czy znajdzie

się we Francyi prowincya, choćby najgłębsza, gdzieby na kobietę z powodu jej bicykla niechętnie patrzano? A tennis czyż także się nie rozwielił? Co prawda, sporty kobiece u nas poza te granice jeszcze nie wkroczyły, i mają one tę ogromną zaletę, że niewiele kosztują. Każdy lub prawie każdy może im się oddać, tymczasem konna jazda i samochody wkraczają w dziedzinę zbytku. Ty, moja zgrabna siostrzeniczko, wszystkie sportybyś popierała, a ponieważ ostatecznie twoje małżeństwo z jakim przyjemnym i rozumnym milionerem nie należy do niemożliwości, może ujrzę cię jeszcze kiedy galopującą po alejach lasku Bulońskiego, albo zapomocą trąbki sygnalizującą uszom takich skromnych piechurów, jakim ja jestem, swoje zapamiętanie się w jeździe samochodem.

Przypuśćmy zatem tę ewentualność i, póki czas, pofilozofujemy trochę o sportach damskich.

Stwierdźmy przedewszystkiem fakt, że typ panny wątlej, eterycznej, o delikatnej budowie, typ, za czasów panowania romantyzmu tak przez poetów opiewany, nie jest stanowczo ideałem dzisiejszego męskiego pokolenia. Współczesna nauka wraz ze swemi brutalnemi określeniami jest tego powodem. O »wątlej i eterycznej« wiedza mówi: »anemiczna newropatka«. Zamiast »o delikatnej budowie« — »suchotnica«. Te nazwy tak pospolite przywodzą na pamięć straszliwe obrazy. Ta ostatnia szczególnie stawia ci przed oczy podręczne atlasy zboczeń patologicz-

nych, z obrazem wzdłuż przeciętej piersi ludzkiej, z której wychylają się płuca pełne mikrobów. Dzięki nauce największym urokiem młodej panny jest dzisiaj zdrowie. Otóż wszelkie fizyczne ćwiczenia są dowodem, a jednocześnie zabezpieczeniem tego skarbu. Gdy się patrzy na ciebie, Francju, kiedy się ślizgasz, podrucasz w tenisie piłkę, albo na bicyklu podwyższenie terenu pokonywasz, doznaje się uczucia zadowolenia na widok ludzkiej solidnej, harmonijnej, świetnie swemi organami władającej istoty, nie dając już nawet na urodę danego osobnika baczenia.

Nie zabraniajmy zatem sportów i zachęcajmy nawet do nich; znajmy jednak niebezpieczeństwa, jakie się w nich dla niektórych kobiecych mniej zrównoważonych umysłów zawierają. Primo, to nadawanie rzeczom podrzędnym i dodatkowym pierwszorzędnego znaczenia, co jest śmiesznością większą u kobiet, niż u mężczyzn. Jakież Teofrast dwudziestego stulecia pokusiłby się o skreślenie portretu kobiety, przez sport pochłoniętej? Możemy sobie mniej więcej ten szkic wyobrazić:

»Emilia pochodzi z dobrej i bogatej rodziny; uczyła się ona wszystkiego, czego uczą się kobiety jej stanowiska; ma rozumnego i ubóstwiającego ją męża i bardzo miłe dzieci. Jedna wszakże pochłania ją namiętność: sport, w którym chce dojść do takich rezultatów, jakich inna kobieta, a nawet większość mężczyzn osiągnąć nie jest w stanie. Cała jej energia jest w tym kierunku

naprężona; życie zaś składa się z dwóch części: jednej, gdzie walczy o pierwszeństwo w bicyklu albo tennisie — i drugiej, gdzie się do owych zwycięstw trenuje. Wszystkiego, co stanowi powab i wdzięk kobiety, musiała się wyrzec; wszelkie intelektualne sprawy w cudowny sposób z jej umysłu wykreślone zostały i w rozmowie z nią nie napomknij aby o książce, o jakiej wybitnej nowości w dziedzinie sztuki, nie potrąć o jaki przewrót polityczny albo ruch społeczny. Innych pism, jak te, które o sportach traktują, ona nie czytuje; ale zato, gdy wypadnie mówić o ulubionej jej namiętności, następuje taki wylew krasomówstwa, a każde zdanie jest tak obficie sportowymi określeniami naszpikowane, że przerażenie ogarnia interlokutora; nie daruje mu ona ani jednego wyrażenia owej specjalnej gwary, ani jednego skrócenia, któremi profesioniści konnej jazdy, roweru albo golfu posługiwać się zwykli. A co zdumiewa nadewszystko, to jej bardzo szczere przekonanie o ważności i szlachetności zajęcia, które ją pochłania; to też z pogardą spogląda ona na tych skromnych śmiertelników, którzy w wysiłonej pracy muskularnego układu nóg, albo rąk szczytu pragnień nie widzą...«

Ty, Franiu, jesteś takim obdarzona rozsądkiem, że Emilii naśladować nie będziesz. Ileż wszakże spotykamy kobiet, które, nie zbliżając się do tego śmiesznego typu, mają tę słabą stronę, że mówią za dużo i z upodobaniem o fizycznych ćwiczeniach, które uprawiają!... A przecież w co-

dziennem ich życiu ta troska powinna być równie niewidzialną, jak gospodarskie kłopoty, albo starania, koło swojej osoby podjęte. Kobieta, która występuje z niewczesnymi przechwałkami o swoim talencie łyżwiarskim, albo o odwadze, z którą samochód prowadziła, budzi we mnie taki sam niesmak, jak gdyby rozmawiała ze mną o przemierzaniu swoich sukien, albo na gospodarskie zatrudnienia się uskarżała. Jak dobry gust w ubraniu, ład i harmonia w prowadzeniu domu, tak samo i zręczność i pewne wyrobienie sportowe kobiety powinny same wpadać w oczy, bez uprzedniego zapowiedzenia i komentarzy o tem, w jaki sposób i kiedy się je zdobyło. Widzimy je i podziwiamy — i na tem koniec.

Jeszcze jedną bardzo rozpowszechnioną śmiesznością pomiędzy paniami, które się sportom oddają, jest, że robią one to nie z zamiłowania, lecz z próżności, przez tak zwany snobizm. I oto nowy temat do rozwinięcia dla Teofrasta dwudziestego wieku!

»Julia nie miała z natury do sportów pościagu i gdyby słuchała głosu swojego instynktu, poprzestałaby prawdopodobnie na spokojnem domowem życiu, a czytanie i umiarkowane spaceru uważałaby za rozrywkę. Posiadała ona dużą artystyczną i we wczesnej młodości lubowała się w pięknie, w jakiegokolwiek się ono formie przejawiało. Lecz cóż się dzieje? Oto ogarnął ją szal próżności na punkcie obcowania z tak zwanym przez modne pisma »wielkim światem«.

Zdawała ona sobie doskonale sprawę z tego, że, nie będąc świetnego pochodzenia, ani też ogromnej nie posiadając fortuny, inaczej, jak za pośrednictwem jakiego sportu, do rajy wymarzonego nie wejdzie. Wyrozumowała bowiem, zresztą zupełnie słusznie, że jeśli zajmie pierwszorzędne stanowisko w jakim towarzystwie sportowem, do którego i światowcy należą, tem samem z ich sferą bliżej przestawać będzie. Nie omyliły ją rachuby: dzięki wytrwałej pracy i trenowaniu się, posuniętemu zapomocą umartwień do ostatecznych granic, doszła ona do wysokiej doskonałości w grze, zwanej golfem, a ponieważ jest to sport może względnie najmniej we Francji rozpowszechniony i wyłącznie pomiędzy najbogatszymi ludźmi uprawiany, udało się Julii zostać członkiem Golf-Klubu, razem z najbardziej arystokratycznymi muskułami Paryża...

Pewnego dnia, który Julia najpiękniejszym dniem swego życia nazywa, gdy brała udział w partyi, do której i książę krwi panującej należał, jakiś fałszywy ruch jego książęcej mości stał się przyczyną smutnego wypadku, bo nieomal nogi w kostce przez niego nie złamała. Jakże się ona szczęśliwą wtedy czuła, bo zdawało jej się, że zaciera to najzupełniej jej proste pochodzenie i wznosi ją pomiędzy najjaśniejszych. Żeby ją z tych chimerycznych wysokości na ziemię sprowadzić, trzeba było, by trywialna rzeczywistość w postaci zwyczajnej, do domu odwożącej ją dorózki przed oczyma jej stanęła

i żeby otrzeźwił ją trochę widok męża, który, na utrzymanie domu pracując, przez cały dzień sprzedają materyałów zajęty, nie miał ani godziny wypoczynku...«

To dziwactwo bardzo złem mi się wydaje, albowiem zdradza umysł wyjątkowo spaczony i doprawdy fakt to nader smutny, jeśli uczciwa kobieta szuka w przyborach sportowych tego, co nasi przodkowie kupionym dla zdobycia szlachectwa urzędem nazywali... Jest to marna, fałszywą ambicyą podszyta popolitość. Zapewne fakt to niezbity, że arystokratyczne pochodzenie i świetny tryb życia — to atuty nie do pogardzenia w towarzystwie współczesnem. Jeśli się jednak tych przywilejów nie posiada, śmiesznością jest niezaprzeczoną przybierać kłamliwe pozory i piąć się w nieswoją sferę, w przypuszczeniu, że odbłask cudzej świetności naszą mierność zasłoni. W rzeczywistości, osiągnięty rezultat jest wprost przeciwny. Julia karmi się iluzją i naraża się od czasu do czasu na srogie upokorzenia. Rany, jej miłości własnej zadane, goją się tylko wtedy, gdy znajduje się ona pośród równych sobie, gdzie może powiedzieć: »Księżna opowiadała mi wczoraj...« albo: »Książę Adam pożegnał się wczoraj ze mną... On jest zachwycający, ale jakże mi żal jego młodej żony...«

Droga Franiu, mam nadzieję, że lubić będziesz ćwiczenia fizyczne i ponieważ przyczyniają się one do zdrowia; ze swojego życia ich

nie usuniesz; twój zmysł praktyczny jednak i napomnienia twojego wuja ustrzegą cię od dania im pierwszeństwa. Powiedzą ci zapewne, że po tamtej stronie La Manche sporty odgrywają nieślychanie ważną rolę i że trzeba Anglików naśladować. Wierz mi przedewszystkiem, że kobiece sporty nawet w Anglii nadmiernie rozpowszechnione nie są, co się zaś męskich tyczy, to faktem jest, że pochłaniają one cały ogół. Wynikiem takiego postępowania jest naród, męskularnie nadzwyczaj rozwinięty, nie mogący się jednak wysoką umysłową poszczycić kulturą. Anglik, o ile będzie szczerzy, nie zaprzeczy, że, wyjąwszy arystokrację, Niemcowi, Francuzowi, Włochowi tej samej, co on, sfery w wykształceniu nie dorówna. Wojna transwalska stwierdziła ten pewnik w sposób nader dla naszych sąsiadów nieprzyjemny. Ich przykład dowodzi, że wychowanie, w którym wyrobienie mięśni na pierwszym miejscu się stawia, jest w pewnych okolicznościach bardzo zdradliwe. Siła fizyczna jest i musi zawsze pozostać na usługach rozumu. Jeśli głowa nakazuje mięśniowi ćwiczyć się, to robi to w celu uczynienia go zdolnym do spełniania jej rozkazów, albo, żeby dać sobie wypoczynek.

Jeśli mięsień zręcznością i siłą pochwalić się może, niechże głowa zbytnio się tem nie chlubi. Powozić w cztery konie, przeskakiwać konno Bóg wie jak wysokie płoty, robić w automobilu siedemdziesiąt wiorst na godzinę, albo rowerem

trzydzieści — wszystko to są zapewne rzeczy bardzo przyjemne, ale nie mamy się co łudzić, że bardzo wielu, różnego rodzaju ludzi to samo potrafi. Sądzę, że ta świadomość doda trochę skromności tym amatorom sportu, którzy z umiarkowaniem ćwiczenia fizyczne uprawiają, ot w taki np. sposób, jak pensyonarka rysunki, albo muzykę. Drugim dowodem tego, że szczyścić się sportami nie mamy powodu, jest, że pierwsze lepsze zdrowe dziecko, jeśli od dzieciństwa odpowiednim ćwiczeniom jest poddawane, wyrośnie napewno na pierwszorzędnego sportsmena, co widzimy, na przykład, między gimnastykami, gdzie nieraz cała rodzina w wędrownych cyrkach występuje. Nie przechwalajmy się też naszym wyrobieniem sportowem, bo łatwe do osiągnięcia są to rzeczy.

Pozostawiwszy zatem sportom właściwe miejsce, postarasz się, droga Franiu, nigdy, cokolwiek robić będziesz, swojej kobiecości się nie wyzbywać. I w tem także, jak zresztą we wszystkim (daruj, że ci raz jeszcze powtórzę), kobieta może temu samemu, co mężczyzna, oddawać się zajęciu, ale niech to inaczej, niż on, uczyni.

Cyklista może wyglądać, jak małpa, przyczepiona przednimi rękami do kierownika, a tylnymi do pedałów, lecz jeśli upragnioną szybkość osiągnie, będą go tytułować mistrzem jazdy, a o jego niezgrabności nikt nawet nie pomyśli. Jeśli jednak to samo uda się osiągnąć kobiecie,

to z chwilą gdy będzie ona do owej mały podobną, i zwycięstwo jej brzydoty nie zatrze.

Są to tryumfy, które jej na złe wychodzą, albowiem harmonijny układ ruchów jest dla pięknej płci warunkiem niezbędnym. Jest to wskazówka, jakie sporty panie wybierać powinny, a raz wybrawszy, tylko o dzielność wdziękiem popartą starać im się należy.

Oto, o co dbały przedewszystkiem twoje prababki, bo dawne kobiety lubiły i uprawiały ćwiczenia na wolnem powietrzu więcej jeszcze, niż to za dzisiejszych czasów ma miejsce. Rób tak, jak one, lecz lepiej, niż one. Tajemnicą dobrego wychowania jest udoskonalona tradycja.

XVIII.

Sala przyjęć w zakładzie Berquin. — Quo Vadis? — Czy można czytać tę książkę? — Trudność orzeczenia, jakie książki są moralne. — Młode panny i powieści. — System tradycyjny. — Pani de Maintenon. — Berquin. — System rewolucyjny. — System czytania.

Pewnego wieczora, gdy na przedstawieniu Quo Vadis przesuwaliśmy się przed moimi oczami tchnące namiętnością pary z rzymskiej orgii, myśl moja w innym pobiegła kierunku. Przypomniałem sobie, że w przeszłą środę, gdyśmy wraz z panią Le Quellien, Lusią i z tobą dosyć ożywione tworzyli kółko w zacisznym kąciku sali przyjęć zakładu Berquin, rozmowa wpadła na temat słynnej powieści Sienkiewicza. Wszechświatowa jej sława poprzez surowe mury pensjonatu przeniknęła do uszu uczennic.

Niektórym podczas dni wyjścia do domu dostała się ta książka do rąk i nie omieszkały one opowiedzieć jej treść koleżankom. I ty i Lusja znacie Ursusa, Lygię, Petroniusza, jakkolwiek czytać tej książki nie miałyście sposobności.

— Pan ma ją u siebie? nieprawdaż? — zapytała mnie Lusja ze spojrzeniem, pełnem prośby, którą tchnęły jej złotawe źrenice.

Udałem, że nie rozumiem jej życzenia. Od-rzekłem:

— Tak... zdaje mi się.

— Och! Pan mi jej pożyczy?...

Trudno odmówić Lusi, gdy patrzy tak błagalnie. Na szczęście przysłała mi z pomocą pani Le Quellien, pytając:

— Ale przedewszystkiem, czy Quo Vadis jest książką odpowiednią dla młodych dziewcząt?

Lunia wybuchnęła śmiechem, ty, Franiu, wtórowałaś jej.

— Ta mateczka! Ona się wszystkiego boi!... Quo Vadis? Ależ to rzecz najmoralniejsza pod słońcem, to prawie religijne dzieło!... Czyż nie prawda, wujaszku?

Zastanowiłem się chwilę. Wasze pełne zdziwienia pytania zniewoliły mnie w końcu do dania odpowiedzi:

— Niech pani Le Quellien przeczyta i sama zdecyduje. Ja nie wiem.

Żeby być ścisłym, muszę dodać, że obie wesołe pensyonarki, które zasięgały mojej opinii, przyjęły to zdanie pełnymi oburzenia i szyderstwa wykrzykami.

A więc, droga Franiu! czytałem teraz »Quo Vadis« na nowo i widziałem przerobioną z tej powieści sztukę, a jednak, gdyby Lusja jeszcze raz zasięgała mojej rady, nie umiałbym dać jej

ściślejszej odpowiedzi. Jestem prawie pewien, że jest to lektura nieodpowiednia dla chłopców, nie śmiałybym także utrzymywać, że dla młodych panienek zalecić ją można. A to, co ci mówię o »Quo Vadis«, myślę z zastrzeżeniem o wielu tak nazwanych moralnych romansach, o sztukach dramatycznych, na które z »rodziną« wybrać się można. Jakże jestem daleki od wypowiedzienia takich przekonań, jak: »Oto powieść, którą czytać możesz, oto komedia, na którą wolno ci iść do teatru...« Gdy się próbowało samemu wypowiedzieć swoje myśli przed publicznością, gdy się już ma za sobą pewną ilość czytelników — a między nimi i takich (o! jakaż wdzięczność im się należy!), którzy raczyli powiadomić cię o wywieranem przez twoje dzieła wrażeniu, wtedy dopiero, ze sprzeczności wypowiedzianych opinii, wnioskujeś o różnorodności istot ludzkich. Bo widzisz, kochanie, każda dusza — to ziemia, którą należałoby poddać analizie, zanim jakiegokolwiek ziarno mądrości w nią wpadnie. Ta tutaj rola obfituje w fosfor, brak jej zato wapna, tuż obok spotykamy się z zupełnem przeciwieństwem; to też, żeby urodzaj-nemi je uczynić, jedną trzeba kwasem zaprawić, a do drugiej domieszać soli. I zdaje się, że zupełnie słuszenie można następujący postawić aksjomat:

I. Niema książki, która byłaby moralną dla wszystkich.

II. Czyli, że bezwzględnie niemoralne nie istnieją.

Jeżeli chodzi o moralną lekturę dla osób dorosłych, to kwestya nie przedstawia się tak poważnie, raz dlatego, że prawda życiowa bywa często od najgorszej książki brutalniejszą, a powtóre, że przychodzi wiek, gdzie układ kostny zarówno, jak i moralna istota człowieka ostatecznie się już utrwala. Nierównie trudniejsza to sprawa, gdy z młodzieżą, a szczególnie z dziewczętami mamy do czynienia. Młoda panna, którą wszyscy uszanować pragną, może być przez nieodpowiednią książkę w gwałtowny lub też podstępny sposób nader boleśnie urażoną. Najgorszem jest to, że światły umysł nigdy nie poważy się twierdzić napewno, że ta lub inna książka przez wszystkich czytana być może.

Co robić? Jak odpowiedzieć na to pełne ufności pytanie młodego dziewczęcia, które tak, jak ty, Franiu, albo jak Lusja, pyta: »Czy ja mogę czytać tę książkę?«

Jest kilka rodzajów zapatrywań na tę kwestyę; wymienimy znamiennejsze.

Przedewszystkiem dawna, przez tradycyę uświęcona zasada, która za czasów mojego dzieciństwa szczególnie cieszyła się uznaniem i do dziś dnia ma swoich wyznawców. Polega ona na wyborze dzieł zupełnie neutralnych, których kilka sławnych przykładów przytoczyć tu możemy: opowiadania pani de Genlis, przypowieści pani de Maintenon i powieści owego Berquin, patrona waszej pensyi. Przypuszczam, że ten rodzaj literatury jest specyalnością Francyi, bo,

o ile mi wiadomo, inne narodowości głośnych dzieł z tego zakresu nie posiadają. Urzeczywistnia on naprawdę ideał przyzwoitości i zapewnia bezpieczeństwo do możliwych granic. Nie mogę tego samego powiedzieć o angielskich powieściach, których sława moralności obiegła świat cywilizowany. Ani »Wikary z Wakefieldu«, ani z nowszych »Dodo«, albo »Manxman« — nie są zastosowane do duszy typowego dziewczęcia: te książki obudziłyby w niej pewne wątpliwości, poruszyłyby ją. Prawda, że niema potemu racyi, jeśli się jednak stosuje pewien system edukacyjny, musi on być niezawodnym.

Te zasady mają coraz mniej zwolenników. Czy jest to winą autorów? Być może. Przed kilku laty zaczęło wychodzić pismo dla młodych dziewcząt, które też licznie pośpieszyły się w nie zaopatrzyć.

Po paru wszakże miesiącach wybuchło pomiędzy niemi powszechne oburzenie z powodu bezbarwności drukowanych w niem utworów... Prawie jednocześnie powstała scena, czysta, jak dusza młodej dziewicy; jeśli do tej pory istnieje, nic o niej nie słyhać.

Trudność znalezienia odpowiedniej dla młodej panny intelektualnej strawy, która, wolna od wszelkiego niebezpieczeństwa, mimo to wyborowaby była, nie stanowi głównego braku tego ongi klasycznego systemu. Jest nim przedewszystkiem owa potrzeba ustawicznego czuwania nad tem, żeby się do rąk młodej dziewczyny jakaś

nieprzeznaczona dla niej książka nie dostała, zamiast, żeby odwołać się po prostu do jej prawości i dobrej woli.

Bo zdarzyć się może, że panienka znajdzie pewnego dnia romans zapomniany na stole i, skuszona urokiem zakazanego owocu, połknie go pokryjomu. I oto wszystkie usiłowania od razu zniweczone, droga do obłudy otwarta.

Drugim systemem dosyć rozpowszechnionym pomiędzy pionierami nowoczesnego kobiecego wychowania jest danie młodej paninie zupełnej swobody w wyborze książek do czytania, zaledwie przestała być dzieckiem. Ten sposób postępowania tchnie bez wątpienia ogromnym przewrotem dotychczasowych pojęć i jest przeto niezbyt sympatyczny; przyznać wszakże trzeba, że dowodzenia, których na poparcie swoich teorii jego zwolennicy używają, są bardzo uzasadnione.

— Jakto? — mówią oni — prawo orzeka, że młoda dziewczyna, mając lat szesnaście, może iść zamąż, czyli w siedemnastym roku życia może zostać matką. W życiowej zatem praktyce społeczna czynność prawie o dziesięć lat wcześniej u kobiet, niż u mężczyzn, się rozpoczyna. Pocóż więc trzymać ją tak długo zdala od rzeczywistości? Gdzież tu logika? Czyż, przeciwnie, nie powinna ona spojrzeć prawdzie w oczy, a tem samem być uzbrojoną do tej życiowej walki, która się dla niej wraz z odpowiedzialnością małżeńską i społeczną rozpoczyna już

w tym wieku, gdy młodzieniec na uniwersytet zaledwie wstępuje?

Ta teoria ma swoją rację bytu, ale system swobodnej lektury, możliwość czytania wszystkiego bez ograniczeń i wyboru stoi w tak niezmiernej sprzeczności z typem młodego dziewczęcia, do którego przywykliśmy mocą długoletniej tradycji, że uznać i zastosować taką zmianę nie przyjdzie nam z łatwością. Że poczwarka w motyla się przeistacza i próbuje swych skrzydeł do lotu, bardzo to naturalne; pamiętajmy jednak o tem, że najlżejsze dotknięcie nieopatrzonej dłoni kazi ich świeżość i ściera przedwcześnie ów delikatny pył, który dodaje barwom blasku i ich niepokalaności jest dowodem. Dotykamy tutaj jednej z najniebezpieczniejszych omyłek podrażnionego feminizmu. Upodobnijmy wychowanie obu płci, na to zgoda, trzeba jednak wpierw wpoić szlachetniejsze pierwiastki w dusze chłopców. Byłoby przecież potwornością chcieć wychowywać dziewczęta na wzór dzisiejszej męskiej młodzieży.

— No, a ty, wujaszku, czy masz jaki system, któryby zaradził tym wszystkim brakom?

— A więc tak, droga Franiu, ironizujesz daremnie, albowiem mam system, który złym mi się nie wydaje.

Mogę się wahać z narzuceniem ci, lub doradzeniem pewnych książek, ponieważ, pomimo naszych wspólnych pogawędek, twoja dusza jest dla mnie jeszcze tajemniczą księgą. Gdyby mi

jednak przypadł w udziale obowiązek kierowania twoją lekturą, wyrobiłbym w tobie pod tym względem sąd samodzielny. Zaledwie życiowe zagadki twoją uwagąby zwróciły, postarałbym się w częstych z tobą rozmowach nauczyć cię, że sumienie młodego dziewczęcia, jeśli jest czyste i w szlachetnym rozbudzone kierunku, jest sobie zawsze najlepszym sędzią. Zapewne, że usunąłbym z przed twoich oczu takie książki, których tytuł sam jest dla niewinnej duszy obelgą, inne jednak poddałbym już twojej opinii, która dla mnie samego byłaby niejako wskazówką, jak dalej postępować należy. Powiedziałbym ci, że ile razy napotkasz stronicę, któraby w twej duszy niepokój albo niesmak budziła, zamknij natychmiast książkę i tą wątpliwością ze mną się podziel.

Być może, że to drobiazg, który da się jednym słowem objaśnić, a wtedy czytać możesz dalej. Jeśli w książce, którą od początku do końca przebiegłaś, nic cię nie urazi, lecz mimo to czuć się będziesz przygnębioną, a twoja dzielność moralna i szlachetne porywy zamiast świeżej doznać podniety, przytłumionem echem odzywać się w tobie będą, wiedz o tem, że książka była niedobra i że więcej dzieł tegoż samego autora czytać nie należy. W ten sposób przywykniesz zwolna do wydawania trzeźwego sądu o tem, co czytać możesz i co będzie odpowiednią dla ciebie strawą umysłową; a byłoby to ze wszechmiar pożądane, bo jak żołądek nie może się przystosować do narzuconego mu wbrew po-

trzebom pożywienia, tak samo i umysł jeden o drugim wyrokować nie powinien.

— A zatem, wujaszku, każda książka, która mnie razić nie będzie, jest odpowiednią dla mnie lekturą?

Bądź spokojna, Franiu, twoje sumienie zatrwóży się wcześniej, niż przypuszczasz, a prztem trzeba wprowadzić jedno niezbędne ulepszenie do tego systemu samokrytycznego czytania, mianowicie, żeby jak najmniej powieści brać do ręki. Ani Frania, ani Lusia nie potrzebują znać »wszystkiego, co wychodzi«. Pominąwszy inne złe skutki, zbytne pochłanianie utworów belletrystycznych stoi na przeszkodzie przyswajaniu sobie poważnych płodów ludzkiego umysłu.

Prawda, że dziedzina powieści to cała skala form literackich, ale pomimo wielu zalet tego rodzaju dzieł, nie możemy im przyznać prawa kształcenia serca i umysłu młodych panien. No, a nakoniec, w okresie szkolnym należy poznać raczej sposób pisania i styl danego autora, niż jego dzieła, to też zaprowadziłbym kursa literatury współczesnej i z całym spokojem wkładałbym w ręce uczennic antologię wybitnych pisarzy. Powieści, choćby najmoralniejsze, wyłączyłbym z biblioteki zupełnie, bo zaliczam je do gatunku rozrywek, a podczas pracy szkolnej najstosowniejszymi rozrywkami są: ślepa babka, tennis, rower i tym podobne.

Nie przypuszczaj jednak, że jestem przeciwnikiem czytania na pensjach: przeciwnie, bar-

dzobym pragnął, by to zamięrowanie tam się rozwinęło i skierowało do tych ważnych dzieł, których się poza szkołą już nie czyta. Braki w zakresie programów, jakkolwiek przeciążonych, są olbrzymie. Pomyśl tylko, że w twoim wieku taka pani Roland przeczytała już: Vertot'a, Kartezyusza, Saint-Jérôme'a, Diodora z Sycylii, Young'a, Pascal'a, Montesquieu, Locke'go, Wergiliusza, Clarke'a, Homera, Cyserona, Diderot'a, Pope'a, d'Alembert'a, Platona, Machiawela, Ksenofonta, Réaumur'a etc. etc.... przeczytała i prowadząc notatki, wyciągi z tego robiła (jak o tem jej życiorys przez Gréard'a napisany wspomina). A co przeczytałaś ty, Franiu, i twoje towarzyszeki? Czy w całym zakładzie Berquin znajdzie się choć jedna, która zna książkę, będącą dla całego pokolenia nieomal wyrocznią: »Życiorysy znakomych ludzi« Plutarcha?

Przeczytaj to dzieło, Franiu, a gdy dobrze je przetrawisz, jeśli jeszcze będziesz miała chęć poznania »Quo Vadis« — pogadamy o tem.

XIX.

Niespodzianka. — Tajemnica Frani. — Powab i udęczenia przywiązane do roli powiernika. — Prawa serca. — Jaką rolę odegrała panna Lusja. — Małżeństwo z miłości i małżeństwo z rozsądku. — Niema bogatych panien. — Wiek miłości i wiek wygód.

Przygotowywałem się właśnie, drogie moje dziecko, do spokojnego roztrząsania w dalszym ciągu kwestyi wychowania, gdy nadszedł twój list i zniweczył moje zamiary.

Nie, stanowczo, jasne spojrzenie młodych dziewcząt nie zdradza nic z tego, co się dzieje w głębi ich duchowej istoty. Jakto, Franiu! snułaś tak ważne plany, a ja byłem ślepy i przypuszczałem, że myśl twoja wyłącznie nauką, czytaniem, sportami i strojem jest zajęta? Doprawdy, wstydzę się tego, nie robię ci wszakże wymówek, że zachowałaś swoją tajemnicę dla siebie. Nasze serce — jak mówi św. Paweł — nie powinno być naczyniem, z którego płyn uchodzi... I oto, podąsawszy się trochę na twoją poprzednią skrytość, nie wiem obecnie, jak mam

odnośnie do twego zaufania postąpić. Zdaje mi się, że wzbudziło ono we mnie przede wszystkim brzydkie uczucie egoizmu. Usłyszeć od młodego dziewczęcia następujące słowa: »Powierzę ci to, czego nie śmiem powiedzieć matce, z obawy, żeby jej nie zaniepokoić przedwcześnie...« a następnie otrzymać wyznanie pierwszego gorętszego uczucia, którem dla dwudziestotrzyletniego młodzieńca uderzyło jej serduszek, to istotnie pochlebne — wycofuje jednak powiernika z szeregu walczących i przenosi go do rezerwy. Poznasz kiedyś, Franiu, te gorzkie niespodzianki, którei bezwiedna szczerość młodości uraża boleśnie ludzi o duszy życiem niezwarzonej. Zrozumiesz całą głębię smutku, zawartą w tych słowach pełnych rezygnacji: »A więc i to już nie dla mnie...« Trudno! Poddajmy się nieubłaganemu prawu naszych lat, które nakazuje tobie szukać szczęścia w małżeństwie z młodym człowiekiem, a mnie — udzielić ci rad ojcowskich, skoro ich ode mnie żądasz.

I cóż, Franiu, pokazuje się, żem cię odgadł po części — a potrochu obmówił — na owym balu, podczas którego tańczyłaś kotyliona z bratem twojej przyjaciółki, Lusi Despeyroux. Robiłem ci wymówki, że narażałaś swe serce na romantyczną przygodę, a nie wiedziałem, że od dawna nie należało ono już do ciebie. Spisek datuje prawie od roku (oj, ty mała obłudnico!) a uknułście go we troje, Lusią, jej brat i ty, i kiedy w końcu wakacyi prosiłaś mnie o po-

znajomienie cię z życiowemi sprawami — twoja przyszłość zaczynała już wyraźniejsze przybierać zarysy... A ja rozповідаłem ci tymczasem o książkach, sportach, toaletach! Jakiem-że roz-targnionem okiem musiałaś moje listy odczytywać; gdybym był wiedział, poruszałbym inne tematy.

Przytaczasz tak zręczne powody swojego milczenia:

»Rozważ tylko, wujaszku, jak trudno przychodzi mówić o takich rzeczach, i jak trzeba być pewną swego uczucia, żeby się z niem zwierzyć choćby nawet tak drogiemu przyjacielowi, jakim ty jesteś!... Cóżbyś o mnie pomyślał, gdybym, powiedziawszy ci przed sześcioma miesiącami: »kocham brata Lusi« — zmuszona była teraz temu zaprzeczyć, mówiąc: »Nie, stanowczo, nie kocham go«. A doprawdy, wujaszku, że i najlepsze między nami są na takie omyłki narażone. I tak na przykład Lusią, która jest przecież idealna, kochała się już trzy razy i to w osobach, z którei nigdy dwóch słów nie zamieniła; mnie jednej przyznała się do tego i dobrze zrobiła, bo w przeciągu jakiegoś czasu, którego trwanie pomiędzy dwoma tygodniami, lub dwoma miesiącami się wahało, przekonywała się o nieprawdziwości swego uczucia...

Co się mnie tyczy, nie kochałam się nigdy. Kiedy zobaczyłam pierwszy raz Maksa Despeyroux, podobał mi się on tak bardzo, że mnie to od niego na razie aż trochę odstręczyło — czy

rozumiesz mnie, wujaszku? Doznawałam względem niego uczucia dziwnej nieśmiałości i musiałam się przezwyciężać, żeby ten lęk opanować. Ponieważ wszystkie moje koleżanki zachwycaly się nim, a niektóre dawały mu to nawet do zrozumienia, ja, wiedzona duchem przekory, okazywałam mu raczej pewną niechęć... A potem ta moja nieśmiałość stopniowo mnie opuszczała, chęć samoobrony stawała się coraz słabszą... Trzeba ci jednak wiedzieć, wujaszku, że jest w tem dużo winy Lusi. Ona jest taka imaginacyjna, taka wrażliwa i taką zapalną ma głowę! Nic jej tak nie zachwycalo, jak myśl, że jej brat i ja pokochamy się wzajemnie, że się pobierzemy; ona będzie wszystko o nas wiedzieć i brać żywy udział w tej historii... Nie przestawała też opowiadać mi wciąż o Maksie, a z nim znowu o mnie rozmowy prowadziła... Co prawda, z początku miałam niejaką obawę... Ale Maks zachowywał się tak przyzwoicie i okazywał mi taki szacunek!

Zapewniam cię, że o jego dla mnie uczuciach dowiadywałam się tylko z ust tej drogiej roztrzepanej Lusi... I jakkolwiek nie mówiłam jej nic z tego, co się w mojej duszy działo, jestem pewna, że ona mu różne urojone zwierzenia powtarzała.... I cóż chcesz, wujaszku? Pomaleńku, widując się wprawdzie bardzo rzadko, a rozmawiając jeszcze rzadziej i nigdy o tem, co nas przedewszystkiem zajmowało, mocą tego ustawicznego słuchania o sobie — pokochaliśmy

się... Na owym balu, o którym wspominasz, żadne z nas nie wymówiło stanowczego słowa, tylko Maks opowiadał mi o swoich upodobaniach, o swoich na przyszłość zamiarach, a ja także o moich napomknęłam, a że uderzyła nas dziwna ich zgodność, to przecież winy w tem nie było. Ale Maks był zmieszany jeszcze więcej ode mnie i żeby nie Lusja, która potrafiła prawdę z nas wyciągnąć, ten sławny kotylion pozostałby pewnie bez następstw. Chciałam już wtedy napisać do ciebie, bo wyobraź sobie, wujaszku, ogarniał mnie jakiś niewytłómaczony lęk; zdawało się mi, że jesteśmy dziećmi, szukającemi drogi po omacku, i że twoja zimna krew i doświadczenie ze skuteczną przybędą mi radą... A jednak i wtedy jeszcze nie mogłam się na to zdecydować... W tych dniach dopiero, kiedy Lusja wspomniała mi o rozsyłaniu z końcem roku szkolnego uczniów Saint-Cyr, którzy tę kwestję rozważają już trzy miesiące naprzód; gdy wyobraziłam sobie, że w tak krótkim przeciągu czasu Maks na koniec Francyi i nawet na daleką obczyznę może być wysłany... serce drgnęło we mnie wielkim niepokojem, a jednocześnie nadzieją... I pierwszy raz odezwałam się do Lusi: »Och, moja droga, jakie to straszne... Teraz to już jestem pewna, że go kocham...« No, i widzisz, wujaszku, że nie zwłóczyłam z wypowiedzeniem przed tobą tego samego... Wszak stało się to wczoraj zaledwie...«

Nie przypuszczaj, Franiu, że mam ci za złe

ten romantyczny pierwiastek, którym zabarwiłaś swoje matrymonialne zamiary. Zapewne, że nie w ten sposób łączą się małżeństwa naszej sfery i masz słuszność, że prosisz mnie, bym panią Le Quellien do tej niespodzianki przygotował. Wiem lepiej, niż ty sama, jakie były projekty tej idealnej, choć trochę zacofanej, matki... Ileż razy mówiła ona do mnie: »Ty, mój przyjacielu, który tyle osób widzisz, powinieneś znaleźć męża dla Frani. Niestety! niema ona dużego posagu, ale jest dobra i wykształcona; zdaje mi się, że człowiek z pozycją, mający tak około lat czterdziestu, czułby się uszczęśliwiony...« Pozwalałem jej mówić, tej kochanej mateczce. I zapewne! człowieka, dobiegającego czterdziestki, który byłby uszczęśliwiony... odnalazłbym prawdopodobnie — ale to nie było małżeństwo, o którym marzyła Frania — a ja także nie miałbym dosyć odwagi, by jej takowe doradzać... Przedewszystkiem, według mego zdania nie należy łączyć ludzi dwóch następujących po sobie pokoleń. Wiem, że początki jesieni dadzą się z końcem wiosny porównać; ale wiosna, choćby najwięcej spóźniona, jest zapowiedzią lata, gdy najwspanialsza jesień ku zimie dąży. Nie łączmy zatem wiosny z jesienią, bo harmonia między nimi trwałaby być nie może... Z drugiej strony nie dręczyłem się tak bardzo, jak pani Le Quellien, myślą o tem, że masz mały posag i pragnieniem, by bogatego męża dla ciebie znaleźć...

Ale bo też w kwestyi posagu nie mam tych

samych przekonań, które wygłaszane i omawiane w wielu rodzinach słyszę: »Nieposażne panny nie wychodzą teraz za mąż«. Śmiałbym przypuszczać, że tak nie jest. Przeciwnie, różnica pomiędzy wielkością posagów (pominąwszy olbrzymie, a więc nader rzadkie sumy) zaciera się coraz więcej i mniejszą ma wagę. Przeżywamy epokę, w której podwójne zjawisko spostrzegać się daje: coraz droższą jest praca, a coraz tańszym pieniądź.

W praktyce niema dużych posagów, ani bogatych panien, a więc na tem opierając się założeniu i takie, które są skąpo uposażone, nie istnieją... Bardzo rozpowszechnionem lecz błędnem jest pragnienie, by wbrew prawu natury wydać pannę za mąż bez względu na wiek starającego się, jeśli tylko rozporządza on majątkiem i pozycją. Czyż jest w tem logika? Przedewszystkiem ci doletni amatorowie małżeństw z ubogimi pannami nie są znowu tak liczni i panna starzeje się, zanim jej taką partyę wyszukają... Następnie, nikt się nad tem nie zastanawia, że wydać osiemnastoletnią panienkę za dwudziestoosmioletniego porucznika jest tem samem, co połączyć trzydziestoletnią dziewczę z pułkownikiem lat czterdziestu, z tą różnicą, że tym ostatnim ujęte zostały te wspólnie przeżyte lata ograniczeń, które jakże łatwemi są do zniesienia, gdy je miłość wzajemna opromienia!... Pogłoski o niewychodzeniu za mąż panien niezamężnych gruntują się na tem właśnie, że nie

starają się dla nich o małżeństwa odpowiednie, to jest, by młode poślubiły ludzi młodych, których bogactwem — nadzieja i wiara w przyszłość.

— A zatem, wujaszku, pragnąc zaślubić Maksa po jego wyjściu z Saint-Cyr, ja dobrze postępuję?

— Cierpliwości, Franiu, nie powiedziałem wszystkiego!... I zanim pójdę z poselstwem do pani Le Quellien, nie mam zamiaru oszczędzić ci przestróg.

Tak, piękną jest miłość takiej, jak ty, dziewczeczki, i jeśli ta miłość trwałą się okaże, może ona służyć za podstawę do dobrego małżeństwa...

— Ależ nasza miłość jest trwałą, wujaszku. Przecież nie wątpisz o tem!

Omówimy trochę później tę delikatną materię, dzisiaj ustępuję ci na tym punkcie i przypuszczam, że związek waszych serc trwać będzie zawsze; trzeba, żebyś jednak zrozumiała, że to tak upragnione małżeństwo narazi was oboje na pewne przywacze i wyrzeczenie się takich atutów życiowych, które przez większość ludzi uważane są za niezbędne. Jeśli ci kto powie, że przy twoim posagu, nieznaczej fortuncie i małej pensyi Maksa nie będziecie mogli żyć i wychowywać dzieci, to temu nie wierz; to nieprawda.

Trzeba tylko zaniechać wszelkiej próżności na punkcie towarzyskiej pozycji, przyjąć i t. p.

przyjemności i czerpać uczucie zadowolenia we wzajemnem przywiązaniu i miłości dla dzieci... I jeżeli się takie postanowienie uczyni z głębi serca, to wprowadzenie go w czyn przychodzi z łatwością. Bo w młodości komfort niezbędnym nie jest, a miłość, która małżonkom pomiędzy dwudziestym a trzydziestym rokiem życia nie wypełnia, na miano prawdziwej miłości nie zasługuje.

A więc, droga Franiu, idąc zamąż za Maksa, będziesz musiała przez pierwsze dziesięć lat prowadzić tryb życia nader skromny; ale zapewniam cię, że nie zginiesz, jeśli z góry odśuniesz zadowolenie miłości własnej do późniejszej doby, ot np. do stopnia pułkownika, a i wtedy nawet niech ono będzie rozsądnem i umiarkowanym. Najważniejszym błędem, popełnianym przez niejedno młode małżeństwo, jest chęć połączenia mile pogłaskanej próżności z uczuciem szczęścia, które daje miłość. To znaczy przecież, że ta posłanka niebios nie zagościła wcale w ich sercu, i że swoją świeżość ich dusza już zatraciła; bo wielkie przywiązanie wyłącza wszelką czczą ambicję, a szczerą młodość o nią nie dba i tylko szlachetny jej rodzaj bywa dla młodzieży dogmatem. Żałujmy tych, którzy nie zaznali owej epoki nadziemskiego szczęścia, gdzie miłość jest wszystkim...

Przewiduję z góry, kochana Franiu, twoją odpowiedź:

— W naszym małżeństwie miłość starczy za

wszystko, i to nietylko w młodości, lecz przez całe życie.

Wiem, że w tem także jesteś szczerą i że Maks myśli dzisiaj tak samo. Ty jesteś wszakże na pensyi, a on w Saint-Cyr. Znacie się tylko z pozorów, dodatnie wywierających wrażenie, z kilku zamienionych i ledwo wyszeptanych tkliwych słówek i z optymistycznego pośrednictwa Lusi. I w tem właśnie leży niebezpieczeństwo. Przyszłość każdego małżeństwa jest niepewna, dla tych jednak, którzy tylko zewnętrznym kierowani powabem, na nim swe szczęście ugruntować pragną, jest ona tem więcej zagadkową. Oto dlaczego małżeństwa z miłości zawodzą tak często pokładane w nich nadzieje i u ludzi przezornych tak źleją zażywają opinii...

A zatem, zanim pomówię z panią Le Quellen, trzeba, żebyś się dobrze zastanowiła nad rodzajem uczucia, które powzięłaś dla brata twojej przyjaciółki... W następnym liście postaram się przyjść ci w tem z pomocą, jakkolwiek jest to kwestya natury tak delikatnej, że prawdziwą sprawi mi trudność.

Ach, Franieczko! Jakże było mi łatwo pisać do ciebie, gdy myślałem, że twoje serce jest wolne... Przypuszczenie, że może ono już gorętszem zapłonąć uczuciem, nie powstało jeszcze w mej głowie... Jakże byłem głupi!

XX.

Frانيا obstaje przy swoim. — Różne sposoby zapatrywania się na małżeństwo. — Serce i rozum. — Okres przedślubny i jego trwanie w Anglii i we Francyi. — Trzy dobre strony długiego narzeczeństwa. — Warunki poselstwa.

Jak widzę, droga Franiu, mój ostatni list nie zmienił nic w twoich uczuciach, ani zamiarach i wcale się temu nie dziwię. Twoje serce nie jest z tych, które oddają się bez namysłu, ale też, raz wybór uczyniwszy, trwa ono wiernie przy swojej miłości. Perspektywa skromnej przyszłości, która cię w małżeństwie z Maksem oczekuje, nie przeraża cię i jakkolwiek zdajesz sobie jasno sprawę z tego, że przez jakieś piętnaście lat trzeba się będzie wyrzec niejednego, robisz to z radością, aby tylko osiągnąć szczęście, które daje ustawiczna obecność ukochanej istoty... Domyślasz się, że bardzo ci to pochwalam. Czczność i nuda — oto ostateczne wyniki światowych, dostarczanych nam przez majątek przyjemności, i jeśli się nie jest Rockefellerem, albo Vanderbildtem, czyli potentatami, którzy mają

wszystko, co pieniądz dać może, to dla przeciętnego śmiertelnika różnica pomiędzy dziesięcioma a pięćdziesięcioma tysiącami franków dochodu bardzo znaczną nie jest.

Znajdą się jednak ludzie poważni i doświadczeni, którzy ci powiedzą: »Strzeż się, dziecko!... Pieniądz szczęścia nie daje, ale do niego pomaga, bo pozwala na swobodniejszy tryb życia, w którym dwa charaktery, idąc po gładszych ścieżkach żywota, wzajemnej nie potrzebują podpory, i przez to wielu obustronnych oszczędzają sobie zawodów...« Innemi słowy mówiąc, ludzie bogaci należą mniej do siebie, a więcej do świata, a ponieważ małżeństwo łączy się poważnie bez miłości, albo też na miłość długotrwałą nie liczy, więc o ile mniej prawdziwy tworzy ono związek, o tyle, rozporządzając majątkiem, czuje się szczęśliwsze...

Ani ty, Franiu, ani ja, nie zgadzamy się na takie pojęcie małżeństwa. Ty wychodzisz zamaż po to, żeby być żoną i rzeczywistą towarzyszką swego męża; według twego zdania dobór osobistości stronę materyalną przeważa. A tym sposobem pieniądze stoją na drugim planie i młoda para widzi swe najwyższe szczęście we wzajemnej miłości i połączeniu... (No, to mi się przynajmniej podoba!...) Trzeba być jednak bardzo pewnym, że to jedyne dobro: zjednoczenie — da naprawdę szczęście tak wielkie i trwałe, by sobą cały świat zasłonić mogło. I tu leży cały punkt ciężkości.

Ty, Franiu, masz dzisiaj tę pewność, no i Maks, naturalnie, także! Lecz jesteś za rozumna, by nie wiedzieć, że to żadnej na przyszłość nie przedstawia gwarancji. Bo rozważ dobrze swoje uczucia: przecież w gruncie rzeczy polegają one na gorącej i ślepej wierze w szczęście, o którym nie masz najmniejszego pojęcia! Co więcej, oczekujesz go od człowieka, którego znasz mało co lepiej, a przynajmniej nie wiesz, czy posiada on dane do uczynienia cię szczęśliwą... Zapewne, ślepa wiara — to dużo; być może, że wiecie ona najpewniej ku tej nieznannej a pełnej czaru szczęśliwości, którą twoja niewinność w tym związku przeczuwa. Niewytlomaczony powab pełnej tajemnic przyszłości! Niechże i tak będzie; przecież i zawrotna głębia przepaści pociąga nieprzepartym urokiem. To wszakże o małżeństwie jeszcze nie dycyduje, i doskonale zdajesz sobie z tego sprawę, jakkolwiek poniekąd o tem zapominasz.

Pomińmy sprawy materyalne: jesteś przygotowana na wszystko. Pozostaje jednak, i na pierwszym miejscu postawić ją należy, umiejętność wspólnego pożycia, nietylko w chwilach uniesień i miłosnego szału, które przeminać muszą, lecz także w życiu codziennem, zarówno wtedy, gdy chmury jego horyzont zaciemnią, albo gdy radosnym swym blaskiem słońce przyświecać mu będzie, jednym słowem »w dobrej i złej doli«.

Nie jest bynajmniej pewnikiem, że Maks po-

trafi być ci towarzyszem, gdy przyjdzie snuć szarą przędzę jednostajnych dni; a czy obecność jego będzie dla ciebie zawsze tą złotą nitką, która łagodnie, lecz stale się wijąc, całą tkaninę rozjaśnia, tem mniej przewidzieć to można. Dziś wszystko jest tylko przypuszczeniem; jasnych co do tego poglądów mieć nie możesz, bo znasz charakter Maksa tylko z opowiadań siostry, która lubi popuszczać wodze fantazyi i pragnąc z całej duszy związku pomiędzy swym bratem i przyjaciółką, wyobraża sobie zupełnie szczerze, że są oni dla siebie stworzeni.

— To prawda, wujaszku — powiesz mi — nie znam dobrze Maksa i przypuszczam także, że w tych kilku rozmowach, które prowadzi-
liśmy z sobą, starał się on pewno przedstawić z jak najlepszej strony.

Ale czyż to nie zwykły los wszystkich małżeństw? Wyjąwszy bardzo rzadkie wypadki, albo związki pomiędzy kuzynami, któraż narzeczona przejrzała do gruntu duszę swojego przyszłego towarzysza życia?... Czyż lepiej znać będę innego jakiego konkurenta, który się może starać o moją rękę, i czyż Maks nie jest raczej tym młodym człowiekiem, o którym najwięcej posiadam wiadomości?

Wszystko to prawda, Franieczko... Ponieważ jest we Francyi zwyczajem, by ludzie zawierali związki małżeńskie, nie znając się prawie zupełnie, więc istotnie twoje z Maksem małżeństwo, o którym myślicie już od kilku miesięcy, jest

nieomal wyjątkiem. Dziwny doprawdy porządek rzeczy. Po długotrwałem zwłóczeniu z wydaniem córki zamąż, pod pozorem, że się szuka dobrej partyi, Francuz wpada nagle z jednej ostateczności w drugą i śpieszy tak ze ślubem, jak gdyby chodziło o zażegnanie nieszczęścia. Dzięki takiemu to postępowaniu, małżeństwo we Francyi stało się instytucją tak bardzo zdyskredytowaną. To nie literatura — to obyczaje odebrały mu cały idealny urok i uczyniły zeń banalny kontrakt na wzór przeciętnej kupieckiej umowy.

Przyznaję, że są jeszcze serca, dla których małżeństwo całą swoją biblijną zachowało poezję, nie ma ono jednak tego, co w Anglii znaczenia. Ten związek jest tam niewyczerpanem źródłem ideału, uniesień i poezyi. I to nietylko dla poetów, powieściopisarzy i filozofów, lecz dla całego narodu, dla bogatych i biednych, jednakowo dla prostej dziewczyny, jak i dla córki para.

Taka różnica pojęć ściśle odpowiada różnicy pomiędzy obyczajami obu narodów. Powszechnie przyjęty we Francyi zwyczaj oglądania się na posag odgrywa w Anglii bez porównania mniej ważną rolę. Nie można twierdzić, że wszystkie Angielki są nieposażne, zatem i tam także pieniądze może kierować wyborem tych, którzy z praktyczną stroną życia więcej się rachują...

Radykalne jednak przeciwieństwo zaznacza się nadewszystko w tem, że czas od zaręczyn

do ślubu we Francyi nie ma najmniejszego znaczenia, gdy w Anglii za niesłuchanie ważny zwykł być przez wszystkich uważany. We Francyi młodzi ludzie, których zaręczyny odbyły się w dniu 15-tym maja, już 15-go czerwca stają na ślubnym kobiercu, czyli, że stadyum »narzeczeństwa« trwało tyle tylko, ile potrzeba było, żeby ogłosić zapowiedzi, ułożyć intercyzę i zakupić wyprawę. Po drugiej stronie La Manche ten okres trwa najmniej rok, jeżeli nie trzy, pięć a nawet dziesięć lat. Zaręczyny są aktem, który się do powszechnej podaje wiadomości i który zmienia wzajemny stosunek do siebie młodej pary na długo, żeby się wśród wszelkich nieprzewidzianych okoliczności, albo po prostu wobec działania czasu wypróbować mogli.

Pojmujesz, drogie dziecko, że takie zaręczyny nie mają nic wspólnego z tym śmiesznym miesiācem banalnych wizyt, podczas których narzeczony w pozach menuetowych ofiarowuje swej przyszłej kwiaty i cukierki; gdzie w najlepszym razie rozmowa prowadzi się o umeblowaniu, albo o poślubnej podróży młodej pary... W niczem nie stosujemy się tak do tradycji, jak w zwyczajach, dotyczących zawierania małżeństw, co przecież z dzisiejszymi pojęciami w taką wchodzi sprzeczność. Dusza dziewczęcia w roku 1901, jaką jest twoja, droga Franiu, różni się niezmiernie od tego, czem była istota twojej prababki w przeddzień ślubu. Ta ostatnia była wychowana wyłącznie przez kobiety, w zam-

kniętym klasztorze, zupełnie na sposób nowicyuszki; wyprowadzano ją na boży świat po to, żeby wydać zamąż, a ona poddawała się temu tak, jak gdyby wykonywała zakonną przysięgę i powierzała z zamkniętymi oczyma swój los w ręce przyszłego męża i pana.

Czy taki system był dobry w roku 1780, przesądzać nie będziemy, co jednak rażącym jest obecnie, to to, że stosują go jeszcze i teraz względem współczesnych panien. Ty, Franiu, nie masz ochoty wyjść w ten sposób zamąż. Ty pragniesz wybrać sobie męża sama.

Bardzo dobrze, ale bądź ostrożna!...

Jeżeli wybór opierać będziesz wyłącznie na upodobaniu serca, wyrzekasz się rozmyślnie samodzielnosci, albowiem prawo wyboru uznane być może tylko wtedy, gdy ten ostatni uczy-niony jest z rozważą i gdy wola w sumieniu i rozumie znajduje potwierdzenie. Otóż rozum i sumienie nie wydają wyroków na podstawie owalu twarzy, albo brzmienia głosu. Ich postanowienie wymaga czasu, a co za tem idzie: »narzeczeństwo« musi trwać długo.

Ten przedślubny okres daje narzeczonym możność poznania swego serca i sprawdzenia poddanych próbie uczuć. Większość śmiertelnych — i jakież to smutne! — łudzi się co do swojej zdolności przywiązywania się do kogo. Tym osobnikom wydają się niezbędnymi do szczęścia ludzie, którymby po tygodniu rozłąki jednej nie poświęcili myśli. Niestety! w pomroce

zapomnienia jakże prędko ginie pamięć najszczerzej nieraz opłakanych istot!

To też, jakkolwiek okrutnem jest to działanie czasu, trzeba się z niem rachować i wypróbować je na samym sobie.

Dowiedz się, dziecko drogie, że znaleźć w osiemnastym roku życia takiego małżonka, któryby naprawdę niezbędnym się okazał, należy prawie do cudów.

Odwracasz się?... Masz łzy w oczach?... No, już dobrze! nie dodam więcej ani słóweczka w tej delikatnej materii. I ja także przypuszczam, że twoje serce może ręczyć za siebie i że czas wpłynie jeszcze na utrwalenie twoich uczuć, a i to jest nie bez wartości; chciałem ci jednak powiedzieć, że długie narzeczeństwo ma jeszcze jedną dobrą stronę.

Jest ono nieocenionem z tego względu, że prawdziwe charaktery narzeczonych wychodzą na jaw. Można się maskować w przeciągu jakiegoś miesiąca zażyłości, polegającej na przynoszeniu i przyjmowaniu kwiatów i cukierków, trzeba mieć jednak niesłychane nad sobą panowanie, by w przeciągu całego roku grać komedję, szczególnie, że wtedy fakt zdobycia sobie drugiego serca, jako już spełniony, w grę nie wchodzi. Oto, co jest najważniejsze w tym zwyczaju, który nakazuje śpieszyć z zaręczynami, a zwłóczyć ze ślubem. To wzajemne zobowiązanie nie jest jeszcze swobodnem małżeńskim pożyciem, ale zwalnia już do pewnego stopnia

obie strony od nadmiernego liczenia się z sobą i układnej grzeczności. Wszelki wysiłek staje się poniekąd zbyteczny i wtedy wszystkie, że się tak wyrażę, refleksy naszego temperamentu pomimo naszej wiedzy działać zaczynają. Zazdrośnik, impetyk zdradzają się z temi wadami, nie potrafi ich również ukryć zbytnia i panna, lubiąca stroić fochy. Można przypuścić prawie napewno, że pomiędzy dwiema istotami, które na życie pragną się połączyć, a zatem obserwują się wzajemnie i wzajemne do siebie roszczą prawa, w przeciągu roku wywiążą się pewne nieporozumienia. Otóż ze sposobu, w jaki te sprzeczki powstaną, rozwiną się i zakończą, każda strona może wysnuć wnioski o charakterze przeciwnika.

I nie mów, że »jeżeli Maks będzie wysłany z pułkiem do Bretanii, to wobec tego, że ja mieszkam w Paryżu, nie będę miała żadnej sposobności, żeby go obserwować!« Przedewszystkiem, chociażby naprawdę Maks był tak bardzo od ciebie oddalony, stajesz się osobą, której on będzie musiał cały swój wolny czas poświęcić, i to już za zgodą rodziny, niejedną zatem godzinę spędzicie razem... Powtóre, pozostaje jeszcze korespondencja, która, poruszając naturalnym przebiegiem okoliczności ważne, dotyczące przyszłości kwestye i zamiary, przestaje się obracać w mdłej czczości epitetów wzajemnej adoracyi. Tak pełna finezyi, jak ty jesteś, Franiu, po sześciu miesiącach liścików od Maksa, spe-

netrujesz z pewnością dokładnie, co ten biedny chłopiec ma »we wnętrzu«.

Nakonic, wymienić muszę najsilniejszy argument, przemawiający za pożytkiem długiego narzeczeństwa, mianowicie, że jest ono bardzo przyjemne i duży dodatni wpływ wywiera. Nie będę ci tu powtarzał komunałów, w rodzaju tego, że nadzieja szczęścia przewyższa zawsze oczekiwaną rzeczywistość, to jest ci jednak wiadomem, że młoda narzeczona nabiera pewnego znaczenia, którego nie mają jej rówieśnice. Jest ona wybranką, która czuje, jakim zaszczytem jest jej stanowisko i jak miłe poczucie punktu oparcia ono stwarza, nie będąc zresztą ostatecznie związaną, bo obie strony wiedzą, że umowa jest jeszcze warunkową i że niema wstydu, gdyby się ją nawet po uczciwem wzajemnem wypróbowaniu zerwało. Prócz tego, gdy panienka zostaje zaręczoną, nie jest ona już narażona na pokusę flirtowania bez celu, co jest tak bardzo dla młodych dziewcząt szkodliwe, i myśli jej zwracają się pomału ku ideałom wierności, poświęcenia i macierzyństwa...

Gdybym pisał do Maksa, a nie do ciebie, Franciu, ileż innych ważniejszych względówbym przytoczył. Wpływ długiego narzeczeństwa, gdy chodzi o pana młodego, ma jeszcze donioślejsze znaczenie. Jakiemże ożywcem i czystem tchnieniem jest ono dla jego duszy; jak dodatnio wpływa na jego myśli i obyczaje. I na całe życie drogiem wspomnieniem zostanie mu myśl o tych

młodocianych latach, gdzie pośród brutalnych zabaw towarzyszy on marzył o dziewczęciu, które sercem już żoną mu było.

Streszczam się więc: wczesne małżeństwo, ale długie narzeczeństwo. Jakkolwiek te dwa pojęcia zdają się kłócić z sobą, wyrażają one moje życzenia dla dziewczynki twego wieku. Ty, dziecko drogie, jesteś już na wczesne małżeństwo zdecydowana. Jeżeli przystaniesz jeszcze na drugi warunek — i tylko wtedy — podejmę się poselstwa do pani Le Quellien.

XXI.

Wizyta w Passy. — Rozmyślania nad zbliżaniem się czterdziestki. — Feliks de Vandenesse. — Robótki mateczki. — Przeróżne krystalizacje. — Frania jest taka młoda! — Maks jest taki młody! — Kwestye materyalne. — Izba i senat. — Los petyci.

Stosownie do uczynionej ci, drogie dziecko, obietnicy, udałem się wczoraj na plac Possoz w celu rozmówienia się z panią Le Quellien i przedstawienia jej twoich życzeń.

Gdybym ci powiedział, że misya, którą mnie obarczyłaś, przyjemną mi była, nie dałabyś temu wiary. Przedewszystkiem nie cierpię odgrywać roli Opatrzności. Opatrzność zna najdalsze przyczyny wypadków i czyta wszelką przyszłość w księdze przeznaczeń, może zatem swobodnie zajmować się kojarzeniem małżeństw. Co się zaś mnie albo ciebie tyczy, i wszystkich zresztą ludzi, to dzień jutrzejszy spowity jest dla nas w mgłę tajemnicy — skądże więc mam zaczerpnąć odwagi, by na przypuszczeniach gmach twego szczęścia budować? I jakkolwiek powta-

rzam ci ustawicznie, że chcę tylko pośredniczyć między twoją matką i tobą, że »umygam ręce od wszystkiego« (wszak twoje to wyrażenie), wiem doskonale, że twoje serce włoży na mnie kiedyś odpowiedzialność za dolę lub niedolę, którą ci przyszłość zgotuje... Oto jedna z przyczyn, dla których byłem w bardzo złym humorze, gdy koło godziny drugiej po południu przechodziłem spokojne Passy, by udać się do twojej matki.

Druga przyczyna mego niezadowolenia była trochę więcej skomplikowana i samolubnem wywołana uczuciem. Do quasi ojcowskiej zazdrości o młodzieńca, który ma zamiar zabrać nam Franię, przyłączyła się melancholia, że w przeciwieństwie do Bartola, albo Arnolfa odgrywam w tem rolę jakiegoś patryarchy. »Cóż u licha?... Przed czterdziestką to trochę zawcześnie! A Frania, doprawdy, że wyzyskuje moją powolność...«

Kiedy się tak na ciebie żaliłem, wyraz czterdziestka zbudził w mej pamięci mnóstwo wspomnień z dzieł wybitniejszych autorów ubiegłego stulecia, jak Balzac, Sand, którzy uważają czterdziestoletniego człowieka za starca, takiego wprawdzie, przed którym wrota starości uchylają się dopiero. Feliks de Vandenesse, mając lat czterdzieści, postępuje jak człowiek, który »długoletnie doświadczenie ma już za sobą« a »Jacques« George Sand'a w trzydziestym czwartym roku życia nazywa swoją narzeczoną Fernandę: »Aniele

mojego życia, ostatni promieniu słońca, który za-
błysnął nad mojem znużonem czołem».

Dopiero za naszych czasów długa służba
wojskowa, trudność zdobycia sobie stanowi-
ska i cała gorycz walki o byt przedłużyły sta-
dyum, któremu przystoją według zdania opinii
rozrywki młodości. Pisma nazywają z najzimniej-
szą krwią »młodym mistrzem« autorów i malar-
zy, którzy pięćdziesiąt lat mają już za sobą i gdy
przedłużają mężczyznom młodość o lat dziesięć —
kobiety, a szczególnie aktorki, nazywają mło-
demi jeszcze wtedy, gdy co najmniej od lat pię-
tnastu takimi być przestały. Wszystko to pięknie
brzmi w powieściach, nie zmienia wszakże po-
staci rzeczy, że wiek średni około czterdziestego
czwartego roku dla człowieka przypada, a co
za tem idzie, trzeba być już w trzydziestym
ósmym roku usposobionym poważnie i do po-
ważnych zadań czuć się zdolnym.

To też w pełnym rezygnacyi i skruchy na-
stroju, zupełnie odpowiadającym misyi, którą
miałem do spełnienia, doszedłem nareszcie do
placu Possoz i przestąpiłem próg mieszkania pani
Le Quellien.

Twoja droga mateczka nie sprawdzała tym
razem swoich rachunkowych zeszytów, których
drobiazgowe i dokładne prowadzenie taki za-
chwył w nas wzbudza. Nie czytała również
swoich ulubionych książek, jak »Wstęp do po-
bożnego życia«, albo »Naśladowanie«.

Ponieważ dzień wiosenny był bardzo pogodny

i ciepły, otworzyła ona okno swojego pokoju na
plac, pełen słońca i ciszy, która niezmiennie przy-
pomiwała prowincję. Siedząc w fotelu z nogami
opartymi na stołeczku z mnóstwem, rozłożonych
przed sobą, potrzebnych do szycia drobiazgów,
haftowała bez okularów jakiś prześliczny ka-
wałeczek batystu, przytwierdzony do zielonej
ceratki. Poznałem jedną z tych nieskończonych
i pracowitych robótek, które ty ogólnem mianem
»robótek mateczki« nazywasz. Mówisz to nie bez
ironii i twierdzisz, że byłoby daleko praktyczniej
kupować gotowe te wszystkie hafty, którym pani
Le Quellien poświęca tyle cierpliwości i czasu.
Utrzymujesz także, że te wyroby nie przynoszą
żadnego pożytku, a gdy są skończone, niewia-
domo, co z niemi robić: umieszczają je przeto
pod jakim wazonem albo świecznikiem, któreby
się wybornie bez tego sąsiedztwa obeszły. Wy-
powiadasz przytem postanowienie nie czynienia
mamie na tem polu konkurencyi.

Zdaje mi się, że pani Le Quellien nie przy-
wiązywała również wagi do swojego zajęcia,
gdyż włożyła momentalnie wszystko w koszy-
czek do roboty i odłożyła na stronę.

— A to przyjemna niespodzianka — powie-
działa do mnie. — Zamiast iść na spacer do lasku
Bulońskiego, gdzie spotkałbyś młode i ładne
kobiety, przychodzisz na pogawędkę do twojej
starej przyjaciółki.

Zaprzeczyłem, albowiem prawdą jest szczerą,
że nie namówionoby mnie do zrobienia jednego

kroku, w celu zobaczenia »młodych i ładnych kobiet« w lasku, gdy z zawsze jednaką przyjemnością rozmawiam z matką Frani. Dusza twojej matki robi na mnie wrażenie jakiegoś pięknego i rzadkiego kryształu, którego forma zatraciła się już dzisiaj prawie zupełnie.

Twoja młoda duszyczka także ciekawy przedstawia dla psychologa materiały, ale skryształizowała się ona w kształt bardziej mi znany. Twoja matka przedstawia doskonały kryształ dawnego typu.

Nie zamieniliśmy dziesięciu zdań, gdy już rozmowa zwróciła się ku młodej wychowance zakładu Berquin i pozostawiając wszystko inne na boku, toczyła się już nadal wyłącznie o tobie. Oj! małeńka, jakże wszechwładną jest twoja wdzięczna osóbką w tym świecie, który twoją matkę otacza! Nawet gdy jesteś nieobecna, królujesz tam; wszystkie myśli dążą ku tobie, koło ciebie się obracają. Nie potrzebowałem też uciekać się do jakichkolwiek dyplomatycznych wybiegów, by móc wstawić zdanie następujące:

— Przyszedłem tu właśnie z misyą od Frani.

— Z misyą!... Mój Boże, o cóż to chodzi?

Serce twojej matki drżało niepokojem, to też odpowiedziałem czempredzej, że chodzi o rzeczy, które do szczęśliwych wypadków w życiu ludzkim zwykły się zaliczać... Dyalog, który się następnie zawiązał między twoją matką i mną, mam, o ile mi się zdaje, dosłownie w pamięci.

JA.

— Droga kuzynko, czy zamążpójdzie Frani nie przychodzi ci nigdy na myśl?

PANI LE QUELLIEN.

— Ależ Frania jest jeszcze taka młoda!...

JA.

— No, zapewne, ale gdyby poszła zamąż za jakie półtora roku, miałyby lat dwadzieścia, a temu wiekowi tytuł młodej mężatki już przystoi.

PANI LE QUELLIEN.

— Frania mężatką!... Cóż chcesz, mój przyjacielu?... Nie mogę sobie inaczej wyobrazić tego faktu, jak w bardzo dalekiej i niewyraźnej przyszłości. Zdaje mi się, że trzeba, by Frania zobaczyła świat, poznała trochę życie... Czemu się śmiesz?

JA.

— Daruj, ale nie wierzę tak bardzo w tę życiową naukę, której ma Frani kilka rautów i balów dostarczyć. A przytem Frania nie jest bynajmniej taką nieświadomą, jak ci się zdaje. Jest to bystry i spostrzegawczy umysł, który przypatruje się życiu z uwagą i stara się zrozumieć jego zagadnienia.

PANI LE QUELLIEN.

— To możliwe. Zapominam zawsze, że czterdzieści lat nas dzieli i że czasy się zmieniły.

Takim naiwnym głuptaskiem byłam jeszcze w jej wieku...

JA.

— Nie chodzi zresztą o to, by Franię wydać zamąż natychmiast po wyjściu z pensyi, nie zawadzi jednak pomyśleć zawczasu o przyszłości...

PANI LE QUELLIEN.

— Ach, mój Boże! Przecież ty wiesz, mój przyjacielu, jakie mam do ciebie zaufanie. Czy masz na widoku dla Frani jaką dobrą partycję?

JA.

— Czy jest dobra, osądzisz to sama. Prawdopodobnie jednak każe mi wyznać, że to nie ja »mam« tę partycję, lecz Frania. Jej przypada w udziale cały zaszczyt wyboru i inicjatywy.

PANI LE QUELLIEN.

— Jakto! Frania powzięła sama myśl zamążpójścia? Zajęła się kim? Ależ, przecież to niemożliwe...

JA.

— Zupełnie możliwe, droga kuzynko, skoro rzeczywistość fakt ten potwierdza. Z niezwykłą odwagą wzięła Frania na siebie pierwszą rolę w pokierowaniu mojem szczęściem. Ja przyznaję, że winy z jej strony w tem nie widzę. Gdyby to była przeciętna gąska, wypadłoby zapewne, żeby rodzice i opiekunowie myśleli za nią i wybrali dla niej męża... Przyznać je-

dnak musisz, że Frania w niczem takiej gąski nie przypomina...

Pani Le Quellien nie słyszała, co do niej mówiłem. Jej śliczne szare oczy, zawsze młode i pełne inteligencji, patrzyły w dal, jak gdyby wywołując jakiś niewidzialny obraz; za oczyma biegły myśli.

Przerwała mi:

— No, mam przynajmniej nadzieję, że to nie ten dzieciuch Maks Despeyroux zawrócił Frani głowę?... (Jak widzisz, macierzyńska przenikliwość pozornie tylko była uśpiona. Pani Le Quellien nie brała na seryo Maksa, bo wydawało jej się absolutną niemożliwością, żebyś ty sama o swoim małżeństwie już myślała. Gdy jednak na tym punkcie otworzyły jej się oczy, imię Maksa zaraz wybiegło jej na usta).

Od tej chwili moje poselstwo stało się bardzo kłopotliwem. Na razie, gdy wyznałem, że to właśnie owego dzieciucha pokochała Frania i że chce koniecznie zostać jego żoną, spotkała mnie stanowcza odmowa. Pani Le Quellien popierała ją dowodzeniami, które i mnie słuszne się wydały, bo sam ci je nawet przytoczyłem: między innemi, że nie znasz Maksa, i że nikt nie może nawet przewidzieć, jakim on będzie mężem, bo w dwudziestym trzecim roku życia mężczyzna jest jeszcze dzieckiem... Jakże pomysłowawą jest moja przyjaźń dla ciebie! Na twoją i twojej miłości obronę wynalazłem argumenty, o których sam poprzednio nie myślałem.

— Zapewne, dwadzieścia cztery lata, czyli wiek Maksa, gdyby się z Franią ożenił za półtora roku, nie może być brany bardzo na seryo. Ale czy nie jest to tylko zwyczajem i to zupełnie nieusprawiedliwionym, żeby się młodo nie żenić? Jeżeli młodzi ludzie tego wieku nie przedstawiają budujących przykładów stałości i cnoty, to czyż źródła tego nie należy szukać w ich stanowisku społecznym, które oficjalnie za przeciwieństwo tamtych zalet jest uznane?... »Trzeba, żeby poznali życie«. Wiemy wszyscy, co to znaczy. Młode panny mają się go uczyć na balach i podczas gry w tenisa, tę samą rolę względem męskiej młodzieży ma niemoralne towarzystwo odegrać... Dlaczegoż małżeństwo i troski, które ono za sobą pociąga, nie mają im być nauką?... Z drugiej strony, czy nie obawiasz się, kochana kuzynko, że pragnąc wprowadzić w małżeństwo swoich dzieci żywioły dojrzałości i zbytniej o przyszły los pewności, pozbawiasz ten sakrament całej poezji i uroku?... Prawdopodobnie za jakie dziesięć lat Maks i Frania będą mieli inne, o ileż praktyczniejsze i poważniejsze zapatrywania. Być jednak bardzo może, że te przekonania każą im wtedy nie żenić się wcale!...

Pani Le Quellien, obdarzona dużą inteligencją, przyznawała tym dowodzeniom słusność, odpierała je wszakże argumentami, które także doniosłości pozbawione nie były.

— Wszystko to brzmi bardzo pięknie w teorii, w praktyce jednak chcesz wydać Franię za

porucznika bez majątku, którego nie znamy i o którym nic nie wiemy, prócz tego, że jest przystojny i że ma ładne ułożenie... A ja ci mówię, że całe to przedsięwzięcie wydaje mi się zbyt ryzykownym, a stawiać na kartę szczęścia mojej córki bynajmniej nie mam zamiaru... Znajdujesz, że jestem zadowolona? Być może!... Ale jakkolwiek poezja i urok mają duże w małżeństwie znaczenie, przypomnieć ci muszę, że w grę wchodzi tutaj także ważne materialne czynniki. Jeżeli takowe zaniedbamy, popełnimy taki sam błąd, jak gdybyśmy z uczuciami zupełnie się nie rachowali... Oto dlaczego potrzeba koniecznie, by rodzice decydowali na równi z dziećmi o ich wyborze. W tej sprawie przedstawiają oni Senat; dzieci są Izbą. Na to, żeby wyrok uprawnocił się zupełnie, potrzeba, żeby Senat zgodnie z wnioskami Izby wydał decyzję.

Porównanie wydało mi się doskonałym; uchwyciłem je w lot.

— A więc — odrzekłem — Izba reprezentowana przez Maksa, Franię i Lusię przesyła nam sprawę, którą już od roku rozważała. Ty, kuzynko, i ja, jako przedstawiciele Senatu, powinniśmy poddać ją rozwadze. Poznajmyż lepiej Maksa, jego na przyszłość widoki, jego materialną pozycję... Ty sama weź Franię na egzamin, przedstaw jej wszystkie »za i przeciw«, wypróbuj jej wytrwałość. Gdy zaznajomimy się dostatecznie z całym materiałem sprawy, będziemy mogli zdecydować, co z nią zrobić...

Ta zwłoka była wszystkim, co moja dyplomacya od pani Le Quellien uzyskać potrafiła. Nie chciałem i ja nadużywać sytuacji, albowiem ta rozmowa zdenerwowała drogą twoją mateczkę i od czasu do czasu oczy jej napełniały się łzami. Myśl o małżeństwie Frani, o opuszczeniu matczynego domu z tym lub owym wybranym przez nią człowiekiem, poruszyła serce matki i obudziła w niej zazdrość.

I oto w jaki sposób, droga Franiu, Senat, zamiast zwrócić ci twoją petycję przyjętą, zmodyfikowaną, albo odrzuconą, zasądził dodatkowe śledztwo i szczegółowe roztrząsanie sprawy.

XXII.

Oczekiwanie. — Pożytek, jaki odnosimy z regularnego trybu życia w chwilach moralnych przejść. — Porządek przymusowy i dobrowolny. — Większość egzystencji kobiecych nie stosuje się do żadnych prawideł. — Jak urządzić życie? — Rozpatrzenie osobistych upodobań i zdolności. — Czuwanie i sen. — Przysłowie łacińskie. — Użyteczność wieczora.

Nie mam zamiaru, droga Franiu, zaniechać roli wuja-mentora z powodu, że roi ci się już o małżeństwie i że uczyniłaś mnie obrońcą swojej sprawy. Pozostawmy pani Le Quellien i państwu Despeyroux wyrównanie drogi, na którą masz ochotę się puścić w towarzystwie Maksa, i powróćmy do naszych zwykłych zajęć. Przecie nie jesteś jeszcze mężatką...

— Ależ wujaszku, ja o niczem innem nie myślę, jak tylko o mojem zamążpójściu!...

Oto właśnie, czego unikać należy. Każda ludzka istota miewa takie chwile, które kryzysami oczekiwania nazwaćby można, bo na szali losu waży się wypadek od nas niezależny, lecz doniosłe mający dla nas znaczenie... I wielką

jest wtedy pokusa zaniechania wszelkiego wysiłku i oddania się na łaskę i niełaskę fali życia aż do dnia, w którym to, czego oczekujemy, ma nastąpić.

Czy wiesz? Bardzo to zła higiena duszy.

Wprost przeciwnem powinno być nasze postępowanie, i w takich właśnie wypadkach należy się najwięcej starać o niezaniechanie naszych codziennych zajęć i rozrywek... Obecnie, droga Franiu, przychodzi ci z łatwością zastosować się do tego trybu życia, bo w zakładzie Berquin każdy dzień ma swój z góry oznaczony rozkład, przykładając się też pilnie do przepisanych ci zajęć, możesz czas oczekiwania krótszym uczynić, a troskę mniej dokuczliwą... Później, gdy będziesz już panią swych czynności i gdy nikt już żadnego na ciebie nacisku wywierać nie będzie, sama powinnaś rozłożyć sobie godziny i ściśle się do ułożonego planu stosować. Zapobiegiesz w ten sposób rozprężeniu się woli w chwilach moralnych udręczeń, a gdy żadna chmura wisieć nad tobą nie będzie, zażegnasz niebezpieczeństwo, grożące niejednej spokojnej egzystencji — Nudę.

Brak ładu w życiu był do niedawna uważany za dowód umysłowej niezależności, a nieporządek zdawał się być nieodstępnym towarzyszem geniuszu. Zdaje się, że to fantastyczne urojenie zostało już ostatecznie za naszych czasów pogrzebane. Jerzy de Porto-Riche, człowiek umysłu bardzo głębokiego, napisał następujące zda-

nie: »Prawdziwi artyści prowadzą tryb życia bardzo regularny«. Spostrzeżenie jest nader trafne: Goethe, Hugo, George Sand byli bardzo w swych zajęciach punktualni, w tym sensie przynajmniej, że żaden kryzys ich życia pracy im nie przerywał. Leconte de Lisle tworzył dziennie czternaście wierszy, bez względu na to, że gdy nazajutrz czuł się z nich niezadowolony, darł je niechętnie. Olbrzymi rezultat pracy takiego Zola da się osiągnąć tylko przy zakreślonej z góry ilości kartek do napisania na każdy dzień, i w ten sposób właśnie postępował autor dzieła pod tytułem »Praca«.

To, co dobrem jest dla artystów, tem pożądanym jest dla ludzi przeciętnych, którzy pracują nie dla zdobycia sobie sławy, lecz dla pożytku ogniska domowego. Nieporządne życie, które stworzyło arcydzieło, nie jest przynajmniej stracone, ale jakaż jest wartość przeciętnej egzystencji, która, nic po sobie nie zostawiając, nie umiała nawet żyć według pewnych logiką wskazanych prawideł? A jednak te zalety: ład i porządek, czyli regulamin, jeszcze rzadziej w życiu kobiet, niż w życiu mężczyzn, spostrzegać się dają. W twojej sferze mężczyzna ma zwykle jakieś zajęcie, które zapełnia mu czas mniej lub więcej ściśle oznaczony. Kobieta pozostaje w domu i jest absolutną panią swoich czynności. I ona ma swoje obowiązki, lecz zwierzchnikiem jej jest tylko sumienie. Ma ona niezależność i swobodę, ale niestety!... rzadko kiedy umie od-

powiednio te dary zużytkować. Lekkomysłne unoszą się po prostu na fali życia, wyręczając się we wszystkim służbą. Pani domu wtrąca się od czasu do czasu w ten sposób, że okazuje gniew, albo zniecierpliwienie... Jej życie składa się z dwóch części: jednej, gdzie rozrywki dają jej zapomnienie o samej sobie, i drugiej — gdzie w przerwach pomiędzy jedną przyjemnością a drugą pożera ją niczem nieodparta nuda... Co się tyczy takich kobiet, które zajmują się naprawdę domem i dziećmi, to te wpadają zwykle w drugą ostateczność i dają się najzupełniej pochłoniąć wszelkim troskom domowym, biorąc czynny a niepotrzebny udział we wszystkich najdrobniejszych zajęciach. Nie pozostawiają one sobie wcale czasu na to, co jest obowiązkiem każdej myślącej istoty: poznać swoje wewnętrzne »ja« i doskonalać je, kierować ku światłu.

Gdyby jaka z tych »kobiet seryo« przeczytała słowa, które piszę do ciebie w tej chwili, moja droga Franiu, jestem pewien, że odpowiedziałaby na nie wzruszeniem ramion.

»On jest sobie dobry, ten psycholog, ze swoją istotą moralną i jej doskonaleniem! Jak to zaraz widać, że nie ma on na głowie gospodarstwa, ani dzieci, które trzeba pilnować...

Otóż psycholog upiera się przy swoim zdaniu i twierdzi, że niema wcale potrzeby, by kobieta była albo obcą w swoim własnym domu, albo przechodząc z jednej ostateczności w drugą,

żeby musiała koniecznie popaść w stan umysłowego zaniedbania. I chęć doskonalenia się we wszystkim i dbałość o dom może się wybornie pomieścić w życiu kobiety, która stosuje się do godzin i postępowanie swoje do zakreślonych sobie z góry prawideł nagina. Pewien chemik, którego nazwiska nie pamiętam, mówił zawsze, że »trzeba rozpocząć cztery razy tyle rzeczy, co zrobić można«. Paradoksem jest to zdanie, jest ono jednak o tyle blizkiem prawdy, że »każdy z nas może wykonać pracę cztery razy większą, niż sądzi«. Albowiem prawie nikt nie zadaje sobie trudu, by poza godzinami zajęć obowiązkowych wprowadzić ład w swoją egzystencję, a jednak najporządniejszym trybem życia jest ten, który narzuca nam nasza własna wola.

Jak urządzić życie? czyli raczej, jak rozporządzić twojem, zaczawszy od dnia, w którym przestaniesz być pensyonarką, a staniesz się panią swego czasu i swoich czynności. Porównaj przyszłość, której podwoje otwierają się przed tobą, z mocną lecz pustą jeszcze kanwą. Jakiż deseń na niej wyhaftować zamierzasz? Czy będzie to zbiór różnokolorowych ściągów, podobnych do wyszywania małych dzieci, czy też kunsztowna tkanina, której deseń został starannie obmyślony i według pewnych prawideł wykonany?... Jeśli się nie mylę, twój wybór wybiony. Na kanwie swego życia pragniesz wyłącznie misterne a harmonijne haftować arabeski.

Przejrzyjmy zatem wspólnie, piękna hafciarko, praktyczne tych pojęć zastosowanie.

Trzeba przedewszystkiem wybrać deseń, czyli, zaniechawszy przenośni, ustalić, co będzie przedmiotem twojej przyszłej działalności. Miałem przyjemność rozmawiać z tobą tak często, że zdaję sobie sprawę z tego, jakie są twoje upodobania, zdolności, a nawet marzenia. Masz zamiłowanie do zajęć umysłowych z pewną skłonnością do nauk, opartych na obserwacji, a sprawdzenie współczesnych przekonań nie jest ci także obojętne.

Cenisz sztuki piękne i uprawiasz gorliwie muzykę, a zato poezya i literatura nie porywają cię i oddajesz im się bez uniesień... Kochasz ludzi ubogich i nieoświeconych i interesujesz się nieszczęsną ich dolą. Do zdrowia potrzebujesz ruchu, celujesz we wszelkich sportach i jesteś odporna na zmęczenie. Dobrą gospodynią również nazwać cię można. Żaden z powyżej wymienionych czynników nie powinien być pominięty w twojej działalności i deseń owego haftu musi harmonijnie połączyć, nie płacząc ich, pojedyncze kontury, którym twoje zdolności i upodobania służą za punkt wyjścia i dalsze ich rozwinięcie.

Warunki życia codziennego, najpierw u matki, a potem na twojem już gospodarstwie, dadzą ci dosyć pola do zużytkowania twojej umiejętności kierowania domem. Chodzi jedynie o określenie godzin, które temu poświęcisz. Gdy która z pań

mówi: moje gospodarstwo pochłania mi wszystek mój czas« — nie dawaj temu wiary. Niema takiego domu, którymby inteligentna kobieta nie mogła zarządzić, poświęciwszy mu rozsądnie użyte we właściwym czasie dwie godziny. Jeśli dodasz do tych dwóch godzin zajęć gospodarskich czas, potrzebny na ubranie się, na niezbędne wyjście na miasto, na posiłek, spostrzeżesz, że masz osiem godzin dziennie zajętych przez obowiązki pani domu. Pozostaje szesnaście godzin do podziału pomiędzy sen, wypoczynek i pracę.

I tutaj każdy powinien nakreślić sobie plan, stosownie do swego usposobienia i temperamentu, zwyczajem jest bowiem powszechnym, że tylko przypadek i fantazya ludźmi rządzi i naznacza im godziny czuwania i wypoczynku. Otóż można przyjąć za pewnik, że każda egzystencya ludzka, w której godziny snu nie są ustalone, jest nieporządną egzystencyą. Nie chodzi o to, by wstawać o tej lub innej godzinie, lub spać krócej lub dłużej, lecz trzeba to wykonywać koniecznie zawsze w jednym i tym samym czasie.

Balzac udawał się na spoczynek o szóstej po południu, pracował zato od północy do szóstej rano. I ty rób, jak ci wygodniej, i wstawaj nawet w południe, urządz jednak w taki sposób tryb swego życia, żeby wszystko w nim do tej godziny wstania zastosowane było. W praktyce najlepiej jest wstawać wtedy, gdy naokoło rozpoczyna się praca dzienna, z tego też po-

wodu mieszczuch nie potrzebuje zrywać się tak wcześnie z łóżka, jak wieśniak uczynić to jest zmuszony...

Z drugiej zaś strony całe życie towarzyskie i intelektualne rozwija się w całej pełni w dużych miastach wieczorem, a uspokaja się mniej więcej pomiędzy dwunastą a pierwszą godziną po północy, żeby o godzinie ósmej rozpocząć się na nowo. Nie robię na to nacisku, żeby każda mieszkanka miasta musiała koniecznie stosować się do tych godzin, utrzymuję tylko, że zmarnuje ona niepotrzebnie dużo czasu i straci całą korzyść z przebywania w dużym mieście, jeśli wstając o piątej rano, już o dziewiątej wieczorem udawać się będzie na spoczynek. Jedną z pierwszych zasad harmonii życiowej jest stosowanie się do środowiska, które nas otacza. Jeśli nasze usposobienie ujawnia wręcz przeciwne upodobania, lepiej będzie przenieść się na grunt właściwy.

Ilość godzin, potrzebnych do spoczynku, zmienia się stosownie do organizmu i wieku danego osobnika. Stare łacińskie przysłowie mówi:

»Vix pigris septem, nemini concedimus octo!«

To znaczy: »Dla leniuchów siedem godzin snu — i to za dużo! — osiem dla nikogo...«

Jabym powiedział, że na tym punkcie każdy powinien sam siebie wypróbować. Kładź się w przeciągu dwóch tygodni o jednej porze, a natura sama wskaże ci godzinę twego obudzenia, która winna być i godziną pod-

niesienia się z łóżka. Sen jest jedną z tych fizycznych potrzeb, które ściśle unormować można.

Przypuszczam, droga Franiu, że w twoim wieku, pomimo wyżej przytoczonej cytaty, ośmiodzinny spoczynek nie jest zbyt długi. Pozwala ci to iść spać o jedenastej, by wstawać o ósmej. Przekładam te godziny nad inne, nie dlatego, żebym ci radził spędzać wieczory w teatrze albo na zebraniach towarzyskich. Jeśli zaślubisz Maksa, nie będziesz mogła tego robić, a przytem taki los nie jest bynajmniej godny zazdrości.

Przeciwnie, jeśli tryb życia jest dobrze uorganizowany, wieczory, spędzane w domu, należą bez wątpienia do najprzyjemniejszych i największych przynoszących pożytek. Prawdę mówiąc, mało kto potrafi urządzić się w ten sposób. Spędzić czas poza domem do jakiej drugiej w nocy, albo jeśli się nie wychodzi, iść do łóżka o dziewiątej, oto zwyczaj przeciętnego mieszczucha. To niema sensu. W godzinach wieczornych wszelka istota ludzka, dbała o to, żeby się doskonalić, znajdzie dla siebie momenty nieocenione. Bez obawy przerwy można czytać, pisać, lub po prostu rozmyślać o wiele swobodniej, niż podczas gorączkowego gwaru, który nas w dzień mimowoli w swój wir wciąga. Niech się spędzi w ten sposób wieczór tylko dwa razy w tygodniu, to czy wiesz, Franiu, że w przeciągu dwóch lat wystarczyłyby one dla takiego bystrego, jak twój, umysłu do nauczenia się jakiego języka,

do obeznania się z arcydziełami danej literatury, do zdobycia pewnego odłamku wiedzy, albo do posunięcia się w technice jakiej sztuki.

Więc proszę cię, drogie dziecko, nie zaniedbaj w przyszłości tego pożytecznego zapełnienia wieczorów przynajmniej parę razy w tygodniu! Gdy niektóre moje znajome, uczciwe i poważne kobiety, rzucą okiem w swoją przeszłość i przypomną sobie, jak spędzały wieczory pomiędzy dwudziestym i trzydziestym piątym rokiem życia, zdaje mi się, że za zmarnowanie tych skarbów muszą się rumienić.

I oto, droga Franiu, dobiegam końca listu; w następnym rozważymy, czem dzień pożytecznie wypełnić możesz.

XXIII.

Noga wiekowej osoby. — Dalszy ciąg planu zajęć dziennych. — Wpływ młodości na urządzenie domu. — Ulubione zajęcia. — System głównego rdzenia. — Muzyka pocieszycielką. — Piękność i szlachetność regularnego życia.

Wszystkie zamiary ludzkie, jeśli do ich spełnienia potrzebne jest współdziałanie kilku osób, są zwykle w ich ostatecznym wyniku różnymi nieprzewidzianymi wypadkami krzyżowane i opóźniane. Bo oto, droga Franiu, słyszałaś już o tem, że babka naszego protegowanego, osoba bardzo arbitralna — a to tem więcej, że wszystkie materialne nadzieje Maksa na niej się skupiają — dostała ataku podagry! Jej noga, starannie obandażowana i z nadzwyczajną pieczołowitością na odpowiednim tabureciku oparta, stoi chwilowo na przeszkodzie wszelkim waszym zamiarom. Staruszka, póki cierpi, nie chce myśleć o niczem innem. Cóż robić, Franiu?

Powiedziałem ci to już w poprzednim liście: trzeba doskonalić się wciąż i spełniać sumienie swoje codzienne obowiązki. Jakto, czy

i marzeń się wyrzec?... Niekoniecznie; ale i marzenia nawet w pewne karby ująć należy. Niezadługo będziesz już wolna; skończysz nauki i być może, że niedalekie jutro przyniesie ci spełnienie życzeń, a z nimi tytuł mężatki. Dołączmy zatem planu zajęć tej szczęśliwej przyszłości, która według twego zdania zwleka z przyjściem, jakkolwiek w rzeczywistości zbliża się ona ku tobie z taką szybkością, z jaką potem uciekać będzie, gdy zatrzymać ją zapragniesz.

Zgodziliśmy się już, Franiu kochana, na tym punkcie, że nie można prowadzić regularnego trybu życia, jeśli godziny snu nie są ustalonymi. Rozwijając trochę sens przysłowia łacińskiego zdecydowaliśmy, że osiem godzin spoczynku powinny zdrowemu organizmowi wystarczyć, a ilość ich może być nawet od czasu do czasu przez późniejsze położenie się zmniejszona, ale godzina wstania, przynajmniej w okresie jednego sezonu, żadnej zmianie ulegać nie powinna. Obecnie naszym zadaniem jest rozdzielić czas pozostały pomiędzy pracę przymusową, pracę dobrowolną i rozrywki.

Przymusową pracę nazywam to zajęcie, które nam nasze stanowisko narzuca, a niema takiej jednostki, na jakimkolwiekby szczeblu drabiny towarzyskiej ona stała, któraby nie miała swoich obowiązków do spełnienia.

W twoich czasach jakież jest to przymusowe zajęcie, które wkłada na ciebie twoja rola w świecie, zaledwie skończysz pensję?

Przedewszystkiem praktyczne obeznanie się z obowiązkami pani domu... Jakże miłe dla przyjacielnego oka zjawisko przedstawia dom, gdzie poprzez dawne przyzwyczajenia zaczyna się przebijać świeży wpływ panienki, tylko co wyszłej z pensyi. W bardzo prędkim czasie umeblowanie, nakrycie stołu, przyjęcia zmieniają swój charakter... Tradycyjne zwyczaje tracą na surowości i mimowoli skłaniają się ku zmianie.

Różne drobne braki w urządzeniu, znoszone ze spokojem przez rodziców, bo nie chciało im się uczynić odpowiedniego wysiłku, by niewygodę usunąć, niecierpliwą młode stworzonko, które nie żałuje trudu, i oto widzimy je, jak zмага się po raz pierwszy z prozaicznymi szczegółami gospodarstwa domowego i czuje się za nie odpowiedzialnem... Jeżeli przedmioty płaczą łzami, o których wspomina poeta, jakimże niepokojem drżeć muszą z powodu przybycia do domu młodego dziewczęcia i te poważne mahonie, i te niezdarte rypsy, i te zegary marmurowe z figurkami z fałszywego brązu, i te jadalnie, przyciemnione ponuremi rzeźbami, które w przeszłym wieku, zanim zaświtała nowa sztuka dekoracyjna, tak bardzo modne były!... I oto gust współczesny zaczyna się pomału zaznaczać: ciężkie meble zostały usunięte, jasne obicia zastępują ciemne barwy; stare firanki, które tak uparczywie broniły dostępu promieniom słońca, zamieniono na przezroczyste tkaniny i delikatne jedwabie; czarne ze starości rzeźby otrzymały nową,

białą, blado-zieloną lub perłową szatę; sztuka, młodość i światło wkraczają jednocześnie w progi starego domostwa...

Pomimo nieuniknionych omyłek jakże godnem uznania jest to dążenie do ulepszeń! Przystoi ono tylko młodości. Starzy są albo zmęczeni, albo zapatrują się na wszystko sceptycznie. Młode dziewczę odświeża urządzenie i zarząd domu, i to jest robota, która jest jej bezpośrednim obowiązkiem... Jednakże, Franiu, poprzestać na spełnieniu go i wolny poza ten czas poświęcić rozrywce, byłoby jeszcze zmarnowaniem chwil bardzo pięknych. Dobrowolne obowiązki dziewczęcia, które na pewien okres czasu, zawarty pomiędzy ukończeniem pensyi i zamążpójściem, do domu wróciło, powinny być bardzo rozległe.

Młode panny traktują obojętnie owo stadium, które dzieli ich życie szkolne od małżeństwa, i marzą jedynie o tem, by je możliwie najkrótszem uczynić... I ty, moje dziecko, jakkolwiek dar przewidywania i pewną równowagę usposobienia przyznać ci trzeba, nie błogosławisz mnie bynajmniej, gdy przekonywam cię, że jest to czas nieoceniony, i że o ile jestem zwolennikiem wczesnego wydawania zamąż takich postępów, jak ty, panienek, o tyle popieram również gorąco zasadę, żeby nie poświęcać przyspieszonemu małżeństwu spędzonego w rodzinie, przygotowawczego okresu... Rada nie rada musisz wysłuchać moich zapatrywań, które popierają wszystko to, co mówiłem o dobrych stronach

długiego narzeczeństwa... Tak, Franiu, dwa lub trzy lata, spędzone pod dachem rodzicielskim wtedy, gdy »nauki« już się ukończyło, jeśli są umiejętnie spożytkowane, mogą wyjść bardzo na korzyść. Młode dziewczę wkłada się do wszelkich zajęć praktycznych, przyucza się do obowiązków pani domu, a jednocześnie dopełnia swego wykształcenia. Taine mówi (a przytoczyłem ci powyżej to jego zdanie), że umysł ludzki wydaje najpiękniejsze kwiaty pomiędzy szesnastym i dwudziestym trzecim rokiem życia. Najwyższy intelektualny rozkwit dziewcząt rozpoczyna się mniej więcej właśnie w tym czasie, nie trwa jednak tak długo: koło dwudziestego pierwszego roku »okres Taine'a« dobiega końca; późniejsze kwiaty są rzadkie, a swojem krótkotrwałem istnieniem jesień już przypominają. To też można śmiało twierdzić, że ta kobieta, która nie przeszła przed zamążpójściem okresu takiego, gdzie się douczała i na pracy myśli niejedną spędzała chwilę (zależy to od jej zdolności), nie będzie już nigdy posiadać kultury... Życie mężatki jest tak pochłonięte przez obowiązki, albo rozrywki, że na rozpoczęcie wszelkich zajęć umysłowych nie zdobędzie się ona nigdy. Oto gdzie należy szukać przyczyny faktu, że tyle młodych panien, które za zdolne i inteligentne uchodziły, zamienia się po zamążpójściu w ograniczone i leniwe modnisie, lub gadatliwe a powierzchownie wszystko traktujące sroki.

A więc, Franiu, gdy uzyskasz z pomocą Bo-

ską pozwolenie rodziny i cieszyć się będziesz w roku przyszłym słodkim tytułem narzeczonej, trzeba będzie rozważyć, jak zużytkować pożytecznie chwile, które poza zajęciami gospodarskimi, poza szyciem — czyli zręcznem odrobieniem bluzki albo kapelusza — poza towarzyskimi stosunkami i korespondencją zbywać ci będą. Wszystko to razem nie powinno zająć więcej nad pięć godzin; jeśli dodasz do tego cztery, które poświęcić musisz ubieraniu się i posiłkowi, masz jeszcze do rozporządzenia siedem na upodobaną przez siebie pracę i rozrywki.

Spędzaj swobodnie trzy godziny; pozostałe cztery zato użyj na codzienne a stopniowe doskonalenie się.

Cztery godziny! Dłużej pracować umysłowo nie podobna... A jest to czas, który jeśli będzie poświęcony rozmyślaniom i notatkom, wystarczyć może do napisania pamiętników Saint-Simon'a...

Jakże użyjesz, Franiu, tych czterech nieoszacowanych godzin?... Upprzedzam cię, że jeśli zapragniesz zapełnić je kształceniem się na sposób zakładu Berquin, czyli metodą encyklopedyczną a powierchowną, dobrych nie osiągniesz rezultatów. Trzeba raczej przyjąć za punkt wyjścia, że posiadasz już jasne o wszystkim pojęcie i jedynie sprawdzanie i pogłębianie wiadomości masz przed sobą. System, który ci zalecam, jest ten, byś sobie wybrała według upodobania i według

wskazanych ci już w okresie szkolnym zdolności jaką sztukę, albo pewną gałąź wiedzy i starała się dojść w nich do możliwego stopnia doskonałości, nie zaniedbując przytem umiejętności, które poboczny z nimi mają związek. Niedługi przeciąg czasu wystarczy, by ci udowodnić, że nie można posiadać doskonale jednego tylko przedmiotu, jeśli się o wielu jeszcze rzeczach niema względnego pojęcia, i że dokładne poznanie pewnego odłamu nauki pociąga za sobą zrozumienie innych.

W ten sposób twoja ogólna kultura skupi się i rozwinie naokoło rdzenia wiedzy specjalnej, która za punkt wyjścia dalszemu rozwojowi służyć będzie, a jest to główną zasadą każdego starannego wykształcenia.

Naprzykład: twoje upodobanie i zdolności czyniły cię pierwszą uczennicą w zakresie historii... Niechże zatem gruntowna znajomość tego przedmiotu stanie się osią, około której dalsza praca obracać się będzie. Przy historii ileż się nawinie pytań z geografii, sztuk pięknych, nauk ścisłych, literatury! a ponieważ odpowiedzi oprzesz na gruntownie posiadanej wiedzy, staną się one z kolei rzeczywistym umysłowym dorobkiem. Tenże sam system zalecam ci przy opracowywaniu historii: wybierz epokę, która służyć będzie za ośnowę innym, w niej swe źródło mającym, i w ten sposób prowadź dalej rozpoczęte studia. Wszak nieinaczej postępuje nie-

omylna natura, a przykład jej godzien naśladowania.

Do tych poważnych wiadomości, które nabywać będziesz, dodasz uprawianie ulubionej sztuki. Wiem, że masz zamiłowanie do muzyki, a ponieważ na zdolnościach ci nie zbywa, warto jest nad nią pracować. Gdybyś w tym kierunku przez naturę obdarzoną nie była, radziłbym ci raczej poprzestać na jakiej drugorzędnej artystycznej zabawce, gdzie dobra wola wystarcza. Do takich zaliczam fotografię, intrologatorstwo, piękne roboty... Niema celu w smarowaniu lichych obrazów, tworzeniu marnych poezji, lub parodowaniu arcydzieł muzycznych. Traktować nieumiejętnie wielką sztukę jest zawsze zajęciem głupim i niewdzięcznym.

Ponieważ ty, Franiu, posiadasz do muzyki zdolności i zamiłowanie, nie dopuść-że do tego, by przeszły one pomału w lenistwo i obojętność. Ze wszystkich sztuk pięknych, ta bogini tonów największe przynosi z sobą ukojenie, albowiem jest to artyzm, który samem już wykonaniem bezpośrednią sprawia rozkosz. Ten zespół pomiędzy wysiłkiem i wrażeniem wytwarza nastrój, który, stosownie do woli grającego, raz podniecająco nań oddziaływa, to znów kojącym mu jest balsamem. Szczęśliw ten, komu danem jest rozumieć i posiadać tę sztukę, która prawdopodobnie przed wszystkimi innymi człowiekowi się objawiła!

Pragnąc наконец zaokrąglić ten program

jakąś radą, dodam, że trzeba, żebyś zostawiła sobie, Franiu, trochę czasu na jakieś skromne zajęcie umysłowe, które, nie wymagając wielkiego wysiłku, dałoby ci jednak możliwość w godzinach troski szukania w pracy zapomnienia.

Zaliczam do tej grupy wszelkie kolekcjonowanie, zbieranie notatek, a nadewszystko naukę staro- albo nowożytnego języka. Czytać nieznaną książkę ze słownikiem w ręku, zapisując na marginesie słowa, które wyszukiwać należy, oto cudownie uspokajający środek w tych chwilach, gdy umysł, zdręczony troską, odmawia posłuszeństwa... Po roku takiej wytrwałości spostrzegamy ze zdumieniem, że posiadamy jeden język więcej.

...Nie trzeba, drogie dziecko, żebyś pokazywała ten list swoim towarzyszkom. Niektórym, o duszy płoczej a nierozważnej, wydałby się zbyt prozaicznym i nieomieszkałyby drwić z nas obojga... Pozostaw im ich pozowanie na fantazyę i romantyczność, które wiedzą zwykle do banalnej i pospolitej intrygi. Ty, Franiu, pozostań wyznawczynią porządku i życia prowadzonego według ściśle zakreślonych prawideł, które ci własna wola narzucić powinna. Wierz mi, że nie wyłącza to bynajmniej niespodzianek, lecz je napewno uszlachetnia... Przecież i w przyrodzie, która się rządzi tak niewzruszonymi prawami, burze i kataklizmy piękności nie są pozbawione.

XXIV.

Pewna niedziela wiosenna. — Maks po cywilnemu. — Młodość i Sarcey. — Zdobywca serc. — Stan układów. — Ktoś, co nie lubi długiego narzeczeństwa. — Rozprawy o energii. — Ambicya Maksa. — Obietnica małżeństwa.

Ubiegłej niedzieli, około godziny trzeciej po południu, gdy sprawdzałem właśnie na termometrze, że upał dochodzi do 29° Celsjusza w cieniu, usłyszałem w przedpokoju odgłos dzwonka... Udałem się do mojego gabinetu i znalazłem się oko w oko z młodym człowiekiem, który wszedł przeciwległymi drzwiami. Miał on na sobie bardzo zwyczajny popielaty garnitur, wydający się jednak wykwintnym na jego zręcznej postaci. To ubranie zmieniało go cokolwiek, to też nie poznałem go od razu, tembardziej, że do tej pory nie widywałem go zbyt często, a jeżeli — to zawsze w mundurze.

— Jestem Maks Despeyroux, brat Lusi... — przemówił on do mnie pewnym głosem, w którym chęć podobania się przebijała w jakiejś pełnej szacunku modulacyi. Mam nadzieję, że panu nie przeszkadza?... —

— Bynajmniej — odpowiedziałem — siadaj pan, proszę, i mów, czemu zawdzięczam przyjemność widzenia cię u siebie?...

Zajął miejsce naprzeciwko okien, gdy ja starałem się usiąść w sposób, któryby mi pozwolił na możliwie dokładną obserwację. Po chwili, w zwrotach bardzo zręcznych i na wyuczone z góry nie wyglądających, zaczął mówić, że może nieogłędnie trochę skorzystał z urlopu, żeby złożyć mi wizytę, że wiedziałem już, jakie drogie jego sercu sprawy sprowadzały go do mnie. Z drugiej strony, ponieważ znał on wpływ, jaki wywierałem na panią Le Quellien, przychodził po to, żeby usłyszeć, czy naprawdę jestem zwolennikiem jego zamiarów matrymonialnych.

Przez ten czas bacznie mu się przyglądałem i słuchałem brzmienia jego głosu więcej jeszcze, niż tego, co mówił. Podziwiałem młodość tryskającą z tej twarzy bez obrzęku, i zmarszczek, o oczach pełnych blasku, o gładkiej i mocno opalanej cerze, od której wspaniale odbijały olśniewająco białe, jak u młodego wilka, zęby; wreszcie i cała silna a przez codzienne fizyczne ćwiczenia wygimnastykowana postać zwracała moją uwagę. Piękna a krótkotrwała młodości, jakże podatną jesteś do zuchwałych przedsięwzięć! Po chwili takiego trochę zazdrośnego podziwu, sam nie wiem już jakim sposobem, myśl moja zwróciła się ku mojej własnej przeszłości.

Oczyma duszy ujrzałem siebie samego, gdy

przed wieloma już laty poszedłem do Sarcey'a podziękować mu za przychylną krytykę mojej pierwszej powieści. Okrzyk prawie gniewny, wydany przez niego przy powitaniu, brzmi mi jeszcze w uszach: »Mój Boże!... Jakież pan jesteś młody!« Przypatrując się Maksowi, zrozumiałem nagle, jak rażącym bywa niekiedy taki wygląd, który uderza swoją promienną młodością. To zupełnie tak, jak gdyby milioner nosił z sobą swój dobrze wypchany worek i przechwalał się nim... Następnie pomyślałem o tobie, Franiu, i o tem, że podobać się tobie i stać się dla ciebie upragnionym towarzyszem w wędrowce ku szczęściu — to los równie godny zazdrości, jak gdy się wyda powieść, która zadowoliła Sarcey'a, albo gdy się jest panem Pierpont Morgan, sławnym miliarderem amerykańskim...

Wszystkie te myśli przeleciały mi przez głowę nierównie prędzej, niż potrafiłem je opowiedzieć; Maks pozwalał mi na to, wykładając szczegółowo powody swojej wizyty i przeplatając je komplementami, skierowanymi ku mojej pisarskiej działalności... I miałem nawet tyle czasu, by zauważyć ujmujący wdzięk jego ruchów i rzeczywistą łatwość wysłowienia się: co prawda, ten młody człowiek posiada wszystkie warunki na to, by się podobać. Wszak na razie spoglądałem na niego niechętnym okiem, lecz nie upłynęło i dziesięciu minut, w których Maks snuł gładkie słowa — a imię twoje powtarzało

się przytem bardzo często — gdy w głębi duszy myślałem:

»Ty, mój przyjacielu, potrafisz wymódl na mnie wszystko, czego pragniesz, czyli raczej czego pragnie ta przebiegła Frania. A jednak ja widzę, że trochę nienaturalnem jest to, co do mnie mówisz, i wiem czemu tak postępujesz. Drwisz sobie w gruncie rzeczy z mojej literackiej działalności, a moją korespondencję z twoją nareczoną uważasz — in petto — za śmiesznie oklepane frazesy. Jeżeli ożenisz się z Franią, pierwszym twojem staraniem będzie wyzwolić ją z pod tego, co dzisiaj »drogocennym wpływem« nazywasz. Wiem to wszystko, czuję przytem do ciebie żal o to, że masz lat dwadzieścia trzy i że chcesz nam zabrać Franię, a jednak zrobię to, czego pragniesz, będę dążył wszelkimi siłami do spełnienia twoich życzeń. Postaram się natchnąć panią Le Quellien ufnością w przyszłość, jakkolwiek jej sam nie posiadam. Dam się tobie prowadzić tak, jak pozwalam Frani rządzić mną według jej fantazyi, ponieważ i ty i ona posiadacie niezmogłą siłę młodości, która rwie się do szczęścia!«

...A zatem, drogie dziecko, twój konkurent wyłożył mi w słowach nader gładkich stan układów, dotyczących was obojga. Zreumatyzmowana babcia, która przez swój podagryczny atak trzymała wszystko w zawieszeniu, zaczynała przychodzić do zdrowia i porozumienie się z nią stawało się możliwem. Familijne narady rozpoczęły

się na nowo; te słowne zapasy, wzruszające w gruncie rzeczy, bo natchnione uczuciem altruizmu — zapasy w widokach ułatwienia przyszłości dzieci — z różnym przebiegiem dalej się toczyły. W rezultacie obie strony są bliskie ostatecznej zgody... Twoja matka oświadczyła zupełnie niespodziewanie, że powiększa o jedną czwartą twój skromny posag. Zaczyna pani Le Quellien, dzielny przykład tej wytrwałej oszczędności, której żadne zmartwienie, ani mierny byt nie przeraża! Wobec tego zreumatyzmowana babcia wzięła sobie za punkt honoru, by jej dorównać i popuściła więcej mieszka na korzyść swego wnuka, pięknego wychowanka szkoły Saint-Cyr. Słowem, sprawy materialne układają się jak najlepiej, pozostaje za to kwestya wazszego wieku, co do której pani Le Quellien była nieubłagana. »Frانيا jest za młoda, żeby wyjść za mąż przed dwoma laty«, twierdziła... »A Maks może również bardzo pożytecznie spędzić ten przeciąg czasu i zdala od kłopotów małżeńskiego pożycia poznać dokładnie swój zawód, w którym spoczywa cała jego przyszłość...«

Otóż, Franiu moja, nie zdziwi cię zapewne, gdy powiem, że nasz kochany Maks nie podziela opinii twojej matki. Ten kandydat na bohatera nie jest zwolennikiem długiego narzeczeństwa, i nie krył się wcale z tem, że właśnie celem jego wizyty było przeciągnięcie mnie na swoją stronę.

— Osądź pan sam — mówił on do mnie, czy

ma rację bytu takie powiedzenie: »Kochacie się z Franią, bardzo to pięknie; wasi rodzice porozumieli się już między sobą i przyzwolili na wasze małżeństwo, a teraz powróćcie każde do domu, i ty, mój kawalerze, staraj się spokojnie o to, by być dzielnym oficerem, a Frania niech pozostanie nadal dobrą panienką. Za dwa lata pobierzecie się!...«

— Jakiż? Ależ dla nas to dwa lata straconego życia. Cóż ja będę robił w przeciągu tego czasu? Mam pracować nad moim zawodem?... A czy można wierzyć w to, że oddam mu się całą duszą, gdy myśl moja będzie całkowicie pochłonięta tem, że Frania jest daleko, i że pragnąłbym być z nią razem. Przecież szczęście nie przeszkadza w pracy, przeciwnie, sprzyja jej nawet. Będę do niczego, póki mnie ten niepokój nurtować będzie. Proszę, bardzo proszę, niech pan będzie tak dobry i przemówi za mną do pani Le Quellien... Pojmuję, że mamy czekać ze ślubem aż do chwili, gdy ja skończę Saint-Cyr, a Frania wyjdzie z pensyi (on to pojmuje, ten kochany Maks! Jakiż on rozumny!...) Sądzę wszakże, że pierwszym naszym samodzielnym czynem powinno być małżeństwo. Przecież celem naszego życia jest szczęście we dwoje. Pocóż z nim zwlekać? Dlaczego nie puścić się w drogę od razu? Ludzie, którzy zamierzają jechać do Ameryki, nie czekają dwa lata z tem, by się na statek!

Maks zapalał się coraz bardziej; stwierdza-

tem, że przemawia on teraz z daleko gorętszym przekonaniem, niż wtedy, gdy mówił o moich książkach. Istotnie, Franiu, ten młody rycerz nie odnosi się do ciebie obojętnie. Uważałem jednak za stosowne zwrócić jego uwagę na kilka kwestii praktycznej i moralnej natury, z którymi, jak mi się zdawało, nie rachował się zupełnie.

— Kochany panie, — rzekłem doń — wypowiedziałeś przed chwilą wyrazy o szczęściu we dwoje, które mnie wzruszyły, a twoja niecierpliwość wydaje mi się nawet sympatyczną. Ponieważ jednak jesteśmy sami a pani Le Quellien i Frania nie słyszą nas, pozwól, że jak mężczyzna mężczyźnie zadam ci parę pytań: Czy rzeczywiście wierzysz w to, że szczęście we dwoje powinno być celem twojej teraźniejszej działalności?

Maks nie zawahał się z odpowiedzią ani chwili i odrzekł:

— Tak, panie, takiem jest moje przekonanie.

— Nie myślisz pan zatem — ciągnąłem dalej — że ambicya młodego człowieka twojego wieku powinny wybiegać poza ciasne ramy rodzinnego życia? Jesteś pan żołnierzem, czy lubisz ten zawód?

— I bardzo.

— A więc, przypuszczam, że masz jakieś zamiary i w jego również zakresie... Zapewne pragniesz pan odznaczyć się, stać się sławnym?...

Maks pokiwał głową.

— Jeśli mam prawdę powiedzieć, to nie lu-

dzę się bynajmniej co do mojej przyszłej kariery. Albo uda mi się dożyć jakiej wojny i wtedy, chyba mi dyabeł wszedł w drogę, bo inaczej zrobię dobry skok naprzód, albo nie będzie wojny, a w takim razie nie znam sposobu na to, bym awansował prędzej, niż moi towarzysze... Niczyjej niema w tem winy... Wszystkie duże armie jednakowo w tym wypadku postępują, to też mogę panu z góry powiedzieć i zapewnić, że na całości i o trzy lata się nie omylę, w jakich okresach czasu będę porucznikiem, kapitanem, pułkownikiem, naturalnie wyjąwszy, gdyby wybuchła wojna... Gdzież w tych warunkach pole dla ambicyi?... Pozostaje po prostu spełniać sumiennie swoje obowiązki, a powtarzam panu, że zawód mój lubię.

Pomyślałem chwilę, następnie przemówiłem znowu:

— Zgoda na to! Pozostawmy na boku ambicyę na punkcie kariery... Ale pan jesteś nie tylko oficerem, lecz przede wszystkim człowiekiem. Posiadasz zapewne chęć kształcenia swego umysłu, doskonalenia się — w najobszerniejszym tego słowa znaczeniu. Prawdę mówiąc, jest to przecież obowiązkiem każdego. Nie sądzisz pan, żeby to było równie ważnym zadaniem, jak szczęście we dwoje?

Maks uśmiechnął się trochę ironicznie.

— Według mego zdania — odpowiedział — można doskonale pracować nad sobą i wtedy, gdy się jest szczęśliwym w małżeństwie.

Szczęście domowe zwykło rozleniwiać człowieka... A przytem odbiegasz pan od przedmiotu... Co jest dla ciebie ważniejsze: być szczęśliwym, czy też być coraz lepszym? O co gorliwiej zabiegać będziesz: o spokój, czy o doskonalenie się?

— Jeśli mam być szczery, postaram się najpierw o szczęście, zapomocą takich zresztą środków, które za zaszczytne uważam: przez założenie rodziny i sumienne spełnianie wszystkich swoich obowiązków. Być może, że się mylę?... Jeśli tak jest, daruj mi pan moją szczerość i nie miej mi jej za złe.

— Nie, młodzieńcze, nie ganię ci twej otwartości. Przedewszystkiem masz dar zdobywania serc i odgadłeś od razu, że wygrywałeś więcej na odkryciu mi swych myśli, niż na wypowiedzeniu jakiej teorii, w której twoja dobra wiara na szwank narażonąby być musiała. Przytem patrzałem już w życiu na tyle niedoszłych zamiarów pomiędzy ludźmi mojego pokolenia, które tak dużo o energii mówiło, że w końcu zadają sam sobie pytanie, czy ludźmi czynu nie są ludzie swojej siły nieświadomi. Wystrzegajmy się tego, by skromny skowronek nie był całą zdobyczą wyprawy, na którą wybraliśmy się uzbrojeni, jak przystało na pogromcę lwów.

O Maksie, cichy, lecz przezorny szermierzu, kto wie, czy laury zdobywcy nie będą twoją nagrodą? Przecież Rostand opowiada, że przed na-

pisaniem »Cyrana de Bergerac« nie marzył nawet o sławie literackiej.

I nagle, patrząc na piękną twarz tego młodzieńca, który chciał jednego tylko — ożenić się z Franią, ale chciał tego z samorzutnością instynktu, pomyślałem, że może to on będzie kiedyś tym świetnym zwycięzcą, którego ta biedna, tak bardzo łaknąca sławy Francya od tak dawna oczekuje.

Bądź spokojna, Franiu, i uspokój Maksa; postaram się wpłynąć na panią Le Quellien, by czas waszego narzeczeństwa nie trwał dłużej nad rok jeden.

XXV.

Wszystko się układa. — Dlaczego Frania była taka uległa. — Radosny czas. — Sztuka znoszenia szczęścia. — Jeszcze regulamin. — Patent Frani. — Czy egzamina są potrzebne? — Spis inwentarza i alarm. — Ewolucja, której ulegnie średnie wykształcenie.

No cóż, Franiu, czy ci nie mówiłem? Zdać się tylko na łaskę czasu i tych, co cię kochają, i oto wszystko ułoży się pomału, według twoich pragnień. Już obie rodziny, Le Quellien i Despeyroux zgadzają się na jedno w kwestyi połączenia mojej powabnej siostrzeniczki z człowiekiem, którego wybrała. Ponieważ jednak jesteście oboje bardzo młodzi, rozsądek waszych najbliższych narzuca wam jeden rok oczekiwania. Z jakim uległym i pełnym wdzięczności wyrazem twarzy przyjąłeś skrócenie tej zwłoki, które dla dogodzenia ci udało mi się wyprosić! Byłem tem nawet trochę zdziwiony i pomyślałem: »Jaka ona rozsądna, ta Frania!...« Co prawda, w parę minut potem, gdy rozmawialiśmy bez świadków, powiedziałaś: »Pojmujesz, wujaszku, żeby mieć

spokój, wolę udawać, że się najzupełniej ich wyrokowi poddaję; jeśli jednak rok zamieni się w sześć miesięcy, mam nadzieję, że dochowasz mi tajemnicy«. Mała obłudnico!... Nie, doprawdy ty nie jesteś nowoczesną Ewą, gardzącą wszelkim najniewinniejszym nawet wybiegiem, jako bronią duchów słabych!...

A więc, uspokoiłaś się już. Ten miesiąc, który oddziela cię od ostatecznego egzaminu i od opuszczenia pensyi, będzie dla ciebie radosną fazą życia. Pozwól, żeby »wuj-mentor«, który zalecał ci, jako środek kojący wszelką troskę, stosowanie twoich dziennych zatrudnień i rozrywek do pewnego, z góry ułożonego regulaminu, do tego samego i w dniach radości cię prowadził...

Czyż szczęścia uczyć się trzeba? Ależ tak, Franiu! Licniejszy, niż przypuszczasz, jest zastęp tych, których radość z równowagi wytrąca. Zaczawszy od szewca z bajki Lafontaine'a, skończywszy na owej służącej, która na wiadomość o wygraniu wielkiego losu padła trupem, ileż ludzi ztraca w dniach szczęścia te zalety, które imi odznaczali się w chwilach niedoli. Zbawieniem jest wszelkie wysilenie, albowiem popycha ono człowieka wciąż naprzód, gdy przeciwnie szczęście dla większości ludzi staje się pewnem osłabieniem sprężystości i zaniechaniem czynu. Nie chciałbym, Franiu, żeby twoja radość ujemnie na ciebie wpływała. Dnie, pełne słońca i te, w których deszcz pada, takie, gdzie nas troska przygniata, albo szczęście skrzydeł nam dodaje,

wszystkie jednak duszę ku dobremu wieść powinny, z warunkiem, by rozumnie zużytkowanymi były.

A nie potrzeba do tego żadnych nadzwyczajności, lecz po prostu sumiennego wypełniania codziennych obowiązków, jednakowo we wszelkich okolicznościach życia. Gdyby ów szewc z bajki w dalszym ciągu swemu rzemiosłu był się oddał; gdyby owa służąca miała duszę na tyle wdrożoną do panowania nad sobą, żeby na wiadomość o wygraniu na loteryi mogła była sobie powiedzieć: »Bardzo dobrze, ale nie przypalmy tymczasem pieczeni«, ten szczęśliwy traf, który się w ich życiu wydarzył, nie wywołałby tak smutnych następstw... Staraj się też, Franiu, nie ustawać w wypełnianiu tego, co ci codzienny regulamin nakazuje, jak gdybyś nie wiedziała o tej radosnej zapowiedzi, którą ci uczyniono. Twoje szczęście nic na tem nie ucierpi, przeciwnie, każde przewyciężenie samej siebie wzmocni je i utrwali. Unikniesz w ten sposób uczucia pustki, nieokreślonego niepokoju, nudy, powiedzmy od razu: rozczarowania i zawodu, które czyhają zwykle na szczęśliwców, obdarzonych przez fortunę tem, czego pragnęli.

Twoim codziennym obowiązkiem jest teraz przygotowanie się do egzaminu... Na przyszły raz powiem ci, co myślę o programie, który musicie przejść, by zdobyć niższy i wyższy patent... Dzisiaj nie masz się co nad jego wartością zastanawiać, lecz po prostu, ponieważ włożono na

ciebie obowiązek złożenia egzaminu, należy pracować nad osiągnięciem tego celu. Wiem, że nie wyobrażasz sobie bynajmniej, by otrzymane przez ciebie rezultaty dawały prawdziwe o twojej wiedzy pojęcie. Słyszałaś już za często i czytałaś w pismach nieraz o tej nowej, współczesnej zasadzie, według której egzamin jest niedorzecznością, którą znieść należy... I im goręcej kto popiera to zapatrywanie, tem słuszniej przypuścić można, że nie ma on najmniejszego wyobrażenia o pedagogice i że grzeszy brakiem zastrzeżenia. Program egzaminu może być źle ułożony, albo szkolnym zwyczajem jego rezultaty przecenione, ale pomimo tych wszystkich usterek, które raczej przystosowaniu zasady, niż jej samej przypisać należy, prawdą jest niezbitą, że egzamin pozostanie po wsze czasy nieocenioną w nauczaniu pomocą i do rzędu chimer zaliczyć trzeba chęć zniesienia go w zupełności.

Samo założenie egzaminu jest znakomite, albowiem z tego źródła i spis inwentarza pochodzi, a wiemy, że ten ostatni jest dopełnieniem i kontrolą wszelkich na dłuższą metę przedsięwziętych interesów, bez względu na to, jaką korzyść pieniężną czy umysłową mają one na celu. Trzeba zawiesić od czasu do czasu czynności, zrobić bilans, sprawdzić dokładnie swój »credit et debet«. A niewątpliwie najlepszym jest ów bez przesadzonej gorliwości, lecz i bez zbytniego pobłażania zrobiony osobisty egzamin, który

Ignacy Loyola szczegółowym rachunkiem sumienia nazywał. Jak niewielu uczniów potrafi się zdobyć na rozumne i szczere roztrząsanie swojej wiedzy! a już wprost przykrego doznajemy wrażenia, gdy odczytujemy przeróżne brednie tych, którzy się w tych kwestyach za oświeconych uważają. »Trzeba dać uczniowi — mówią oni — zupełną w nauce swobodę, bo wtedy zwróci się on bez wątpienia tam, gdzie korzyść dla siebie przeczuje«. Zapominają oni o tem, że większość uczniów, jak również i ludzi, stara się o przepędzenie czasu w sposób, wymagający jak najmniejszego wysiłku. Zapominają, że sam wyraz edukacja jest równoznacznikiem prowadzenia, nadawania kierunku. Jeżeli znajdzie się uczeń, który raz na dzień, albo na tydzień, lub nareszcie raz na rok zrobi sam z sobą przegląd nabytej wiedzy, to taki nie potrzebuje już pedagogów i nauczycieli; można śmiało otworzyć przed nim szkolne podwoje i odesłać go do rodziców, bo kulturą swego umysłu potrafi on napewno umiejętnie pokierować.

Czy znajdzie się wszakże obznajmiony z rozwojem i obyczajami uczniów wychowawca, któryby ten system jako ogólną metodę zalecił? Trzeba koniecznie, by ów spis inwentarza odbywał się pod kierunkiem nauczyciela, i to jak najczęściej, żeby uczeń mógł sobie zdać sprawę z tego, jak stoi w danej chwili, a jednocześnie, żeby mu dać możność zaprowadzenia ładu w wia-

domościach, które mu życie szkolne z dnia na dzień nowe przynosi.

Egzamin, jako spis inwentarza, pożytecznym jest niezmiernie, a odgrywając rolę »alarmu«, nieocenionym okazuje się środkiem. Czy wiesz, Franiu, co to jest alarm? W ciszy nocy, nad uśpionym obozem rozlega się nagle głos trąbki... Ludzie wstają z pośpiechem, wciągają na siebie ubranie, siodłają konie, formują szyki, gromadzą się w oddziały, ustawiają w pułki... Nie odbywa się to bez wzajemnego potrącania i wszystkie niedokładności wychodzą wtedy na jaw. Organizm, doznawszy tak gwałtownego wstrząśnienia, broni się całą siłą swojego dążenia do spoczynku i wtedy alarm pozwala osądzić, czy pułk rozporządza i w jakim stopniu zdolnością wysiłku i gotowością do spełnienia rozkazów... Otóż dla ucznia i uczennicy takim probierczym popłochem jest egzamin. Jakkolwiek są oni doń przygotowani i wiedzą z góry, kiedy ma nastąpić, nagłe pytanie egzaminatora zmusza ucznia do skupienia się w sobie i wykazania najwyższego stopnia pojętności, pamięci, umiejętności i wymowy, co jest zresztą dokładnem odzwierciedleniem życiowych okoliczności, wobec których nagle i niespodziewanie te same zalety odnaleźć trzeba. Każdy, kto przechodził egzamina, przypomni sobie zapewne fakt, gdy nieprzewidziane pytanie ujawniło mu nieumiejętność na takim punkcie, na którym sądził się być zupełnie pewnym siebie...

Nauczyciel nie może zaradzić takim niespodziankom, bo zarówno w umysłowej, jak i w ręcznej szermierce trzeba odróżnić lekcję od ataku. Natarcie wtedy tylko prawdziwy przynosi pożytek, gdy od nieznanomych pochodzi przeciwników.

Widzisz zatem, droga Franiu, że niepodobna odmówić racji bytu zasadzie, na której opiera się egzamin, będący przy nauczaniu znakomitym środkiem pomocniczym... Jakże się to stało, że stopniowo coraz więcej umysłów nabrało uprzedzenia do tego tak racjonalnego i pożytecznego sposobu postępowania?... Fałszywe przystosowanie samej w sobie dobrej zasady jest prawdopodobną tego przyczyną, a w tem ustawicznym wysuwaniu na pierwszy plan środków cel egzaminu zatracił się w zupełności.

Egzamin jest więc spisem inwentarza i alarmem, ostatecznem jednak dążeniem przemysłowca nie jest szybkie sprawdzenie ilości towaru, a i pułkownikowi nie wystarcza wdrożenie swego pułku w czujność. Główną pobudką ich działalności jest postęp; trzeba, by przemysłowiec powiększał swój interes, a pułkownik niech swoich żołnierzy zaprawia do czynów w taki sposób, żeby w odpowiedniej chwili zapisał u nich wywołać potrafił. Otóż w dzisiejszych szkołach zwyczajem jest powszechnym uważać egzamin za ostateczny cel nauczania. Uczą po to, by egzaminować, zamiast uważać

tę próbę tylko za środek w nauce pomocniczy i nabyte wiadomości utrwalający. Przecież to jest taki wyraźny przewrót naturalnego porządku rzeczy, że wszystkich to razi: i rodziców, i ucznia, i nawet egzaminatorów.

Wszyscy, sądzeni i sądzący, zgadzają się na jedno, że system jest niedorzeczny, wszyscy jednak przez jakąś dziwną sprzeczność dokładają usiłowań, by go trwalszym uczynić... Codziennie wzrasta się liczba egzaminów i kandydatów, do nich przystępujących... Na ten raz pozostawiam na boku kwestję programów, o której z tobą w następnym liście pomówię. Będziesz już wtedy w posiadaniu patentu i nie będę miał skrupułów, obrzydzając ci strawę, którą zniewolona jesteś w tej chwili spożywać. Wiesz jednak sama, że owa sprzeczność kieruje także ułożeniem tego nieszczęsnego planu; wszyscy narzekają na jego przeciążenie i nielogiczność i wszyscy starają się z roku na rok uczynić go trudniejszym i więcej zagmatwanym.

Jak ma postępować wśród tego chaosu osóbką twojego wieku i twojego stanowiska, którą rodzina i nauczyciele nakłaniają do uzyskania dyplomu? Mój Boże! powinna zachować się tak, jak ten dobry obywatel, który rozumie braki istniejących praw, wiedziony jednak miłością ojczyzny ulega im w imię porządku.

Przygotuj się więc jak najpilniej i zdaj egzamin możliwie świetnie; nie zapalaj się jednak

zbytnio do tego zwycięstwa, a raz odniesione, niech ono w tobie próżności nie rozbudzi. Nie twoje to pokolenie skorzysta z tej szkolnej reformy, której wszyscy z takim oczekują upragnieniem.

XXVI.

Egzamin. — Wyborne znalezienie się Frani. — Inna kandydatka. — Brzydota Aleksandry. — Gromada stawonogich, ułamki, pryzmat. — W jaki sposób Frania rządzi plcią męską. — Powrót w letnie popołudnie. — Frania, jako uosobienie zdrowia, młodości i szczęścia. — Odosobnienie i medytacje. — Naiwność pani Rochette. — Początek i koniec.

A więc, Franiu, ten szkaradny egzamin już minął i oto jesteś w posiadaniu patentu! I, do prawdy, wyszłaś zwycięsko z tej próby. Nie uciekając się bynajmniej do olśniewania sędziów ogromem wiedzy, wykazałaś od razu inteligencję i zupełnie wystarczającą kulturę. Przytem, niema co mówić, posiadasz ten cudowny dar, którego się nie nabywa — władzę. Obserwowałem cię, gdy ubrana w ciemno-popielaty kostyum, w elegancki, lecz nie zanadto wykwintny kapelusik, stałaś przed stołem przykrytym zielonem suknem i wykladałaś przed egzaminatorem swoją wiedzę. W chwili, gdy on zadawał ci pytanie, nie odwracałaś od niego spojrzenia swoich szarych

oczu. Ten wzrok nie miał bynajmniej wyzywającego charakteru, o wcale nie! nieśmiały jednak albo błagalnym nie był on także. Wyrażał raczej ciekawość i pewność siebie, jak gdyby chciał powiedzieć: »Mój panie, nie wyobrażaj sobie, że czuję się na twojej łasce dlatego, że mnie egzaminujesz. Ja muszę zdać egzamin, więc na nic się nie zdała twoja chęć zmieszania mnie... Nie spleataj-że mi figla i nie zadaj mi przypadkiem jakiego niewdzięcznego pytania, na które właściwej odpowiedzi daćbym nie potrafiła... Ja proszę o jasno określony i niezbyt trudny temat...« I, dalibóg, pełen powagi profesor stosował się powolnie do twojego życzenia... Zaniedbawszy wszelkiej drobiazgowości i przekory, słuchał cię ze spokojem, jak gdyby twój egzamin był dla niego chwilą wypoczynku. Pozwalał ci mówić, nie męcząc cię, lecz nie dając ci równie sposobności do odznaczenia się. Myślał widocznie: »Ta uczennica otrzyma patent napewno, odpocznijmy sobie...« Skończyłaś recytowanie swojej odpowiedzi, obustronny pełen dobrej wróżby ułkon został zamieniony i na tem koniec. Jaka ty jesteś szczęśliwa, moja Franiu!

Nie wszystkim pannom, które przystępowały tego dnia do egzaminu, powiodło się równie dobrze... Jedna z nich zwróciła szczególniej moją uwagę i wzbudziła litość; podczas gdy ty, Franiu, oczekiwałaś na wiadomości o wynikach egzaminu, oddałem się śledzeniu jej smutnej odysei...

Była to panienka mniej więcej twego wzro-

stu, a jakież zupełnie inne, niż ty, droga Franiu, robiąca wrażenie! Jeżeli rzeźbiarz Boski przeznaczył na utworzenie was obu jednakową ilość gliny, to trud, jaki sobie zadał, by was wymodelować, wielką przedstawiał różnicę. Panna Aleksandra F. — dojrzałem jej nazwisko na liście — przypominała mi niektóre włościanki z okolic du Berry: twarz mała o rysach niewyraźnych i brzydkiej cerze, blond włosy bez koloru, figura płaska bez wcięcia, duże nogi, niezgrabne ręce. Ułożenie jej było nad wyraz niezręczne; nie wiedziała, co robić z rękami, które były w ustawicznym ruchu, jak gdyby zamierały wykonać jakiś gest, lecz powstrzymane onieśmielającym instynktem zatrzymywały się nagle... Ubrana w suknię zielono-oliwkowego koloru, w ciężki aksamitny kapelusz, z pod którego pot spływał grubemi kroplami, Aleksandra trzymała się najchętniej na uboczu, żeby mógł swobodnie zajrzeć raz jeszcze do swoich notatek i podręczników, które gorączkowo przerzucała. Widać było, jak zgięta nad nimi we dwoje starała się na prędkę wypełnić pamięciowe luki i braki swojej wiedzy, zupełnie, jak ten zapóźniony przedsiębiorca w przededniu inauguracji... Miałem, doprawdy, ochotę zbliżyć się do niej, odebrać jej z rąk zeszyt i powiedzieć: »Ależ odpocznij, dziecko! Obecne douczanie się nie ma najmniejszej wartości, a zużywasz nadaremnie siłę nerwów, której zabraknie ci za chwilę, gdy jej naprawdę potrzebować będziesz...« Ten osta-

teczny przegląd jej ubogiej wiedzy zaabsorbował ją do tego stopnia, że nie dosłyszała, gdy z nadejściem chwili egzaminu wygłoszono jej nazwisko. Trącenie towarzyszki obudziło ją jakoby z ciężkiego snu, minęła jednak chwila, zanim zorientowała się, gdzie się znajduje, i wtedy chwiejąca się, z wytrzeszczonymi oczyma, zbliżyła się do trybunału wiedzy, gdzie już niecierpliwił się sędzia-egzaminator...

Ze spojrzenia, którem zmierzył kandydatkę na patent, zrozumiałem, że rzeczy zły obrót dla niej wezmą. Prawie nienawistnym był ten wzrok znużonego nad wszelki wyraz człowieka, któremu skradziono parę minut jego tak drogiego czasu; dostrzegłem przytem na jego twarzy ironię, zdającą się mówić: »No, ty to mi przynajmniej zapłacisz za moje zmęczenie i nudę; pobawimy się tobą trochę...« Niestety! dopóki istnieć będą sędziowie i egzaminatorzy, znajdą się zawsze pomiędzy oskarżonymi i kandydatami na patent ofiary i kopciuszki, na których profesor i sędzia wywierać będzie swoje zdenerwowanie, nie pomyślawszy ani na chwilę, że grzeszy tem przeciwko sprawiedliwości...

Aleksandra robiła rozpaczliwy wysiłek, żeby patrzeć na swego kata z ujmującym i pełnym pokory uśmiechem, lecz osiągała ten tylko rezultat, że brzydki grymas wykrzywił jej usta.

— Niech pani będzie łaskawa — tonem niezmiernie grzecznym przemówił egzaminator — wytłómaczyć mi podział stawonogich na gromady.

Twarz Aleksandry zmieniła się i ukazał się na niej prawdziwy wyraz rozpaczy. Stawonogie! Cóż to za jakieś pytanie dla niej wynaleziono!... Zrobiła wszakże wysiłek, zebrała resztki przytomności umysłu i wyjąkała:

— Stawonogie... stawonogie... to są chrabąszcze... raki... i... (chwila milczenia, potem rozpaczliwie:) i chrabąszcze.

Egzaminator uśmiechnął się ironicznie i odpowiedział:

— Nie, pani.

To krótkie »nie« zmieszało do reszty niešťczęsną dziewczynę. Nastąpił moment przykreciszy, poczem Aleksandra zaczęła mówić dalej niepewnym głosem:

— Chrabąszcze... raki... i skorupiaki... to są stawonogie.

Egzaminator wzruszył ramionami. Następnie, wzięwszy nóż do przecinania papieru, zagłębił się w oglądanie go, jak gdyby to był bardzo ciekawy okaz sztuki. Aleksandra nabrała trochę odwagi, gdy przestał na nią patrzeć.

— Chrabąszcze! — wykrztusiła znowu, nie spostrzegając, że nawet widzowie zaczynali się z niej wyśmiewać, — to są owady, które podlegają kilkakrotnym przeistoczeniom. Zaczawszy od jajka, przechodzą w coraz lepiej rozwiniętą poczwarkę, by stać się wreszcie skończonym owadem...

I w ten sposób mówiła coraz dalej, nabierając wymowy i pewności siebie i opisując recy-

tującym tonem wszystkie odmiany chrabąszcza. Zatrzymała się dopiero wtedy, gdy wyczerpała cały swój zasób wiedzy.

— To już wszystko? — zapytał egzaminator.

Odpowiedziała potakującym ruchem głowy.

— Pani uczysz się na pamięć — zawyrokował w końcu ironiczny mąż. — Ale to, co mi pani powiedziałaś przed chwilą, nie ma najmniejszego związku z zadaniem przeze mnie pytaniem. (Wolno nakreślił stopień na leżącym przed nim arkuszu papieru). Niechże mi pani teraz powie, co się stanie z ułamkiem, jeśli pani dodasz jedną i tę samą liczbę do obu jego wyrazów?

Na ten raz nastąpiło już — ostateczne pograżenie nieszczęsnej Aleksandry. Spróbowała wprawdzie wypowiedzieć kilka twierdzeń o ułamkach, przerwano jej jednak i zażądano ścisłej odpowiedzi na postawione pytanie, a takowe najwidoczniej przekraczało jej kompetencję... Przeszli następnie do fizyki; wypowiedziała ona wtedy parę słów o pryzmatach, rozszczepiających promień światła na wszystkie kolory tęczy, zaplątała się jednak w rysunku, którego na wytłómaczenie zjawiska od niej zażądano. I gdy zabrzmiało tradycyjne »Dziękuję pani«, miała tyle tylko siły, by odejść od stołu i zemdleć w objęciach swoich nauczycielek i koleżanek.

— Oto ów straszny brak — myślałem sobie, którym egzamina publiczne i ich programy grzeszą. To biedne dziewczę posiada napewno dosyć

nawet rozległe wykształcenie; uważana jest ona na pensyi za doskonałą uczennicę, pomimo to nie otrzymała patentu, bo z braku przytomności umysłu i pewności siebie dała złą odpowiedź na pytania, dotyczące pryzmatów rozszczepiających promień światła na zasadnicze barwy, nie umiała wytłómaczyć specjalnej kwestyi w teorii ułamków i poplątała wiadomości o stawonogich. Otóż i pryzmaty i stawonogie, gdy raz egzamin już odbyty został, uciekają z pamięci większości ludzi wykształconych, co się zaś tyczy ułamków, tylko praktyczne ich zastosowanie pewien ich zakres przypomina... A zatem te pytania były najzupełniej niepotrzebne, i błędem jest niezaprzeczonem, że one to były treścią całego tego niefortunnego egzaminu... Należałoby utworzyć prawo, mocą którego dozwoloneby było poruszanie tylko podstawowych i bardzo ogólnych kwestyi, sondując zato gruntownie wiedzę ucznia w celu dowiedzenia się, czy pojął i przyswoił sobie w samej rzeczy to, o co go zapytują... I poco zresztą, w jakim celu wykładać uczniowi rzeczy, których on nie może i nie potrzebuje pamiętać?...

Moje myśli obracały się właśnie koło tego przedmiotu, gdy czyjaś ręka lekko dotknęła mojego ramienia, i dźwięcznym wymówione głosem zabrzmiały słowa:

— Wujaszku, czy nie chciałbyś jechać już do domu?... Już wiem, że otrzymam patent... a tutaj jest tak gorąco.

— To byłeś ty, Franiu; niezrównany spokój, który cię zresztą i podczas egzaminu nie opuszczał, bił z całej twojej postaci.

— Jakto? — zawołałem — przecież wyniki będą wiadome dopiero za dwie godziny?

— To prawda, wujaszku. Poleciałam jednak kancelię, czy jakiemuś tam woźnemu, żeby dostarczył mi moich stopni... Oto one...

Podałś mi kartkę, na której grubem i niewprawnym pismem nakreślone były twoje stopnie — doskonałe — oraz przy każdym nazwisko egzaminatora.

Przyjąłem z podziwem ten dowód twojej umiejętności kierowania wolą ludzką, stosownie do twojego życzenia i zapytałem:

— A nie zależy ci, Franiu, na tem, żebyś usłyszała, jak wygłaszać będą twoją sławę?

— Ależ wujaszku — odrzekłaś z uśmiechem — już nawet nie oglądając się na twoje zdanie, oceniam ją według jej wartości!

Wracaliśmy otwartym powozem i w całym przepychu tego letniego popołudnia przejeżdżaliśmy ulicę Paryża, by dostać się na plac Possoz, gdzie nierównie mniej spokojna od córki oczekiwała nas twoja matka. Ty, Franiu, pomimo zwykłej swojej równowagi promieniałaś radością. Zadowolenie z pomyślnego wyniku tego głupiego egzaminu, nadzieja niedalekiego już usamowolnienia podniecały cię, nadawały blask oczom i żywość wymowie... Zauważyłem, że nie było prawie przechodnia, któryby nie otrzymał w prze-

locie, tak jak lustro promień światła odbija, od blasku tej świetlanej, tryskającej z twojej twarzy młodości. Niejeden z nich pozazdrościł mi niezawodnie miejsca przy tobie, nie wiedząc o tem, że najuczciwiej pod słońcem pragnął być twoim wujem. Przyznaję, że nader dodatnie robiłaś wrażenie, jako uosobienie świeżości, dzielności i szczęścia. I zdaje się, że byłem jedynym z pomiędzy darzących cię swoim podziwem, któremu to uczucie cię smutku na duszę rzuciło... Jak marny egoista i prawie wbrew własnej woli myślałem, że niedługo innego już będziesz miała opiekuna, a sytuacja wuja bez siostrzenicy jest stanowczo wszelkiego pozbawiona uroku... Twoje powodzenie, twoja zabawna wymowność, twój wdzięk nakoniec sprawiły, że moje myśli naturalnym rzeczy przebiegiem wróciły do tej biednej Aleksandry... Wyobrażałem sobie jej powrót do rodziny i ów smutny epizod w zaraniu życia tego biednego, tak bardzo od natury upośledzonego stworzenia... »Życie« — jednoznaczny to wyraz, a jakże różnorodne istnienia ludzkie! Zależą one tak często od wszechwładnego kaprysu Natury, która mniej lub więcej kształtnym obdarza nas nosem!... A jakież ciasne i niewygodne miejsce przeznacza brzydkiej kobiecie dzisiejsze społeczeństwo!...

Twój miły szczebiot sprzyjał moim rozmyślaniam:

— Pojmujesz, wujaszku, że gdy raz skończyłam z egzaminem, wołałabym od razu powró-

cić do domu. Ale pani Rochette trzyma się ściśle zaprowadzonego przez siebie zwyczaju, nakazującego każdej młodej panience, która ma wejść w świat, odosobniony tygodniowy pobyt na pensyi.

— Nie znajduję, żeby było w tem co złego. Czy to odosobnienie głównie sprawy religijne ma na celu?

— No, naturalnie, że i to także... ale są to przedewszystkiem rozmyślenia o czekającej nas przyszłości, o życiu w świecie, o małżeństwie, o prowadzeniu domu, słowem mniej więcej treść twoich listów, wujaszku... Sama pani Rochette prowadzi te medytacje.

— Dłaczego, Franiu, mówiąc o tem, śmiesz się?

— Ależ, bo pani Rochette, która nigdy niczem innem, jak nauczycielką nie była, zupełnie nie zna życia i jest taka naiwna!...

Spojrzałem na ciebie uważniej i z twojego jasnego spojrzenia, z twojego tonu i wreszcie z czegoś nieokreślonego w całym sposobie bycia wyczytałem, że w samej rzeczy pani Rochette niewiele »spraw życiowych« wam wyjaśni.

— To i cóż! — odpowiedziałem — wy będziecie ją uczyć. Zaproponujcie waszej przełożonej seryę rozmyślań o dziewczęciu XX-go w. i o konieczności stosowania się do swojej epoki.

Ta myśl podobiała ci się bardzo i wywołała twoją wesołość... Przybyliśmy właśnie na plac

Possoz, gdzie oddałem cię w ręce uszczęśliwionej matki, poczem powróciłem do domu.

Wyznać muszę, że wesoło mi na duszy nie było. Patrzałem bez przyjemności na drzewa i kwiaty mojego ogrodu, który w promieniach skłaniającego się już ku zachodowi słońca rozkwitał całą pełnią swoich sił żywotnych. Myślałem o tem, że niedługo zerwie się jedna nitka mojego życia, a mianowicie, że prowadzona z tobą, a tak droga mi korespondencya dobiega końca... Za dwa tygodnie opuścisz pensyę, by do niej już nie wrócić... A wtedy rozejrzysz się sama po świecie temi szaro-niebieskimi oczyma, które tak dobrze patrzeć umieją. Kierownictwo wuja-mentora stanie się zbytecznem... Innego rodzaju przyjemności i troski, niż korespondowanie ze mną, pochłoną cię wkrótce. To też ten sam fakt, co tobie radosnym jest zwiastunem — dla mnie staje się smutnem epilogu hasłem...

Przyszedł mi na pamięć ów wieczór, kiedy to w tym samym ogrodzie została zdecydowana wymiana naszych listów... Porachowałem miśsiące: było ich niespełna dwanaście, a jakże ciężko zaważyły mi one w tej chwili na duszy!

XXVII.

Paryż i Rosny-sur-Mer. — Wujaszek nie jest zazdrosny. — Studium o teściowej. — Wspomnienia. — Illuzye. — Dymisy. — Pragnienie szczęścia dla Frani. — Zeschłe liście i spóźnione bzy.

Mój list podąży za tobą, drogie moje dziecko, aż na wybrzeże Normandzkie, dokąd, żebyś zażyła dobrze zasłużonego wypoczynku, we dwa tygodnie po egzaminie zawiozła cię matka...

Ja jeszcze zawsze z Paryża piszę do ciebie... W środku lata nie świetnie to wygląda... Ale cóż chcesz? Nie mogę się jakoś w tym roku na wyjazd zdecydować. Gdzieindziej nie będę miał moich książek, mojego biurka, urzędnika domu, do którego przywykłem, świeżości mojego ogrodu — i tak samo, jak w Paryżu — nie będę miał Frani...

Powtórzyć jeszcze raz noc, spędzoną w wagonie sypialnym, przybycie do «first-class-hotel», z góry otaksowane wycieczki, urzędowe wizyty, składane arcydziełom i krajobrazom — nie, do prawdy, jakkolwiek bardzo mam sobie to za złe,

pragnienie powtórzenia tych wszystkich przyjemności nie budzi się tym razem w mojej duszy.

To też według wszelkiego prawdopodobieństwa spędzę lato w tym trochę przypominającym prowincję zakątku Paryża, gdzie mam przynajmniej tę przyjemność, że przechodzę prawie codziennie pod twojemi zamkniętymi oknami.

Projektowaliśmy wprowadzić wspólnie mój wyjazd do Rosny-sur-Mer... Pani Le Quellien bardzo mnie namawiała, a ty popierałaś nader serdecznie to zaproszenie... Otóż — po namyśle, wolę w Passy patrzeć z dołu na uśpione oblicze twojego mieszkania... Gdybyście same byli, ty i twoja matka, być może, że byłbym się zdecydował. Ale dowiedziałem się, że rodzina Despeyroux najęła willę w waszem sąsiedztwie. Pominąwszy już świetnego Maksa, jesteś wciąż w otoczeniu rodziny twojego narzeczonego, a przeważnie Lusi, która jest jedną z najrozmowniejszych młodych osób, jakie zdarzyło mi się spotkać... W tym światku, zajęтым wyłącznie myślą o wielkiem natychmiastowem szczęściu, jaką rolę odgrywałby »wuj-mentor« razem ze swoimi morałami i zapatrywaniem na życie?... Większość z was posyłałaby mnie w duszy do licha, a i względem ciebie samej, Franiu, która starałabyś się wszelkimi siłami być uprzejmą dla swego wuja, i wiem, że takabyś była, miałbym wyrzuty sumienia, że tracisz dla mnie chwilę, wykradzione twojej, pełnej gorących uniesień radości...

Masz takie dobre serduszko, że moja odmowa zrobi ci trochę przykrości, wiem o tem... Być może, że zgnieciesz mój list jednym z tych nagłych ruchów, które tak bardzo dodają ci wdzięku... Być może, że szepniesz, jak wtedy, gdy ganiłem cię za twoją zalotność: »Szkaradny!... Niegodziwy!...« A potem twoje czoło zasepi się, szare oczy pokryje mgła zamyślenia...

— Dlaczego on odmawia? Czy się gniewa na mnie?... Dodasz tu prawdopodobnie: »Czyżby był zazdrosny?«

Na to ostatnie pytanie, droga Franiu, tem łatwiejszą mogę ci dać odpowiedź, że sam sobie je zadawałem... Pośpieszam więc oznajmić ci, że zazdrość mnie nie dręczy. Mam, dzięki Bogu, tyle rozsądku i moralnej równowagi, że głupie urojenia Bartola nie przyszłyby mi nawet do głowy. Widząc jednak osamotnienie twoje i twojej matki — która tak mało zna życie — przyzwyczaiłem się do myśli, że poniekąd rolę ojca przy tobie odgrywam.

Byłem jedynym, żyjącym w świecie człowiekiem, który jako przyjaciel przekraczał progi waszego mieszkania. Mocą przyzwyczajenia i naturalnym rzeczą przebiegiem, mój sposób widzenia, moje przekonania opanowały nieświadomie twój młody umysł i subtelną wrażliwość. Nie jesteś tą Franią, jakąbyś była, gdybyś mnie nie była znała. Twoja inteligencja, a nawet i serce ukształtowanie swoje mnie poniekąd zawdzięczają. Nie bijącym w oczy, lecz ważnym

był mój współudział w uduchowieniu tego misternego tworu, jakim ty jesteś... Więc czyż nie jest to naturalnem, że mam dla ciebie uczucia prawie ojcowskie — a chcąc być ścisłym, powiem nawet, że macierzyńskie niemal serce bije dla ciebie w mem łonie. Jakże pokrewnem jest moje i pani Le Quellien przywiązanie!... zarówno jak i ona, pragnę twego dobra nawet wbrew twojej woli. Wszystko, co przeistaczało cię z dziecka w podlotka, a następnie w dorosłe już dziewczę, budziło we mnie uczucia samolubnego smutku, który z trudnością opanować mogłem... Tak jak ona na koniec, patrzę na twego narzeczonego wzrokiem, którego przenikliwości żadna nie zmąci przychylności.

Maks musi się na to przygotować: będzie on miał dwie teściowe.

Na zrozumienie duszy teściowej, którą od chwili twoich zaręczyn w sobie odkryłem, używam teraz całej siły moich psychologicznych zdolności i ogromne przejmuje mnie zdziwienie, że jest to typ tak niezmiernie w literaturze ośmieszony, gdy, właściwie mówiąc, litość tylko budzić powinien.

Ból wspomnień, sieroctwo opuszczenia, świadomość powolnego zamierania z biegiem czasu, gorycz rozwianych złudzeń, strach przed jutrem — wszystko to znaleźć można w duszy teściowej. Jest ona uosobieniem smutku i tęsknoty.

Wspomnienia! Ileż ich, droga Franiu, w mojej pamięci się snuje — takich, w których główną

rolę odgrywała twoja coraz jaśniej zarysowująca się osobistość!... Niektóre sięgają tych jeszcze czasów, gdy nosiłaś włosy rozpuszczone i luźne sukienki: z jakimże nabożeństwem wskrzeszamy je w naszych z panią Le Quellien rozmowach!...

Oto jedno z tysięcy.

Miałas lat siedem, gdy pani Le Quellien zajmowała już dzisiejszy wasz lokal na placu Possoz; ja mieszkalem w tych odległych czasach w alei Percier. Numer 8 domu, w którym się moja siedziba znajdowała, był podwójny, i doróżkarze — nie mogący zbyt poszczycić się uwagą — gdy wracałem do siebie, zawozili mnie niechybnie przed Nr 8 bis; to też zwykłem byłem uprzedzać ich z góry.

Otóż pewnego poranku udałem się do twojej matki, by porwać cię na parę godzin do siebie, bo przepadałem już wtedy za twoim wdzięcznym szczebiotem. Na placu siedliśmy do dorożki i dając woźnicy adres, dorzuciłem:

— A uważaj tam! Jest Nr 8 bis.

A wtedy ty, maleńka Franiu, tuląc się do mnie, głosem pełnym przerażenia zawołałaś:

— Kto to? Gdzie ten bis?

Ten »bis« wydał się twojej dziecinnej wyobraźni jakimś strasznym potworem, przed którym czempredzej ukryć się należało.

Nie wiem, czy jest naprawdę co zabawnego w tej historyjce, a jednak pamiętam, że wspominając ją z twoją matką, naśmialiśmy się z niej

nieraz szczerze. Dzisiaj, gdy o tem myślę, nie mam ochoty do śmiechu...

...Potem przywołuję cię na pamięć, gdy byłaś dwunasto- i trzynastoletnią dziewczką, czyli w wieku, ogólnie uznanym za niewdzięczny, dla mnie jednak twoja nieśmiałość i trochę niezgrabne ruchy nie były pozbawione wdzięku. W twojem jasnem spojrzeniu, które się z coraz większą uwagą na ludziach i rzeczach zatrzymywało, przebijała pełna poważnych zapytań inteligencja. I wtedy twój młodociany umysł zwracał się do mnie i wchłaniał to, co w ciebie wpoić pragnąłem... Ileż wspólnych wieczorów spędziliśmy razem, gdy w ciszy mojego ogrodu, wobec bezmiar roziskrzonego nieba, na którym zarysowywały się wieżyczki Trocadero, prowadziliśmy we troje, pani Le Quellien, ty i ja, nieskończone gawędy! Zdarzało się też, że twoja matka zasypiała w swoim fotelu trzcinowym, a my zniżaliśmy głos, żeby jej nie przeszkadzać. Ten przejściowy wiek, w którym się wtedy znajdowałaś, czynił często twoje usposobienie nierównem i podrażnionem; ja byłem jeszcze młodym nieomal człowiekiem, a jakaż słodka ufność nas łączyła! Ty się czułaś taka bezpieczna w mojem towarzystwie! — mnie opanowywało coraz bardziej wielkie, prawie ojcowskie, a raczej macierzyńskie przywiązanie, które z latami utrzymywało się jeszcze!...

Czas płynął; oddano cię na pensję, z podlotka wyrosłaś na dziewczę i twój charakter za-

rysował się wyraźnie. I jesteś oto, Franiu, dziewczęciem o zapatrywaniach bardzo współczesnych, poważnych i praktycznych; wiesz, dokąd dążysz, i jakkolwiek tradycyjnym formułkom ślepo nie ulegasz, zdajesz sobie dokładnie sprawę z tego, że zupełne wyzwolenie się z pęt przeszłości duże również przedstawia niebezpieczeństwo... Ta, tak wyraźnie skryształizowana indywidualność przyjmowała do tej pory dziwnie chętnie moje rady i nie umiem ci powiedzieć, jaką mnie to napało dumą... Pragnąłem utrzymać się w dalszym ciągu w tym charakterze i pisywałem do ciebie co dwa tygodnie listy, w których starałem się udzielić ci moralnych wskazówek i trochę życiowych zasad w ciebie wpoić... Moja illuzja — prawdziwa illuzja teściowej — polegała na przypuszczeniu, że to zawsze trwać będzie i że zawsze potrzebować będziesz mojej rozwagi i doświadczenia; sądziłem, że pozostanę dla ciebie na całe życie tem, co w XVII wieku »duchowym doradcą« nazywano!... Niedorzeczna była to illuzja, ale czyż ten kwiat marzeń na gruncie rozsądku zakwitnąć może? A przecież — twojem powołaniem, tak jak i każdego młodego dziewczęcia, jest miłość i zamążpójście, twoim naturalnym doradcą musi być przede wszystkim twój mąż.

Przyznaję, że z wielkim bólem serca dostrzegłem swoją pomyłkę. Z jakim udręczeniem śledziłem za tem, jak prędko, coraz prędej inny wpływ brał twoją duszę w swe posiadanie. Maks Despeyroux, którego od zimy kilkanaście

razy zaledwie widziałeś, większą przemianę we Frani wywołał, niż jej wuj w przeciągu lat piętnastu. Jest to zupełnie słuszne i niech mnie Bóg broni, bym miał robić ci o to wymówki!... Czyż nie miałem jednak racji, gdy wspominałem o tem strasznem uczuciu opuszczenia, które powinno skłonić wodewilistów do większej względem teściowych wyrozumiałości?

Drugim bardzo bolesnem wrażeniem, którego zarówno teściowa jak i twój wuj doznają, jest przejście w stan spoczynku... Miało się jakieś zajęcie — i oto znalazł się zastępca. Byłeś pożyteczny — stajesz się niepotrzebnym. — Jakież to bolesne dla miłości własnej człowieka, jest to bowiem oficjalne stwierdzenie podeszłego wieku i zgrzybiałości. Otrzymać dymisyę — znaczy dogorywać po trochu, a i ja, Franiu, z urzędu profesora moralności zostałem złożony. Powierzono obecnie ten obowiązek młodszemu ode mnie. Te lata, które ja tobie już poświęciłem, ma on jeszcze przed sobą: on patrzy w przyszłość, ja do przeszłości już należę... Czy wiesz, że niektórzy urzędnicy są tak niezmiernie do swego zajęcia, do swego biurka, fotela przywiązani, że z chwilą, gdy im to odebranem zostanie, giną stopniowo. A o ileż więcej dojmującą jest tęsknota, gdy tem, co się traci — jest Frania! Jakaż będzie moja dola wobec tego, że okoliczności pozbawiają mnie nad wyraz drogiego mi urzędu, którem jest: być powiernikiem młodego dziewczęcego serduszka i udzielać mu rad?

Oto, drogie dziecko, powody mojego smutku i przyczyna, dla której chcę pozostać w Paryżu, nie dając nikomu uczuć ciężaru mojego usposobienia. Nie sądz jednak, by w zazdrość przeistoczyła się ta tęsknota... Zazdrość brzydkiem i nieszlachetnem jest uczuciem, z którym się nawet pewna niechęć łączy, a ty wiesz, Franiu, jak bardzo pragnę twojego szczęścia... Dzieweczko serdeczna, wychowanko ty moja! niechże najmniejsza chmurka nie zaćmi blasku tych dni, w których jesteś narzeczoną. Korzystaj, póki czas, z chwil zachwyty i uniesień, bo znikomem jest wszystko tu na ziemi, tymczasem jednak i twoje złudzenia nawet czarodziejskie opromienia światło... Oddaj się całą duszą szczęśliwemu zwycięzcy, którego wybrałaś: tak być powinno i takim jest twój obowiązek. Kochamy cię tak bardzo z panią Le Quellien, że czerpiąc z nadmiaru twego szczęścia, potrafimy sobie jego pozór stworzyć.

W tym wyjątkowym okresie nie będziesz myśleć o swoim wuju; takim jest porządek rzeczy i żalu o to do ciebie mieć nie mogę. Jednakże w najweselszych nawet okresach życia zdarzają się chwile ciszy i skupienia i tutaj, Franiu, zanoszę do ciebie prośbę, byś mi poświęciła od czasu do czasu taką chwilkę. Najlepszym sposobem porozumiewania się ze mną będzie przetrzymanie listów, które w roku ubiegłym pisywałem do ciebie... Być może, że przestarzałymi wydają ci się zawarte w nich rady, tembardziej, że

teraz z innymi poglądami porównanie przeprowadzić możesz; ale i to nawet pożytecznem być powinno. Podsunie ci to temat do rozmyślań, z których osobiste wnioski wysnujesz. Tym sposobem pomiędzy mną i Maksem ostatnią będziesz instancją.

Ja tymczasem, droga moja dziewczeczko, będę myślał o tobie, będę się modlił o twoje szczęście. A od czasu do czasu, gdy wspomnienie o Frani zanadto dręczyć mnie będzie, pójdę popatrzeć na spuszczone rolety jej okien. W tym opustoszałym Paryżu, gdzie pożółkłe liście kasztanów już pomału zaczynają opadać, a niektóre bzy spóźnionem okrywają się kwieciami, marząc o twojej wiosnie, na jesień mojego życia patrzeć będę bez gorczy.

XXVIII.

Przyjemność, którą czasem sprawia nagana. — Trzy miesiące bez listu. — Rozmyślenia nad korespondencją. — Listy pożyteczne. — Listy, pisane ze względów przyzwoitości. — Miłość i przyjaźń. — Rola, którą względem przyjaźni odgrywa młodość. — Program przyszłych listów. — Mentor. — Słownik.

Hotel Adryatycki w A... pod Tryestem.

Listopad 1901 roku.

Można doznać czasami wielkiej przyjemności w tem, że się jest karconym, trzeba tylko, żeby osoba, która nas gromi, bardzo drogą nam była, i żeby powód gniewu leżał w jej dla nas życzliwości; trzeba również, żeby sumienie nie miało nam wiele do wyrzucenia... A jeśli zupełnie winnymi się nie czujemy, nagana staje się dla nas czemś niewymownie miłym, i razem z tą żoną z komedyi możemy zawołać:

»Niechaj bije, mnie się to podoba«.

Taką wyrafinowaną przyjemnością był dla mnie twój ostatni list. Ostro, droga Franiu, zgromiłaś swego wuja: »Czyż się nie wstydzisz, wu-

jaszku? Zajrzyj do kalendarza; sprawdź, od jakiego czasu nie otrzymałam od ciebie ani słowa!... Ostatni raz pisałeś do mnie w środku lata: mamy obecnie listopad, a ty wciąż milczysz. Tylko nie sądz, proszę, że policzę ci te krótkie dopiski, które w twojej korespondencji z moją matką znajdowałam. Cóż to jest? Co to ma znaczyć? Czyż dlatego, że skończyłam już pensję, mamy nie pisywać do siebie? Czyż z chwilą zaręczyn przestałam być twoją siostrzenicą?»

Jakież słodkie ciosy, droga Franiu, zadaje mi twoja gniewna rączka! Więc brak ci moich listów? Anibym przypuszczał. Obejrzałaś się wprawdzie za nimi wtedy dopiero, gdy twój narzeczony, mianowany podoficerem w Châteauroux, wyjechał z Paryża, by się ze swoim pułkiem połączyć. Póki przebywaliście w Rosny-sur-Mer, gdzie Maks ze swoją rodziną w sąsiedniej willi lato spędzał, a nawet całe następne półtora miesiąca nie zdawałaś się boleć nad tem milczeniem, które mi obecnie wymawiasz... Mniejsza o to: chociażby twoje serce, o pani! tylko drugie miejsce dla mnie zachowało, jestem dumny, że potrafiłem je utrzymać. I dlatego twój gniew jest mi drogi.

Jest on zresztą i nieusprawiedliwiony, co, w myśl powyżej cytowanej zasady, moją radość podwaja. Nie mogłaś nie zauważyć, że jeśli w samej rzeczy trzy i pół miesiąca minęło od daty mojego ostatniego listu, to i ja również w prze-

ciągu długich piętnastu tygodni nie otrzymałem od ciebie ani słoweczka. Gdyby nie ta droga pani Le Quellien, nie wiedziałbym nic o Franiu... Jakież zabawne są te kobiece wymówki, a ty, Franiu, jakąż prawdziwą jesteś kobietą!

A teraz, czy chcesz wiedzieć, jakim jest moje zdanie? Mielśmy oboje słuszność, że na czas lata i jesieni zaniechaliśmy korespondencji. I wogóle, jeśli się nie ma nic do powiedzenia i jeśli się nie odczuwa istotnej potrzeby skomunikowania się z nieobecny, nie należy zmuszać się do zapisywania papieru, który niech lepiej pozostanie czystym i nie odbywa podróży. W mojej korespondencji trzymam się bezwarunkowo tej zasady; zrobiłem sobie tem wprowadzić kilku nieprzyjaciół, ale to trudno. List, pisany wyłącznie ze względu na przyzwoitość, wydaje mi się wykroczeniem przeciwko uczciwości i prawdzie, i otrzymanie takowego niekorzystnie względem autora mnie usposabia... Nie dowierzam instynktownie ludziom, którzy bez względu na to, czy mają interes, lub nie, zajmują się regularnie swoją codzienną korespondencją; jakież to banalne dusze! To też nie bierze mnie bynajmniej pokusa zaliczać się do tych szczęśliwców, których obdarzają oni swoją listowną uprzejmością.

Ty sama czułaś to, Franiu, podczas tych tygodni, w których Maks prawie się z tobą nie rozstawał; jego obecność, myśl o nim — zasłaniały wszystko inne przed oczyma twojej duszy. Wielki Boże! cóżby to były za marne listy, gdybyś była

potrafiła wyzwolić się z pod czaru! Nie chciałabyś prawdopodobnie ograniczyć ich na powtarzanych bez końca słowach: »Kocham go... Kocham go...« A przecież tylko taki list byłby szczery. Uczucie wstydlivosti zatrzymało twoje pióro, a ja przekładam milczenie nad tę wiadomość. Nowiną ona mi nie jest, a ponieważ egoizm ludzki zwykł wszystko do siebie stosować, w tych wyrazach doszukałbym się dla siebie tylko smutnej treści.

A nie sądz, droga siostrzeniczko, że równie gderliwie, jak ubiegłego lata, jestem usposobiony. Gdy myślę o twoim narzeczonym, pokutuje we mnie wprowadzić jeszcze »dusza teściowej«, ale dusza to wyrozumiała i przyjazna. Umiem cenić w Maksie jego do ciebie przywiązanie i jestem mu wdzięczny za to, że zdobywszy twoje serce i będąc ci tak drogim, szczęściem cię obdarza. To też nie przypisuj mojego milczenia urazie, lecz tej świadomości, że póki Maks jest przy tobie, nie mam ci nic do powiedzenia... Tematy waszych rozmów pochłaniały wszystkie twoje myśli; moje rady weszłyby pomiędzy was, jak Piłat w Credo, a przecież niezbyt wdzięczna to rola, tembardziej, że ślepy los, który doprowadza listy do miejsca przeznaczenia, każe im często w chwilach najmniej odpowiednich dobiegać celu!

Dzisiaj zmieniała się postać rzeczy. Wróciłaś już do waszego tchnącego ciszą przedmieścia mieszkania na placu Possoz i jesteś więcej, niż

kiedykolwiek, osamotnioną, bo nie masz przy sobie, jak poprzednio, swoich koleżanek, ani narzeczonego, z którym podczas lata prawie się nie rozstawałaś. Maks prawdopodobnie bardzo często pisuje do ciebie, a pominąwszy już wszystko to, co główkę tak rozwiniętą, jak twoja, interesować może, zamierzona przyszłość i różne praktyczne do niej przygotowania czas ci zajmują. Ubyła ci jednak obecność drogiej i pochłaniającej wszystkie myśli istoty, a im większe miejsce ona w twojem życiu zajmowała, tem przykrzejsza po niej pozostała pustka. Twoje spojrzenie pada teraz na inne bliższe ciebie przedmioty... Jestem pewien, że od tygodnia zwracasz się do pani Le Quellien z czulszymi, niż zwykle, pocałunkami i z serdeczniejszym uściskiem, a poza nią na horyzoncie swoich myśli dojrzałaś także przyjaciela swoich dziecinnych lat, wuja-mentora, jak go podczas ostatniego roku swego na pensyi pobytu nazywałaś.

Nie broń się, Franiu; wszak to takie naturalne. Matka i wuj są przyjaciółmi tylko, a miłość pierwsze przed przyjaźnią zajmuje miejsce. Ma jednak i ta ostatnia chwila odwetu. Mniej egzaltowana i nie tak egoistyczna, wypełnia ona niezajęte przez tamtą godziny i w chwilach udręczeń, które są nieuchronne wobec tego, że miłość jest uczuciem gwałtownem i pełnem trochę burzliwych uniesień, staje się ona wierną i niezawodną ucieczką. To też dobrze zrobiłaś, że w pierwszym zmartwieniu, jakim jest dla cie-

bie wyjazd narzeczonego, zwróciłaś się do matki i do mnie, czyli do równie silnego, lecz słabszem już echem odbijającego się w twojem sercu przywiązania.

Moja życzliwość, droga przyjaciółeczko, nigdy cię nie zawiedzie. Trzymałem się wprawdzie w tych ostatnich miesiącach na uboczu, czyniłem to jednak umyślnie, a moje dla ciebie przywiązanie żadnej nie uległo zmianie. Lampa paliła się wciąż: zasłoniłem tylko chwilowo światło, by jego silny odbłask nie przeszkadzał marzeniom, którym się oddawałaś... Samolubną bowiem szczerą przyjaźń nie jest, a to tylko uczucie, które nie siebie, lecz ukochaną osobę na pierwszym stawia planie, zasługuje na to wzniosłe miano. Zaświta i dla ciebie dzień, w którym cały urok tego szlachetnego altruizmu do twojej duszy przemówi, lecz wtedy dopiero, gdy się młodość ma już poza sobą, odczuwa się go w całej pełni. Wiek młodzieńczy tego uczucia nieomal zrozumieć nie jest w stanie, to też żywiąc dlań niezmierną wdzięczność już za to samo, że kochać się pozwala, widzimy się u szczytu pragnień, gdy wyciągając do nas ramiona, sam o miłość poprosi.

W wezwaniu, które od ciebie otrzymałem, drży ta serdeczna prośba, a jakże gorący odźwięk ona w mojem sercu znajduje! Ależ naturalnie, moje dziecko, nie przestanę cię kochać, a pisywać będę do ciebie również, skoro twój narzeczoney nic nie ma przeciwko temu. Być

może, że nie potrafię teraz robić tego tak systematycznie, ale też moje dawne listy, w których pragnąłem wszczepić w twoją duszę trochę pięknych zasad i utrzymywałem cię w styczności ze światem zewnętrznym, stały się zbyt cenne. Dziś ten świat stoi przed tobą otworem. Umiesz nań patrzeć przenikliwym wzrokiem. Co się zaś wujowskich morałów tyczy, byłyby one niestosowne dla panny, która skończyła pensję, otrzymała patent i wybrała sobie naturalnego, świecącego złotem szlifami doradcę.

— Jako, wujaszku, więc nie chcesz już roz-wijać przede mną swoich na życie poglądów?

— Ależ tak! tak! moje drogie dziecko... Z taką trudnością przychodzi odzwyczaić się od gderania, że chociażbym nawet pragnął zaniechać tego, nie potrafię. Powziąłem jednak postanowienie poruszania wyłącznie wskazanych przez ciebie kwestyi, słowem, będę odpowiadał na zadane mi przez ciebie pytania — nic więcej. Abdykuję z godności wuja-mentora.

Nie pragnę już innej roli, jak być ci doradcą w chwilach rozterki z sercem, albo z sumieniem. Niech jeszcze skromniejszy nawet przy tobie zajmę urząd; chcę być dla ciebie moralnym słownikiem, w którym według fantazyi i upodobania kartki przewracać możesz.

W ten sposób nasze listy unikną banalnego charakteru prowadzonej ze względów przyzwyczajenia korespondencji, do której z takim odnoszę się wstrętem. Nie znudzisz się, pisując do mnie,

bo o rzeczy, obchodzące cię z blizka, zapytywać mnie będziesz.

Dla mnie każda z tobą pogawędka prawdziwą stanowi rozrywkę; w tym wypadku doda mi otuchy myśl, że wywoławszy moje gderanie, z większą cierpliwością zachowywać się względem niego będziesz.

XXIX.

Pierwsza porada. — Pojęcia Lusi. — Kwestya podróży. — Czy rzeczywiście przynoszą one rozczarowanie? — Wspomnienie i marzenie. — Podróż poślubna. — Czego jest ona symbolem. — O odosobnieniu i wewnętrznej istocie człowieka. — Pożytek, jaki przynoszą złudzenia.

Hotel Adryatycki.

Grudzień 1901.

Twój pierwszy list z prośbą o radę porusza bardzo delikatną kwestyę podróży poślubnej. Z okazji swego małżeństwa Maks otrzyma sześciotygodniowy urlop, który dzięki specjalnym względom pułkownika można będzie przedłużyć. W jaki sposób ten czas spędzicie? Twoja matka radzi wyjazd, Maks jest tego samego zdania, tylko jedna Lusja, jego siostra, utrzymuje, że zwyczaj podróży poślubnych już się przeżył. »Jeśli się nie ma na wsi pałacu, w którymby można spędzić miodowe miesiące, najlepiej jest stosować się do mody, która nakazuje zamieszkanie w jednym z pierwszorzędných hoteli.

Podróże męczą i nudzą po jakimś czasie, a poślubne wycieczki są przytem śmieszne... Wszystkie moje przyjaciółki, które poszły za mąż, są tego zdania...« Oto jak przemawia Lusja z trójnoga swojej ślicznej nieświadomości. Ty, Franiu, wahasz się. Podróż ma dla ciebie swój urok, ale przeraża cię perswazyja przyjaciółki. Więc zwracasz się do mnie i mówisz: »Wujaszku, ty, który z takim upodobaniem włóczysz się po świecie, doradź mi, co mam robić? Czyż naprawdę podróże tak bardzo zawodzą, a zwyczaj poślubnych wycieczek do śmiesznych się zalicza?«

Nie przystoi mi, droga Franiu, ganić wędrówki po świecie, wobec tego, że piszę do ciebie w tej chwili z nad brzegów Adryatyku i że austriacka marka mojej odpowiedzi za paszport służy. Wiem jednak, co ogólnie podróżom zarzucają i z czego i ja w chwilach złego humoru bywam niezadowolony. Na początku ubiegłego lata poprzysiągłem sobie, że w tym roku żaden wagon sypialny, ani winda hotelowa ogłądać mnie nie będą; zdaje się, że napomknąłem ci o tem postanowieniu. Tymczasem przecież nie krasnoludki tutaj mnie przeniosły, co dowodzi, że nie trzeba się niczego zarzekać i że ktokolwiek podróżował, będzie zawsze rad od czasu do czasu ten zwyczaj odnowić, poczuje tęsknotę za »obczyzną« i zapagnie pod inną szerokością geograficzną w innego zabawić się człowiekiem. Co się tyczy podróży poślubnej, to wszyst-

kie jej wady i zalety podnoszą się, że tak powiem, do zenitu. To jest dopiero podróż w całym znaczeniu tego wyrazu ze wszystkich podróży najcharakterystyczniejsza.

Oto dlaczego zdania o nią ścierają się tak namiętnie i dlaczego równie licznych ma ona wrogów jak i zwolenników. Powiem ci, jakie są moje na tę kwestię zapatrywania, tymczasem jednak omówmy ją w ogólności.

Powiedziano Lusi, że każda podróż sprawia zawód. Przypuśćmy, że tak. Być może, że to wina illuzji, którą sobie z góry tworzymy na mocy opowiadań, opisów i nawet z tego, co powinno najdokładniej rzeczywistość przedstawiać: z fotografii. Książki i podróźni mijają się zwykłe z prawdą, a przynajmniej przesadzają ją niepomierne. Zupełnie naturalny to objaw. Opowiadać o czym i uprzedzić z góry, że opowiadanie zajmującym nie jest, to znaczy narazić się na pytanie: »Na co poruszasz ten temat?« Albowiem nic nieznośniejszego nad podróżnego, który się rozwodzi nad swoim wstrętem i niezadowoleniem, gdy przeciwnie pewna fanfaronada człowieka z obcych powracającego krajów dodaje mu uroku...

Ryciny i fotografie dają także niejasne o krajo-
brazach wyobrażenie, bo ktokolwiek miał z aparatem fotograficznym do czynienia, wie, że różne są sposoby na to, żeby pogłębić perspektywę i wogóle naturze pochlebić.

To też wszystko się składa na to, by oma-

nić człowieka, który wybiera się w drogę. Co jednak najwięcej w błąd go wprowadza, to jego własna wyobraźnia. Te wyrazy: »Podróż... jechać...« mają w sobie jakiś czar. Pewien łaciński poeta twierdzi, że:

»My nie żyjemy, my wyglądamy życia...«

A jechać, to znaczy wybiegnąć naprzeciw niemu, zamiast oczekiwać go ze spokojem.

Ponieważ tryb naszego życia jest regularny, a, co za tem idzie, niejako monotony, wyobrażamy sobie, że wyzwoiliwszy się z pęt tej powszedniej banalności, przeniesiemy się od razu w świat niespodziewanych przygód i przyjemnych wrażeń.

W rzeczywistości jednak te przewidywania nie sprawdzają się ani w części. Cały powab urozmaiconych podróży przepadł od chwili, gdy z równą łatwością (wyjawszy naturalnie kwestję czasu) można przebyć przestrzeń, dzielącą nas od Irkucka, jak i od sąsiedniej stacyi. W obu wypadkach siadamy do wagonu i pozwalamy się wieźć... Z drugiej strony, ktokolwiek ma choć trochę szczeroci, przyzna, że pierwsze wrażenie odniesione z ujrzenia jakiego arcydzieła albo sławnego krajobrazu jest zawsze połączone z uczuciem zawodu. A nie jest to bynajmniej winą arcydzieła, albo miejscowości, lecz naszej wyobraźni, która w takie tęczowe przystroiła je blaski, że prawda zawsze mniej piękną wydać się musi. Za drugim widzeniem nie doznajemy już rozczarowania, niewiele jednak osób może sobie

pozwolić na powtórzenie jednej i tej samej wędrówki.

Na szczęście — a w psychologii podróżnego rys to wysoce charakterystyczny — rzadko kto zachowuje urazę do widoków, albo dzieł sztuki, które mu zawód sprawiły. Na razie pewna wstydliwość zabrania nam wyjawiać uczucia, których doznajemy, więc staramy się pokryć je maską sztucznego podziwu. Następnie, gdy tracimy z oczu dany przedmiot, to ujemne wrażenie zaczyna się pomału zacierać. Pomiędzy zdaniem ogólnem a osobistym poglądem następuje nagłe porozumienie i w końcu, za powrotem do domu, wyobraźnia zaczyna kreślić na kanwie przeszłości te same złudne obrazy, w które przyszłość poprzednio stroiła. Ponieważ marzyło się o nadziemskich wzruszeniach, wpajamy w siebie pomału przekonanie, żeśmy ich doznali. Wspomnienie potajemnie pracuje i wznosi na nowo gmach, który przedtem stworzyła nadzieja, tak, że nakoniec, gdy powróciwszy z drogi, ktoś opowiada nam swoje wrażenia, jego nieświadome kłamstwa zawody także nam gotują.

Otóż to podwójne podniecenie wyobraźni, przed i po podróży, wystarcza według mego zdania, żeby takową zalecać; z tegoż samego tytułu zwyczaj podróży poślubnych wydaje mi się godnym utrzymania i nadal... Za parę miesięcy jednocześnie z wycieczką do krajów cudzoziemskich, którą zamierzasz zrobić w towarzystwie Maksa, na nawie pożycia małżeńskiego

puścisz się w podróż o ileż więcej ryzykowną! A marzysz o niej również i stroisz ją w swej myśli we wszelkie powaby i radosne wzruszenia. Mogę się założyć, że pomimo twoich tak trzeźwych i praktycznych na świat poglądów, w swojej przyszłości widzisz samo tylko szczęście. Samotność z Maksem — radość. Oczekiwanie na Maksa w domu — radość. Macierzyństwo — radość. Maks w randze oficera, kapitana — radość. I tak dalej i dalej... W rzeczywistości zaś, nawet dla ludzi, którzy się kochają, pożycie małżeńskie przedstawia połączenie szczęścia i udręczeń i nieraz, droga Franiu, zetknąwszy się oko w oko z prawdą, doznasz takiego samego uczucia zawodu, jak ten podróżny, który ma przed sobą sławny z piękności widok, albo przez cały świat uznane arcydzieło. Niech cię jednak to rozczarowanie nie zniechęca; nie zrażaj się niem... Miej ufność i dąż naprzód, pocieszając się nadzieją, że oddalenie, w które przeszłość wszystko pomału odsuwa, powróci dawny urok temu, co w aureoli przyszłości w tak cudnych przedstawiało ci się barwach...

Gdy twoja matka wspomina swoje narzeczeństwo, swoją podróż poślubną; gdy przebiega myślą lata, które coraz większą spójnią jej małżeńskiemu związkowi były, widzi ona taką samą zaczarowaną krainę, o jakiej ty teraz marzysz. A przecież dla niej przeszłością jest to, co dla ciebie jako jutrenka przyszłości dopiero na horyzoncie się ukazuje. O ty czarodziejska potęgo

nadziei i ufudnych wspomnień, które z pokolenia na pokolenie przechodzą! Ty jesteś solą życia!

Główną zaletą podróży poślubnej jest podniesienie stopnia wrażliwości, która wszelkie uniesienia i wiarę w przyszłość potężniejszymi czyniąc, niezbędną jest dla ludzi, wstępujących wspólnie w szranki życiowe. Urokiem tajemniczości i nadzieją nieznanego szczęścia opromienia ona pierwsze kroki młodej pary. Co to znaczy, że sprowadza trochę rozczarowania! Przecież przy zetknięciu z rzeczywistością marzenie zawsze stracić musi, a za powrotem do domu kochające się małżeństwo usunie instynktownie ze swej pamięci wspomnienia mniej przyjemne i wtedy podróż poślubna, otoczona nimbem szczęścia, tkliwości i zachwyty, ukaże się w ich myśli jako symbol małżeńskiego pożycia i jak pełne światła podwoje, przez które weszli w życie.

A więc, droga Franiu, nietylko, że jestem zwolennikiem podróży poślubnych, lecz jeszcze radziłbym je powtarzać, czyli od czasu do czasu wydalać się ze swego zwykłego otoczenia i ponawiać słodkie sam na sam pierwszych dni. Tyle małżeństw zetraca przyzwyczajenie wspólnego pożycia! a przecież to upodobanie w życiu we dwoje, ta potrzeba obecności ukochanej istoty są prawdziwymi skarbami, których żadna nie zniweczy niedola. Podróż pozwoli małżonkom sprawdzić trwałość i odporność łączą-

cych ich więzów; jest ona tem, czem w klasztornym celibacie odosobnienie.

To też ludzie światowi i filozofowie salonów wyśmiewają wspólne, przez męża i żonę odbywane podróże, a szczególnie poślubna najmniejszą w ich oczach cieszy się łaską. Niema w tem nic dziwnego: światowcy i salonowi filozofowie boją się odosobnienia, jak ognia, bo przedstawianie z samym sobą wykazuje im tylko całą ich wewnętrzną nicość.

A teraz powiedz mi, droga Franiu, czy tym cudnym na drodze życia postojem może być ten banalny pobyt w najwykwintniejszym chociażby hotelu, wobec całego stołecznego gwaru i rozrwania myśli? O! brzydki to zwyczaj! Powstał on na gruncie przesytu, bo tylko zblazowani rozpustnicy i panny, które wszelkich wyzbyły się już złudzeń, mogły go wprowadzić.

Nie stosuj się do niego, Franiu. W tę zorzę szczęścia, którą rozpala dla ciebie małżeństwo, wejdź tak, jak weszła twoja matka i twoje prababki. Trzeba, żebyś i ty, tak jak one, odbyła tradycyjną pielgrzymkę ku tym krainom marzeń, ku samotności we dwoje. Przecież przedza życia z jasnych i ciemnych składa się nitek; radość świetnemi barwi ją smugami, troska szarym powleka cieniem; trzeba tak wzmocnić serce, żeby było zdolne jedno i drugie przyjąć ze spokojem. W zaraniu istnienia pocóż się wyrzekać tej świetlanej nadziei, która na dalszą drogę najlepszem jest orzeźwieniem? Prawda, że ze złu-

dzeniami wspólnym idzie ona szlakiem, a często towarzyszem jej — rozczarowanie. Mędracy hołdują jednak illuzyi, bo według ich zdania rzeczywistość i zawód chwilowo ją tylko przyćmiewają; powstaje ona przecież na nowo w duszy ludzkiej i panuje tam wiecznie. Kochaj illuzję, Franiu!

XXX.

Wycieczka do Châteauroux. — Wynalezienie mieszkania. —
Opinia Lusi o prowincyi. — Opinia Frani. — Opinia wuja. —
Rozdział o filozofii szczęścia. — Średni byt sprzyja szczęściu
małżeńskiemu. — Praktyczne rady, dotyczące wyprawy
i urządzenia domu.

Hotel Adryatycki.

Styczeń 1902.

W wycieczce, o której mi, droga Franiu, w swoim liście wspominasz, myśl moja podążała za tobą. Wyobrażałem sobie, jak wchodziłaś z matką i Lusią do wagonu i jak wysiadałaś w Châteauroux. Oczyma duszy widziałem twoją radość, wywołaną ujrzaniem Maksa, zwiedzeniem jego mieszkania i spożyciem wspólnego śniadania tam, gdzie on zwykł się stołować. Zamieszkiwałem to miasto przed piętnastu laty i moje wspomnienia potrafiły wywołać jeszcze z pamięci te place i ulice, które przebiegaliście we czworo w celu wyszukania domku, mającego być gniazdkiem, gdzie się wasze szczęście schronić zamierza.

Zdaje się, że Lusia niezmiernie się oburzała: »Boże! jakież to brzydkie miasto!... Jakie to nie wygodne domy!... No, wiesz, Maksie, ta Frania musi cię naprawdę uwielbiać, żeby zgodzić się na życie w takiej dziurze! Ja bo mam pojęcia bardzo zdeklarowane: nie wyjdę zamąż inaczej, jak pod warunkiem, że będę mieszkała w Paryżu...« Między nami mówiąc, pomimo pozorów stanowczości i tych pięciu miesięcy, o które jest od ciebie starsza, Lusia jest jeszcze dzieckiem, decydującem o wszystkim na ślepo i bardzo dziecinne mającem przekonania. Chociaż jej myśl koło miłości chętnie krąży, nie ma ona o niej najmniejszego wyobrażenia... Ty, moja siostrzeniczko, jako osóbką rozsądniejsza i więcej w tej kwestyi mająca doświadczenia, nie doznałaś wrażeń, jakobyś się na wygnaniu w dzikich krajach znajdowała, dlatego, że domy nie są tak wysokie, a sklepy i magazyny nie tak wspaniałe i nie przy tak szerokich znajdują się ulicach. Zapewne nie mogłaś posunąć wyrozumiałości aż do podziwiania Châteauroux. Lecz jest to miasto, w którym obowiązki służbowe zatrzymują Maksa; doznawałaś niewymownej radości, zwiedzając je po raz pierwszy w jego towarzystwie, a myśl, że tutaj wszędzie gwiazda waszego szczęścia, opromieniała ci wszystko swoim blaskiem, i banalny wygląd prowincjonalnego miasta zajmującym i nawet drogim ci uczyniła.

»Jakie to zabawne, wujaszku! — mówisz do mnie. — Châteauroux stanowczo nie jest miejscem,

którebyśmy z Maksem na stały pobyt wybrali... Miasteczko jest ponure, wszystkie mieszkania, które oglądaliśmy, są nieszczerłone, a nawet brzydkie...

A jednak od czasu, gdy powróciłam do domu, doznaję uczucia tęsknoty za tymi starymi, pełnymi melancholii domami i za całym wogóle ich otoczeniem. I zdaje mi się, że żałowałabym nawet trochę, gdyby Maksa przeniesiono nagle do Paryża!«

Wybornie się to składa, droga Franiu, bo trudno o lepsze usposobienie dla żony wojskowego. Zresztą co do ostatniego punktu zgadzam się z tobą najzupełniej i bardzo byłbym nierad, gdyby przeniesienie Maksa miało teraz nastąpić. To też, chociażbyś nawet tego pragnęła i pomimo mej słabości, a twojej nade mną władzy, nie wymogłabyś na mnie ani jednego kroku w celu doprowadzenia do takiej zmiany. Dziwi cię to? Wymienię ci powody, a jednocześnie odpowiem na kilka zadanych mi przez ciebie pytań, dotyczących waszej instalacyi.

Postaram się rozwiązać trudne zagadnienie, polegające na połączeniu ograniczonego budżetu z zupełnie naturalnem pragnieniem posiadania możliwie miłej, a nawet wykwintnej siedziby.

Spojrzyjmy na te sprawy z wysoka.

Wspomniałem ci już, droga Franiu, o pewnej filozofii, albo, jeśli wolisz, higienie szczęścia. Przepisu na nią niema — i wielka to szkoda, bo jeszcze lekkomyślniej, niż nawet zdrowie, więk-

szość ludzi marnuje zdolność radowania się. Nie czuję się i ja na siłach, żeby być w tym zakresie prawodawcą, znam jednak kilka zasad, które mi rozmyślanie podsunęły, a doświadczenie potwierdziło.

Jedną z nich, i to nader ważną, jest przekonanie, które należałoby głęboko wszczepić w dusze młodych małżonków, że szczęście polega na przestawianiu z sobą i na wspólnem rozkoszowaniu się tym cudnym majem życia, jakim jest młodość. Wszelkie korzyści, odnoszone ze stanowiska, ze stosunków, z majątku, nietylko tego szczęścia nie powiększają, lecz gdy pewną przekroczyły granicę, uszczerbek mu nawet przynoszą. Wyłączyć trzeba naturalnie z pod tego prawa te wypadki, gdzie w grę wchodzi troska o chleb powszedni, albowiem, jak mówi św. Augustyn: »swoboda myśli jest pierwszym warunkiem szczęścia«. Żeby jednak młody człowiek lat dwudziestu pięciu odczuł w całej pełni szczęście, jakim jest być twoim mężem, Franiu, śmiem twierdzić, że lepiej jest dlań, gdy posiada on osiem tysięcy franków dochodu, niż gdyby sto tysięcy rocznie miał do rozporządzenia; lepiej, że skromnym jest oficerem, niż gdyby otaczała go sława, albo olbrzymie interesa umysł mu zaprzątały; lepiej na koniec, że zamieszkiwać będzie skromny dom w mieście prowincjonalnem, niż, gdyby książęcy pałac na ulicy Montaigne'a zajmował... Zauważ, że nie przytaczam żadnych mglistych i płytkich teorii o zadowoleniu, po-

chodzącem z miernego bytu; ja przedstawiam ci tu poglądy bardzo ścisłe i w ograniczonym zawarte obrębie.

Gdy Maks dojdzie do lat czterdziestu, a ty, Franiu, trzydzieści trzy będziesz miała, inaczej do was przemówię... Tymczasem powtarzam moje przekonanie, że mierna fortuna, skromne stanowisko, cisza i spokój otoczenia sprzyjają szczęściu, a nawet niezbędnymi są dla młodej pary, którą prawdziwa łączy miłość. Ten boski dar starczy za wszystko i rozegra im dusze melodyą takiego szczęścia, że wszelka niezwiązana z nim radość te jasne dźwięki jedynie przytłumić może. Pierwsze lata małżeństwa mam tu na myśli, bo jakkolwiek miłość nigdy nie opuści twego domowego ogniska, młodość odbiegnać je musi. I przyjdzie czas, w którym, kochając Maksa równie silnie, kochać go będziesz inaczej. Wasze wzajemne do siebie przywiązanie, nie zmniejszając się bynajmniej, inny przybierze charakter, tak jak i wasze oblicza, które z latami starzeć się będą. Łudzić się co do tego byłoby dzieciństwem. Miłość nie będzie już pochłaniała wszystkich twoich myśli i nie skrzywdzisz jej, poświęcając czemu innemu część swojej istoty. I wtedy nową fazą odpowiedniej wiekowi miłości będzie zajmowanie się wspólnie z Maksem jego awansem, majątkiem i dobrobytem domowym; a z umiejętnego przystosowania się do tych naturalnych przemian, którym uczucie podlegać musi, harmonia i zgoda w małżeństwie wypływają. Szczę-

ście we dwoje staje się dojrzałym we właściwym czasie owocem; przedwczesne jak i spóźnione płody dobrymi nazwać nie można.

Mam prawdziwą litość dla tych bogatych małżeństw, których tak dużo w Paryżu widzimy. Jacyż to biedni nowożeńcy! Gdy dodamy ich lata, zaledwie czterdzieści naliczymy wiosen, a już od razu skazani są na życie, otoczone całym aparatem zbytku i wygod, z całym dworem służby, z całym umęczeniem przyjęć i wizyt i z troską o posuwanie się naprzód w społecznej, albo towarzyskiej hierarchii. Taka egzystencja, takie zabiegi, które tylko dojrzałemu przystoją wiekowi — są ich udziałem. Zamiast żeby jakie dziesięć lub piętnaście lat żyli sercem, młodość przechodzi im na zajmowaniu się sprawami, których zawodną czczość i tak dosyć wcześniej poznają, a i w interesach jedyny dodający powabu czynnik — świadomość postępu, zostaje im odjęty. Mają wszystko — od razu.

Żał mi również tych skromniejszych już małżeństw, które zmuszone są wybrać Paryż na stały pobyt. Bez względu na ich prawość i duże wzajemne przywiązanie, ten jarmark szalonego zbytku, rzucający się na każdym kroku w oczy, nieprawia mniej odporne dusze. Ileż ja ich widziałem, tych nieszczęśliwych stadeł, którym pożądanie zbytku psuło szczęście wspólnego pożycia! Czyż dwoje ptasząt w niemiłym gniazdku dobrze czuć się może? Zdarza się i tak, że to obrzydzenie sobie domu w szlachetnem altru-

stycznym uczuciu ma źródło. Przy głębszej obserwacji znajdziemy na dnie miłość. Mąż myśli: »Wykwint byłby dla niej taki odpowiedni! To cudne cacko w tem skromnem otoczeniu, jakaż to sprzeczność!...« Żona kombinuje inaczej: »O ileż ładniejbym wyglądała w tamtej sukni, w tamtym salonie! A on kochałby mnie wtedy napewno więcej!« O głupoto! nie wiedzą o tem, że niema takiej ozdoby, któraby powiększyła czar młodości, bo ta krasa zbytkownej oprawy nie potrzebuje, wprost przeciwnie nawet. Dajcie róży złote podszycie, czy uczynicie ją piękniejszą? Bynajmniej, naturalny wdzięk tylko jej odbierze. To są wszystkim wiadome i przez wszystkich uznane prawdy, lecz młodzi ludzie nie chcą ich zrozumieć.

To też wcale paradoksem nie jest przekonanie, że wielkie to dla was szczęście, iż nie jesteście bogaci, że nie zajmujecie wybitnego stanowiska w świecie, i że los do zamieszkania w skromnem prowincjonalnem miasteczku was zmusza. Dobrotliwa Opatrzność pokusy nawet wam oszczędza. W Châteauroux, przy waszych dochodach, upokarzających porównań nie potrzebujecie się obawiać. Jednak na zbytek pozwolić sobie także nie możecie. Nie będzie też o nim nawet mowy, jak również o fałszywej ambicji, prócz tej jednej — godziwej, żeby Maks w porę awansował... Szczęśliwe dzieci! Z całą swobodą możecie myśleć o sobie i kochać się,

ile sił starczy! Szczęśliwe, po stokroć szczęśliwe dzieci!

Co się tyczy moich zapatrywań na kwestję urządzenia domu, a nawet twojej wyprawy, to zalecam ci naturalnie ogromną skromność, licującą z twoim wiekiem i z fortuną. Brzydota jednak, a co gorsza, pospolitość za jedno ze skromnością nie bierz, i tutaj co do znaczenia tego wyrazu porozumieć się musimy.

Omówmy najpierw sprawunki, dotyczące twojej wyprawy. W jaki sposób je ograniczyć? Oto usuwając przedewszystkiem zbyt kosztowną bieliznę, także toalety i klejnoty, które, pominąwszy już, że i z majątkiem w rozdźwiękby weszły, twojemu młodemu wiekowi wprost nie przystoją. Uprzedzam cię, że jeśli bym znalazł w wyprawie spódniczkę za pięćset franków, o której tak często wspominają reklamy, podreję ją w twoich oczach.

Drugim środkiem na zmniejszenie wydatków jest ograniczenie ilości nabywanych przedmiotów, a ten bardzo łatwy i pewny sposób pozwoli ci wyłącznie w ładne zaopatrzyć się rzeczy.

Przenigdy, wyjąwszy naturalnie absolutny brak, nie należy kupować coś brzydkiego. Uszczuplij do odpowiednich rzeczywistym potrzebom granic projektowaną wyprawę, niech ona jednak świadczy o twoim wykwintnym guście i poczuciu piękna, zamiast żeby bogactwem i zbytkiem olśniewać.

Taką samą kieruj się zasadą przy urządzeniu

waszego domowego ogniska. Wybierz dom nie-duży, ale przyjemne dla oka czyniący wrażenie. Sprawdziłaś już sama podczas pobytu w Rosny-sur-Mer, że na bardzo małej przestrzeni zmieścić można bardzo duże szczęście, to też mojem jest pragnieniem, żeby ograniczony rozmiar twego mieszkania odpowiadał twojej młodości i charakterowi »debiutantów w życiu«, jakimi wy jesteście. Na co wam tyle miejsca, gdy szczęście polega na tem, żeby być blisko siebie?... Zresztą niewielki domek wymaga mniejszej ilości mebli, obić, firanek, a o ileż łatwiejsem jest utrzymanie go w porządku. Ta nieliczna służba, którą rozporządzać będziesz, da sobie z łatwością radę; a jak przy nabywaniu wyprawy radziłem ci przeprowadzenie starannego wyboru, tak i w tym wypadku zalecam kupowanie niewielu, ale tylko ładnych rzeczy.

Żeby ci to zadanie łatwiejsem uczynić, przytaczam ci bardzo prostą zasadę. Przedmioty, których do domu potrzebujesz, powinny być w ten sposób wybrane, żeby nie zeszpeciły waszej siedziby, gdy będzie ona większa, a jej mieszkańcy starsi i poważniejsze stanowisko w świecie zajmować będą.

Jak to łatwo stworzyć sobie miłe i trwałe otoczenie, czerpiąc pomysły ze starożytnych umeblowań, albo posiłkując się modnymi obecnie stylami, o ile naturalnie takowe w dziedzinę dziać się nie wkraczają. Wymówiłem wyraz »trwałe«, bo zaleta to nader ważna. Trudno ce-

nić ludzi, którzy raz po raz zmieniają umeblowanie! Nie mają oni najmniejszego poczucia domowego ogniska. Jeśli odpowiednią sumą rozporządzać nie możesz, urządz tylko trzy pokoje w twojem mieszkaniu, ale nie odstępуй od zasady i pod pozorem tymczasowości nie kupuj nic pospolitego. Jestem jednak o ciebie spokojny; wiem, że masz gust wytworny, nie ujrzę też w twoim domu takich rzeczy, jak kredens w stylu Henryka II, z rzeźbami w kształcie kuropatw na odrzwiach, jak te okropne portyery welwetowe i wszelkie inne pospolite imitacje; słowem nie spotkam w twojem gniazdku tego taniego, a tak bardzo wstrętnego zbytku. Ty potrafisz dobry uczynić wybór; jedyną przestrogą, której ci udzielić pragnąłem, jest zastrzeżenie, żebyś nie kupowała zbyt drogich rzeczy i za dużo ich posiadać nie pragnęła.

A zatem, wyprawa liczebnie niezbyt obfita, lecz wykwintna, jakkolwiek bez zbytków; nie za duże i całym swym charakterem materyalnemu waszemu uposażeniu, waszemu wiekowi i stanowi odpowiadaające mieszkanie, gdzie jednak każdy przedmiot będzie obliczony na to, żeby się nadawał do stopniowo powiększającego się domu: oto, w jakich zamknąłbym granicach moje dezyderata dla młodego stadła Despeyroux. W ten tylko sposób unikniesz śmiesznych i niesmacznych usiłowań zachowania fałszywych pozorów, co jest wykroczeniem przeciwko harmonii, a co za tem idzie — brzydotą. Nie popełnisz także dru-

giego błędu, dowodzącego braku estetycznego zmysłu, a niejako i rodzinnego poczucia, nadając prowizoryczny charakter swemu domowemu ognisku. Rzeczy, otaczające cię w pierwszych dniach małżeńskiego szczęścia, warte są tego, by je starannie zachować; niechże będą one pomimo swojej skromności dosyć ładne, żeby i w najlepszych okolicznościach twego życia miłymi towarzyszami ci będąc, mieszkania jednak nie szpecyły.

XXXI.

Zimowa stacya klimatyczna. — Niepotrzebna zieloność i niepotrzebne słońce. — Młode kosmopolitki: Pepa, Inez, Lily. — Zawodowa niedyskrecya. — Dzieci. — Frania stosuje się do tradycyi. — Można przyspieszyć ślub.

Hotel Adryatycki.

Luty 1902.

W tym uprzywilejowanym zakątku Europy, skąd piszę w tej chwili do ciebie, zima przyszła tak nieznacznie, skradając się, że do tej pory środek jesieni zaledwie przypomina. Dobry gust mieszkańców, a może i zmysł praktyczny zarządu i właścicieli hotelów obsadził wszystkie aleje i parki takimi gatunkami drzew, które nie podlegają zanikaniu zimowemu. Rzucając swoje jasne promienie z niezaćmionego żadną chmurką nieba, słońce uwydatnia na wiecznie suchym gruncie cięń wiecznie zielonych liści; to też przyroda nie przywdziewa nigdy żałoby po minionem lecie. I sam nawet czas zdaje się zatrzymywać w swym biegu i patrzeć łaskawem okiem

na niewiedzącą zieloność magnolii, wyrosłych trzmielin, drzewek pieprzowych i mimoz.

Wiele osób przybyło tutaj, jak i ja, w tym celu, żeby wobec tej nigdy nie starzejącej się natury zachować dłużej illuzję własnej młodości. Są to przeważnie ludzie o niewiadomem pochodzeniu, bardzo bogaci i, co za tem idzie, bezczynni, ludzie, którzy spędzają »sezony« tam, gdzie ich moda danej chwili prowadzi i, według słów Stendhala, znajdując się zawsze na drodze do Cosmopolis, o ile stamtąd nie powracają. Jak bardzo bezbarwną, nieciekawą, banalną jest ta wędrowna ludność! a i charakter jej i obyczaje stoją na nader niskim poziomie. Obserwując te zanadto wystrojone kobiety, te o zbyt swobodnem zachowaniu się panny, tych beczelnie próżnujących mężczyzn, rozumiemy, jak mało prawdziwego zadowolenia z pobytu w tym rajskim zakątku odnoszą ci wyzwoleni z wszelkich życiowych więzów bogacze... Oczy moje pomimo woli biegną za nimi i przychodzą mi wtedy na myśl biedne szwaczki, nieszczęśliwi subjekci, urzędnicy, którzy w tym samym czasie więdną w mglistem i przesiąkniętem wilgocią powietrzu Paryża... Jak niezmiernemby to było dla nich szczęściem i wytchnieniem spędzić w środku zimy ze dwa tygodnie w tem słońcu i zieleni! Niestety! dla biedaków nieuchwytne to marzenie, a kosmopolici, którzy niczem cieszyć się już nie umieją, mają go aż do przesytu. Jakichże bolesnych sprzeczności nasza ziemia jest obrazem!...

Trzy panny, należące do tego świata przelotnego ptactwa, zawiązały wczoraj pod mojem oknem rozmowę. Z początku niecierpliwiła mnie ta ich paplanina; wstrzymałem się z pisaniem, nie mogąc się jednak doczekać końca, dałem za wygraną, odłożyłem pióro i zbliżywszy się do przymkniętego okna, zacząłem słuchać. Było to niedyskretnie? Zapewne! Jestem przygotowany na takie same wyrzuty, jak wtedy, gdy pewnego piątku w sali przyjęć zakładu Berquin stałem się mimowolnym świadkiem rozmowy trzech uczennic z przybyłą do nich w odwiedziny przyjaciółką. Nie twierdzę bynajmniej, że jestem bez winy, ale kto chce opisywać współczesne obyczaje, do popełniania niedyskrecyi czyż nie jest zmuszony? A zresztą czemuż przyszły tutaj te papużki, jakim prawem zakłócały mi spokój?

Nie mogłem ich dojrzeć, nie chcąc zdradzić swojej obecności, poznałem je jednak po głosie. To były w całym znaczeniu tego wyrazu kosmopolitki, bawiące tutaj tylko w czasie »sezonu«. Przyszły one zapewne na świat w jakim »first class hôtel« Kairu, Rzymu, Ostendy albo Riwiery. Dwie z nich były siostrami, lecz pomimo czarnych u obu włosów żadne nie łączyło je podobieństwo. Starsza, Pepa, była okrągłutką sobie osobką o ładnych niebieskich, lecz bez wyrazu oczach; młodsza, Inez, niezwykle odznaczała się urodą: delikatną twarzyczką i wiotką a wysmukłą postacią przypominała ona te piękne owady, zwane pannami, które fruując latem z kwiatka na

kwiatek, zatrzymują się to na wodnej lili, to na kosaćcu, lub wreszcie trzcinę sobie upodobawszy, na niej wybierają miejsce chwilowego spoczynku... Imiona dwóch siostr zdradzały hiszpańskie pochodzenie, nie było mi jednak wiadomem, czy Hiszpania, czy też Ameryka Południowa ojczyzną im była. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia w obec tego, że wszelki ślad narodowości zupełnie się w nich zatarł. Rozmowę prowadziły po francusku i po angielsku, a tymi to językami posługuje się świat kosmopolityczny i hotele. Władaly nimi doskonale i, nie zdając sobie z tego nawet sprawy, przechodziły od jednego do drugiego, i tylko zupełny brak jakiegokolwiek akcentu zdradzał osoby, które same nie wiedzą, w jakim myślą języku.

Te panny obdarzały oznakami niezmierniej czułości swoją interlokutorkę, przedstawiającą typ zupełnie odrębny. Ta piękna, a nader swobodna Rumunka spędza tutaj z matką cały sezon. Jest ona narzeczoną pewnego austriackiego oficera, który do niej przyjeżdża na każdą niedzielę. Nie mam pojęcia, jak jej na imię; jej towarzyszki — z którymi przed niedawnym czasem w hotelu się poznała i które odtąd ani na chwilę jej nie opuszczały — nazywają ją Lily, wymawiając ten wyraz z angielska. Patrząc na nią, nie mogę się obronić myśli o tobie, Franiu, a to z powodu podobieństwa sytuacji. (Obie wychodźcie zamąż za wojskowych).

Lily, Pepa i Inez mówiły najpierw wszyst-

kie razem; nie też dziwnego, że z początku nie rozróżnić nie mogłem w tym koncercie, w którym trzy głosy i dwa języki wzajemnie zagłuszyć się pragnęły. Po chwili dosłyszałem kilkakrotnie wymówione imię narzeczonego Lily, Rudolfa, a potem rozmowa zaczęła wchodzić na spokojniejsze tory. Zdawałoby się mogło, że niektóre panny, gdy się spotkają, muszą co prędzej i jednocześnie wyrzucić z siebie nadmiar wymowy i wtedy dopiero mogą mniej więcej naśladować sposób wymiany myśli innych ludzi.

— Ja nie chcę ich mieć wcale — oznajmiła Inez, gdy chwilowe zaległo milczenie. — Ani teraz, ani nigdy!

— A mnie się zdaje — odpowiedziała nieśmiało Pepa — że nie zrobiłoby mi to przykrości; tylko gdy będę starsza... ot tak, jak będę miała jakie trzydzieści — czterdzieści lat.

— No, już przesadzacie — odrzekła Lily tonem osoby, która ma duże doświadczenie za sobą. — Ale i ze zdaniem Rudolfa zgodzić się także nie mogę, i wolę raczej zerwać wszystko, niż mu uledeć.

O co chodzi? Jakież mogły być te wymagania Rudolfa, skoro uroczą Lily myślała o zerwaniu, pomimo jego bogactwa i tytułu barona, jaki nosił.

— Już dosyć — mówiła dalej piękna Rumunka — że będę skazana na spędzenie paru miesięcy do roku tam, gdzie stoi jego pułk, w jakimś zapadłym prowincjonalnym kącie o pięć-

dziesiąt wiorst od Tryestu! Nie mam najmniejszej ochoty być cały rok na uwięzi... Przykład mojej starszej siostry wystarcza mi w zupełności. Od czasu, jak poszła za mąż, jest jak w niewoli w tej swojej wiejskiej głuszy i nikogo nie widuje, prócz męża i swoich dwojga dzieci... Trzecie jest w drodze. I to się nazywa żyć?

Pepa przyznała jej słuszość, napomknęła jednak nieśmiało, »że możnaby je przecież zabrać z sobą w podróż«. I zaczynałem rozumieć, że nie o zwyczajnym bagażu mowa.

— Co? zabrać je z sobą w drogę?! — zawołała Lily. — Ależ kochanko, ty nie wiesz, co mówisz! Przedewszystkiem porządne hotele nie przyjmują wcale osób, które ciągną dzieci za sobą. Te malcy piszczą, przeszkadzają wszystkim i z byle czego chorują, bo wiesz, ten drobiazg to rzecz strasznie delikatna!... A przytem kobieta, która ma z jednej strony męża, a z drugiej niańkę, nie ma najmniejszego powodzenia!... Flirt stroni od takich, jak od ognia...

— Zresztą — zauważyła Inez — naprawdę nie rozumiem, co ludzie widzą w dzieciach ładnego. To są po prostu krzykliwe i niezupełnie czyste lalki, oto wszystko.

— E, są i ładne — wtrąciła łagodząco Pepa.

— Tak ci się zdaje dlatego, że widzisz je wtedy, gdy są umyte, wystrojone i że zabierają je natchmiast, jak tylko zaczynają być nieznośniami — odpowiedziała Inez. — Ale mieć je u siebie w domu, to musi być straszne... Mnie cudze dzieci

wystarczają. Gdy pójdeż zamąż, postawię za warunek, żebym ich wcale nie miała.

— Tak ostro kwestyi z Rudolfem nie postawiłam — powiedziała Lily. — Rozumiem doskonale, że pragnie on mieć syna, dziedzica imienia i fortuny... Ale niechże to będzie w parę lat po ślubie; przedtem chcę użyć swobody. Potem to już zrobię to poświęcenie.

— Będzie tyranem, jeśli ci odmówi.

— W takim razie zrobisz doskonale, jeśli z nim zerwiesz — potwierdziła Inez. — Uf, jak gorąco, słońce zaczyna dopiekać. Możebyśmy poszły na *beach*?

— Chodźmy!

Powstały i podobne stadku kuropatw, szleszcząc sukniemi, pofrunęły na tak nazwane w ich języku *beach*, czyli wybrzeże.

W ten sposób moja siedziba odzyskała zwykły spokój, z czego skorzystałem, żeby odczytać jeszcze raz twój ostatni list, w którym podajesz w wątpliwość praktyczność moich rad, dotyczących waszej instalacji w Châteauroux. Wierz, lub nie wierz, ale oczy mi zwilgotniały, gdy doszedłem do następującego ustępu, który stał w tak rażącej sprzeczności z tylko co usłyszana przeze mnie rozmową:

»Tak, wujaszku, zgadzam się z tobą co do tego, że szczęście we dwoje dużo miejsca nie potrzebuje, to też niewielki domek nam wystarczy. Zdaje mi się jednak, że zapominasz o jednej bardzo ważnej rzeczy, o której ja dosyć często

myślę: w tym małym domku czyż nie trzeba przygotować trochę miejsca dla naszych dzieci?»

»Nasze dzieci!...« Droga, kochana Franiu! Jakżeby cię chętnie uściskał za te z taką prostotą wypowiedziane słowa! Brawo! brawo! W ten tylko sposób, śmiało i spokojnie powinna mówić o tem swojem świętem posłannictwie młoda narzeczona. Biada tym niepewnym pannom, które pragną iść zamąż, a wyrzekają się macierzyństwa, biada i takim, które rumienią się na sam ten wyraz, bo matki, zamiast mówić im z prostotą o czekających je obowiązkach, wysyłają je z pokoju, gdy o dzieciach mowa. Dzięki Bogu, zdaje się, że XIX wiek zabrał z sobą ostatnie ślady takiego nedorzecznego, a nawet niemoralnego wychowania! Jakto, najszczytniejsze zadanie, najświętszy obowiązek kobiety to macierzyństwo, a świadomość i poczucie tego przeznaczenia miałyby być dla niej szkodliwe? Więc lepiej jest, gdy młode panny wychodzą zamąż z tem przekonaniem, że małżeństwo to przyjemny spacer we dwoje, albo trochę tylko poufalszy, wspólnie odtaneczony kontredans?...

Ty, Franiu, jesteś w zgodzie z tradycją naszego kraju, która uległa skażeniu dopiero w drugiej połowie ubiegłego wieku. Twoje czyste spojrzenie śmiało i otwarcie przed siebie spogląda. Jako narzeczona kochasz całą duszą i bez fałszywego wstydu człowieka, którego twoje serce wybrało, i wstępując w związki małżeńskie, wy-

znajesz, że z pojęciem szczęścia łączy się w twojej duszy pragnienie macierzyństwa, to też zakładając domowe ognisko, troskasz się zawczasu o to, żeby i dla dzieci miejsca przy nim starczyło.

Ciepło mi się robi na duszy, gdy czytam te słowa, i przypuszczam, że w taki sposób pojęcie małżeństwo musi być przybytkiem wielkiej szczęśliwości. Wszak jest ono zupełnem przeciwieństwem do bezmyślnych, na ślepo zawieranych związków. Wzajemna i samorodna miłość go stworzyła; poprzedził je tak długi przedślubny okres, że młoda para miała dosyć czasu, by się wzajemnie poznać i zrozumieć, a myśl o przyszłej rodzinie, której stają się oni związkiem, przyświeca im, jak jasna pochodnia, i wiedzie w krainy wyższych i szlachetniejszych celów.

Ach, droga moja Franiu, jakżebym pragnął wypowiedzieć ci jak najprędzej moją radość z tych tak pełnych dobrej wróżby zapowiedzi. Mam nadzieję, że to niezadługo już nastąpi, bo zamierzam w tych dniach opuścić brzegi Adryatyku i zwrócić swe kroki ku ojczyźnie. Zapowiadasz mi oznajmienie wielkiej nowiny; ponieważ przed końcem tygodnia będę w Paryżu, mam nadzieję, że sam ją z twoich ust usłyszę. I patrzajże, jak jestem domyślny: coś mi się zdaje, że ta wielka nowina odnosi się do dnia twojego ślubu. Nie zapomniałem jeszcze, że postanowiłaś skrócić czas swojego narzeczeństwa, no i nie wątpię ani chwili, że potrafisz uzyskać to, czego pragniesz. Niektóre ustępy z listu pani Le Quellien

każą mi się domyślać, że postanowienie jej mięknie; zapytuje mnie ona o zdanie. Przecież nie przypuszczasz, że będę zdolny odpowiedzieć przecząco. Z lekkim sercem przyspieszę twoje małżeństwo. Jesteś odpowiednio przygotowana, by być dzielną żoneczką i pełną poświęcenia mamusią...

I zdaje się, droga Franiu, że ostatni to list, który wuj-mentor adresuje do »panny Franciszki Le Quellien«.

EPILOG.

Do pani Maksowej Despeyroux.

Otrzymuję w tej chwili od ciebie kartę pocztową, na której wraz z wizerunkiem młodocianego króla Hiszpanii na marce i z fotografią katedry w Burgos znajduję słowa:

»Dzień dobry, wujaszku. Jestem szczęśliwa. Ale czemu nie piszesz?

Frania Despeyroux.

Hm!... Dla przyczyn, które wyłuszczyłem w jednym z moich listów, droga moja, świeżo promowana w godność mężatki, siostrzeniczko, szczęścia mąci ci nie chcę, więc kończę z udzielaniem rad i to już raz na zawsze. Ponieważ nie chcę przeniebierzyć się swoim zasadom, a ty żądasz listu, przepiszę ci parę stron z mojego dziennika. Pisałem je 17-go marca, po powrocie do domu z bardzo przyjemnego obiadu, który się odbył u pani Le Quellien w dniu podpisania twojego ślubnego kontraktu. Jeśli zachowałeś

moje poprzednie listy, dodaj i te słów parę; będą im one epilogiem.

* * *

»Ostatni to wieczór, spędzony w towarzystwie panny Frani — jej dziewiczy wieczór. Jutro o tej samej godzinie będzie ona daleko; odbiegnie od nas, by iść za swoim małżonkiem. Okrutne prawo, sprawiedliwe prawo... Obyż szczęśliwą była!

»Rozmawiałem niewiele, skupiłem zato na Frani całą swoją uwagę. Myślałem o niej z podwójnem uczuciem smutku i radości, ta ostatnia jednak przeważała. Myślałem także trochę o sobie. Przesuwały się w mej pamięci udzielane jej przeze mnie rady, przekonania, któremi natchnąć ją pragnąłem... Ja, duchowy jej doradca, robiłem rachunek sumienia...

»Ktokolwiek bierze na siebie zadanie kierowania młodą duszą, o dwóch obowiązkach przede wszystkim pamiętać powinien, mianowicie: że nie wolno wskazać fałszywej drogi, ani też samemu zabiłdzić.

»Nie mówię już nawet o tem, żebym mógł świadomie Franię błędnymi wieść szlakami. Urok młodości nie zaślepił mnie aż do chęci przypodobania jej się za pomocą miłych i pochlebnych rad. A i od własnej wiosny życia nie odbiegłem jeszcze tak daleko, żeby świadomość blizkiego z Franią pokrewieństwa moje poglądy goryczą

zaprawiła, a zrozumienie i odczucie duszy osiemnastoletniej istoty za trudnem mi było. Wypowiedziałem Frani szczerze moje przekonania, a drogę, którą jej wskazałem, uważam naprawdę za najlepszą.

»Czy tylko ja sam się nie pomyliłem?

»Od kilku już lat uroiłem sobie, że kobieta-dziewica stopniowemu a bardzo zbawiennemu ulega przeistoczeniu. Zdaje mi się, że uświadamia ona sobie swoje prawa i obowiązki coraz jaśniej; że poważniejszą i pracowitszą się staje; że zrywa coraz częściej wiążące ją pęta; że z wyłącznej myśli o gałgankach i zabawie się wyzwala. Zdaje mi się, że ta ewolucya we Francyi zapoczątkowała się od niedawna i że typ fałszywych niewiniątek zetraca się w mieszczaństwie coraz bardziej i prawie wyłącznie w świecie kosmopolitycznym spotkać go można.

»Czy jednak z prawdą się to moje przekonanie nie mija?

»Czy nie jest ono illuzją, czysto literackim wytworem wyobraźni, o którym roi mi się dlatego, że jako pisarz pragnę tej zmiany, bo zao krągła ona w nader zręczną całość moje pojęcie o młodej paninie z początków XX stulecia? Lub jestem ja może ofiarą takiego samego złudzenia, jakiemu ulega podróżny, patrzący z okien wagonu na dążący po równoległych szynach pociąg? Ruch, przypisywany przeze mnie pociągowi, gdzie mnie niema, czy nie jest przypadkiem posuwaniem się tego, w którym ja się znaj-

duję? Czy to moja własna przemiana każe mi w młodej paninie przemianę widzieć?

»Zbadajmy jeszcze raz to zagadnienie, wznosząc się na chemiku, który robi analizę, nie mając żadnych pragnień co do rodzaju pierwiastków, mogących się znaleźć na dnie jego retort.

»Skąd powstało moje przekonanie? w jakim rozumowaniu i obserwacyi leży jego źródło?

»A więc, jest pewne ogólne prawo, które jednakowo wszelkim społecznym ruchem, jak i ściśle fizycznymi zjawiskami rządzi. W ostatniem dwudziestopięcioleciu XIX wieku — a mówię tylko o tym czasie, na który własnymi patrzyłem oczyma — wychowanie kobiecie grunto wało się na jednej głównej zasadzie, streszczającej się w absolutnem zabronieniu młodej paninie — być »kimś«. Pod naciskiem takich pojęć młode dziewczę dwie tylko drogi miało przed sobą: obłudę albo nicość. Reakcya przeciw takiemu systemowi musiała przyjść niechybnie, zupełnie tak, jak po deszczu pogoda następuje. Było do przewidzenia, że prędzej czy później rodzice, wychowawcy i same panny nakoniec zechcą zerwać te więzy, aby wychowanie racjonalniejszem uczynić.

»Pominąwszy już to czysto mechaniczne prawo społeczne (stosunek reakcyi do akcyi), mamy inny jeszcze, wyłącznie do dzisiejszej epoki zastosowany dowód, polegający na powszechnem dążeniu kobiet do większej wolności, do czynu,

do równouprawnienia z mężczyzną. Można się śmiać z tego ruchu, lub nad nim boleć, ale uznać go trzeba. Kobieta chce być »człowiekiem«, a nie odbiciem takiej lub innej męskiej jednostki. Ona tego chce i równie za granicą, jak i u nas, zdobywa sobie pomału coraz szersze prawa. Zupełnie to przecież naturalne, że młode panny odczuwają także te usiłowania i dążą do wykazania swojej indywidualności, do wyrobienia sobie charakteru i własnych pojęć, czego do tej pory tak surowo im wzbraniano.

»A zatem a priori przypuścić można, że młode dziewczę dużej uległo przemianie. Zastanówmy się, czy w życiowej, np. osobistej mojej obserwacji znajduje ta teoria potwierdzenie?

»Niestety! dla jednego obserwatora jakże ograniczonem jest pole badania swoich współczesnych, a młoda panna, mało jeszcze do życia codziennego wmieszana, jest jeszcze trudniejszą do rozwiązania zagadką.

»Jedyne młode dziewczę, którego duchowe przejawy uważnie śledziłem, to moja ukochana siostrzenica — Frania. Co do niej nie mam żadnych wątpliwości. To nie żadna niewinna gąska, ale też kozakiem-dziewczyną lub fałszywym niewiniątkiem nazwać jej również nie można. Przedstawia ona zupełnie nowy, nieznany w literaturze przejściowy typ. Zniosła bez szemrania przymus wychowania na starą modłę, potrafiła jednak swój umysł z tych pęt wyzwolić. Wykształcona w jednym z najbardziej zacofanych

zakładów naukowych, nie pominęła żadnej sposobności, żeby się oświecić. Skazana przez matkę na zawarcie małżeństwa z rozsądku, wybrała sobie sama męża, trochę tylko od niej starszego i niemającego młodzieńca. Bogactwa, stanowiska, ani nawet swobody w małżeństwie ona nie szuka, widzi w niem tylko obowiązki żony i matki. Prawda, że niektóre, krępujące ją dawniej powijaki i dzisiaj jeszcze swobodę jej ruchów tamują; trochę kokieterii, przebiegłości, a nawet trochę sentymentalizmu można się w tej pociągającej osobce doszukać, ale to nie jej wina; a i tak jakż znaczny postęp widzimy w takiej jednej Frani!

»...A inne panny?

»I innych znam też kilka.

»W tej chwili przychodzą mi na myśl dwie siostry, córki wyższego urzędnika, który mi opowiedział, co następuje. Przyszły one razu jednego do ojca i rzekły: »Ojcze, jedna z nas skończyła lat dwadzieścia pięć, druga tego wieku dobiega. Według wszelkiego prawdopodobieństwa zamąż nie pójdziemy, bo primo, nie mamy posagu, a secundo, jesteśmy zdecydowane uczynić to tylko z miłości... Nasza młodość przechodzi, a ten rodzaj życia bez celu i bez pożytku bardzo nas męczy. Czy pozwolisz nam, ojcze, nauczyć się jakiego rzemiosła i zarabiać na swoje utrzymanie?« Ojciec zezwolił.

»Opowiem inny jeszcze fakt, który sam sprawdziłem: Z powodu wydania pewnej książki otrzy-

małem przed dwoma laty od nieznajomej osoby list następującej treści:

»Panie, mam lat osiemnaście i mieszkam z matką, jak twoje Fryderyka i Lea. Tak, jak one, i ja pragnęłabym się usamowolnić, być »człowiekiem« i zarabiać na swoje utrzymanie (oto ów zwykły węzeł gordyjski). Co mam robić?...«

»Doradziłem jej stenografię-daktylografię. Po trzech miesiącach zgłosiła się do mnie starsza już osoba w towarzystwie młodej, prześlicznej panienki, która była, jak się okazało, moją nieznajomą korespondentką.

— »Poszłam za pańską radą — przemówiła — oto patent z kursu stenografii-daktylografii...«

Poczyliem starania i udało mi się wyrobić jej miejsce w pewnym dużym przemysłowym przedsiębiorstwie. Po roku wyjechała do Anglii, żeby poznać dokładnie język tego kraju; wróciła stamtąd narzeczoną, tymczasem jednak pracuje w dalszym ciągu. Przyjęła posadę z pensją 250 franków miesięcznie w amerykańskim towarzystwie asekuracji... A bierze ona swoje obowiązki bardzo na seryo i jest bardzo ładną, dobrze wychowaną, elegancką panienką, uprawiającą dla przyjemności i modne sztuki piękne.

»Jeszcze jeden przytoczę przykład. W mojem sąsiedztwie mieszka nauczycielka, która, nie znając mnie, przyszła raz z prośbą o radę. Zarabia ona 75 franków miesięcznie. Jest to osoba przyzwoita, która na małżeństwo zupełnie nie liczy. Jej jedyną rozrywką jest czytanie, widok

Paryża i odrobina swobody, z której korzysta po skończonych lekcjach. Od czasu do czasu przychodzi do mnie na pogawędkę. Utrzymuje, że czuje się szczęśliwą, ponieważ jest niezależną, jest »kimś«.

»Powiedzą mi może, że wszystko to są pojedyncze wypadki, których uogólniać nie należy. Ale czemuż od kilku lat zaledwie wpadają mi one w oczy?

»W światowych nakoniec kółkach, gdzie stare błędy utrzymują się zwykle najdłużej, młode panny zdradzają się także z pragnieniem pokierowania swoim losem i wyborem męża. Dlaczego i tam typ fałszywych niewiniątek przestał być modnym i dlaczego te płuche, puste lalki, które flirtem życie sobie wypełniały, nie uprawiają go już teraz tak śmiało?

»Jeśli błędę — to robię to w dobrej wierze, lecz zdaje mi się, że powyżej przytoczone dane niejednegoby zwiódły. Ale nie — ja się nie mylę! Dlaczego nie mam wierzyć świadectwu rozumu i własnych oczu? Nowe wyrabiają się prądy, których wyrazem — odrodzenie kobiety-dziewicy. Jeszcze w objęciach przeszłości, a już ku przyszłości wyciąga ona ramiona, to też dalsze jej przeistoczenie i nadal się zapowiada. Ju-trzejsze pokolenie młodych panien nie będzie może miało podwójnego wdzięku takiej Frani, która szanuje tradycję, a jednocześnie wolność sobie wywalczyć potrafiła. Bez walki i wewnętrznych

rozterek wejdą one na piedestał człowieczeństwa. Mężczyźni jutrzejszej doby, którzy jednocześnie z niemi ulegną ewolucyi, takimi właśnie kochać je będą.



65365

SPIS RZECZY.

	Str.
List wstępny	I
I. Zakład naukowo-wychowawczy Berquin. — Pierwsze ukazanie się Luni i Frani. — Zachęta do uznania się dojrzałym. — Myśli, które nasuwa ogród, biurko i noc. — Frania pragnie mieć profesora spraw życiowych. — Pani Le Quellien. — Wuj-mentor	8
II. Wrażenia trzech widzów z wystawy w pewien świąteczny wieczór. — Najwyższe usiłowania XIX wieku i sposób, w jaki odczuwa je Frania. — Pałacyk i spojrzenie w przeszłość. — Frania, jakkolwiek ściśle nowoczesna, zachwycona jest przeszłością narodową. — O prawie nauczania. — Projekt wymarzonego pałacyku	18
III. Dzień zaduszny. — Pielgrzymka. — Rzut oka w przeszłość rodziny. — Przodkowie. — Rolnicy i żołnierze. — Sierżant Napoleona. — O nieśmiałości i o przedsiębiorczości. — Babka Brygida. — Glinka, z której powstała Frania	27
IV. Idziemy oglądać nowości zimowe. — Opinia panny Lusi o »mężczyznach«. — Frania lubi	

stroje. — O dwóch rodzajach kokieterii. — Po-
goń za zbytkiem. — Udręczenia fałszywej ele-
gantki. — Pożądany rodzaj zalotności 36

V. Wizyta pani Le Quellien. — Znowu kwestia
kokieterii. — Twierdzenie (teorema) według Fe-
nelona. — Kobięce ubranie przyszłości. — Gar-
nitur. — Jeszcze Fenelon 45

VI. Budujące odwiedziny. — Kwestia feminizmu
w świetle krasomówstwa ambony. — Historia
kwiatu, który traci zapach. — Tulipan holo-
nderski. — Wilhelmina. — Kobięcy gest, któ-
rego nie może wykonać król. — Adwokacka. —
Nasz raj i nasze królestwo 54

VII. Boże Narodzenie: tradycje ostatniego tygodnia
roku. — Koniec wieku. — Rozmyślanie nad od-
powiednią porą do robienia bilansu. — Wypra-
cowanie stylistyczne. — Ogólne bankructwo. —
To, co stary wiek na swoją obronę przytacza. —
W kobiecie cała nadzieja. — Sól ziemi 63

VIII. Poufna misja. — Sala przyjęć zakładu naukowo-
wychowawczego Berquin. — Andzia, Madzia,
Julcia i Zuzia. — Mąż — dodatkiem. — Durzenie
się pensjonarek. — Uczeń szkoły Saint-Cyr. —
Wyborne znalezienie się Frani. — Rozmyśla-
nia nad odosobnionym trybem życia niektórych
panien 73

IX. Ministrowie i komisje. — Dodatni wynik tego, że
nie jestem ministrem. — Średnie wykształce-
nie. — Historia brzoskwini. — Frania II w dzie-
siątym roku życia. — Jaki rodzaj nauczania na-
daje się do tego wieku. — Epoka Taine'a. —
Ogólna kultura i wykształcenie specjalne. —
Zadanie średniego wykształcenia 81

X. Ludzie, którzy uważają się za wykształconych. —
Dwa doświadczenia w celu przywołania ich do
skromności. — Nie umiemy nic. — Ugoda złu-
dzeń pomiędzy nauczycielem i uczniem. — Rze-
czywiste znaczenie słowa »umieć«. — Jasne
o wszystkim pojęcie. — To, co nam zarzu-
cają. — Pochwały udzielone nauczycielowi fechtun-
ku i konnej jazdy. — Gimnastyka intelek-
tualna: rzeczywista i fikcyjna 97

XI. Małe udręczenia. — Abażur. — Frania nie jest
wcale lekkomyślną. — Rozmowa z pewną pa-
nią. — Łacina, grecki, matematyka i wykształ-
cenie kobiece. — Przeciążenie. — Julcia. 111

XII. Podręczniki szkolne. — W nich dwa wielkie
braki. — Określenie dobrych i złych stron. —
Gdybym był ministrem. — Wykształcenie lite-
rackie: wybór najpiękniejszych ustępów z poe-
zy i prozy. — Rady, dawane Frani II 124

XIII. Rumak Rolanda. — Nasza metoda obchodzi się
bez ministra. — Jak zastosować ją w prak-
tyce? — Rozkład dnia uczennicy. — Wstanie,
ubieranie się, jedzenie, lekcje, odpoczynek. —
Pożyteczne zadanie i pożyteczne tłumaczenie. —
Zebrania wieczorne. — Udanie się na spoczynek. —
Idealny zakład wychowawczy 137

XIV. Folwark. — Potrzeba urzędu na wsi filii
zakładu Berquin. — Czem była generacja ko-
biet w końcu ubiegłego stulecia. — Kuracya
bezruchowa. — Nauka, którą daje nam ziemia. —
Dąb i kasztan. — Trzynaście franków, dwa-
dzieścia pięć centymów. — Życie umysłowe
i życie wiejskie 150

- XV. Wynalazek, którego szkoda że nie zrobił Edyson. — Godziny, w których nie zdajemy sobie sprawy ze swoich czynów. — Chateaubriand, pani Récamier i Frania. — Balik u uczciwych ludzi. — Kotylian. — Inna Frania. — Dobro-dziejstwa wychowania: pensyonarka i uczeń zakładu Saint-Cyr. — System odosobnionych przedziałów. — Frania przeczy 162
- XVI. Naleśniki. — Konkurs kulinarny. — Ważność zajęć gospodarskich. — Masażystka i buchhalter. — Upodobania i wstręty Zofii. — Lekcje poglądowe, które daje nam natura. — Idealna pani domu. — Frani umiejętność rządzenia . . 173
- XVII. Telegrafistki. — Telegram i bicykl. — Gotowa dla Frani karyera. — Sporty kobiecie. — Charaktery sportsmenek. — Emilia. — Julia. — Ważny stosunek głowy do mięśni. — Prawdziwe pierwszeństwo kobiety. — Nasze prababki . . . 183
- XVIII. Sala przyjęć w zakładzie Berquin. — Quo Vadis? — Czy można czytać tę książkę? — Trudność orzeczenia, jakie książki są moralne. — Młode panny i powieści. — System tradycyjny. — Pani de Maintenon. — Berquin. — System rewolucyjny. — System czytania . . . 193
- XIX. Niespodzianka. — Tajemnica Frani. — Powab i udręczenia przywiązane do roli powiernika. — Prawa serca. — Jaką rolę odegrała panna Lusja. — Małżeństwo z miłości i małżeństwo z rozsądku. — Niema bogatych panien. — Wiek miłości i wiek wygód 203
- XX. Frania obstaje przy swoim. — Różne sposoby zapatrywania się na małżeństwo. — Serce i ro-

- zum. — Okres przedślubny i jego trwanie w Anglii i we Francji. — Trzy dobre strony długiego narzeczeństwa. — Warunki poselstwa 213
- XXI. Wizyta w Passy. — Rozmyślanie nad zbliżaniem się czterdziestki. — Feliks de Vandenesse. — Robótki mateczki. — Przeróżne kryształizacje. — Frania jest taka młoda! — Maks jest taki młody! — Kwestye materialne. — Izba i senat. — Los petycji 224
- XXII. Oczekiwanie. — Pożytek, jaki odnosimy z regularnego trybu życia w chwilach moralnych przejść. — Porządek przymusowy i dobrowolny. — Większość egzystencji kobiecych nie stosuje się do żadnych prawideł. — Jak urządzić życie? — Rozpatrzenie osobistych upodobań i zdolności. — Czuwanie i sen. — Przysłowia lacińskie. — Użyteczność wieczoru 235
- XXIII. Noga wiekowej osoby. — Dalszy ciąg planu zajęć dziennych. — Wpływ młodości na urządzenie domu. — Ulubione zajęcia. — System głównego rdzenia. — Muzyka pocieszycielką. — Piękność i szlachetność regularnego życia . . 245
- XXIV. Pewna niedziela wiosenna. — Maks po cywilnem. — Młodość i Sarcey. — Zdobywca serc. — Stan układów. — Ktoś, kto nie lubi długiego narzeczeństwa. — Rozprawy o energii. — Ambicya Maksa. — Obietnica małżeństwa 254
- XXV. Wszystko się układa. — Dlaczego Frania była taka uległa. — Radosny czas. — Sztuka znoszenia szczęścia. — Jeszcze regulamin. — Patent Frani. — Czy egzamina są potrzebne? — Spis inwentarza i alarm. — Ewolucja, której ulegnie średnie wykształcenie 264

- XXVI. Egzamin. — Wyborne znalezienie się Frani. — Inna kandydatka. — Brzydota Aleksandry. — Gromada stawonogich, ułamki, przyzmat. — W jaki sposób Frania rządzi płcią męską. — Powrót w letnie popołudnie. — Frania, jako uosobienie zdrowia, młodości i szczęścia. — Odosobnienie i medytacje. — Naiwność pani Rochette. — Początek i koniec 273
- XXVII. Paryż i Rosny-sur-mer. — Wujaszek nie jest zazdrośny. — Studium o teściowej. — Wspomnienia. — Illuzye. — Dymisy. — Pragnienie szczęścia dla Frani. — Zeschłe liście i spóźnione bzy 284
- XXVIII. Przyjemność, którą czasem sprawia nagana. — Trzy miesiące bez listu. — Rozmyślania nad korespondencją. — Listy pożyteczne. — Listy, pisane ze względów przyzwoitości. — Miłość i przyjaźń. — Rola, którą względem przyjaźni odgrywa młodość. — Program przyszłych listów. — Mentor. — Słownik 294
- XXIX. Pierwsza porada. — Pojęcia Lusi. — Kwestya podróży. — Czy rzeczywiście przynoszą one rozczarowanie? — Wspomnienie i marzenie. — Podróż poślubna. — Czego jest ona symbolem. — O odosobnieniu i wewnętrznej istocie człowieka. — Pożytek, jaki przynoszą złudzenia 302
- XXX. Wycieczka do Châteauroux. — Wynalezienie mieszkania. — Opinia Lusi o prowincyi. — Opinia Frani. — Opinia wuja. — Rozdział o filozofii szczęścia. — Średni byt sprzyja małżeńskiemu szczęściu. — Praktyczne rady, dotyczące wyprawy i urządzenia domu 311